

FUTBOL W PRL - AFERA NA OKĘCIU

WŁOSKI „PIORUN” - GODNY
KONKURĘNT SPITFIRE’A

PIJAŃSTWO -
ODWIECZNY
PROBLEM

Nr 03-04 (106-107)
MARZEC-KWIECIEŃ 2022
CENA: 11,90 zł (w tym 8% VAT)

W SIECI HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

KRÓL W GODZINIE ŚMIERCI

BITWA POD LEGNICĄ, 9 IV 1241 r.

JAK MONGOŁOWIE ZGŁADZILI HENRYKA POBOŻNEGO



NAJTANIEJ



I Z PREZENTEM!

**ROCZNA
PRENUMERATA
PAKIETU:**
tygodnik **SIECI**
+ magazyn **HISTORII**
ponad **38% taniej**
i zawsze z atrakcyjną
książką w prezencie



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

W setną rocznicę Młodzieży Wszechpolskiej

Związek Akademicki Młodzież Wszechpolska (MW) powstał oficjalnie we Lwowie, podczas zjazdu w dniach 25–26 marca 1922 r. Idea powołania na uczelniach i w miastach akademickich stowarzyszenia młodzieży obozu narodowego dojrzewała jednak od momentu odzyskania przez Polskę niepodległości. To przecież w czasach niewoli właśnie na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim w 1886 r. powstał tajny Związek Młodzieży Polskiej „Zet” (następnie w zaborze austriackim), którego członkowie zasilili z czasem szeregi Ligi Narodowej i skutecznie walczyli o odzyskanie niepodległości. Ruch narodowy, także w warunkach niepodległości, stał się bardzo szybko atrakcyjną propozycją ideowo-organizacyjną dla kolejnego pokolenia młodzieży. Inicjatorem powołania MW był Roman Dmowski, który uważał, że dla młodzieży trzeba stworzyć osobne warunki pracy ideowej. Związek Ludowo-Narodowy, jako partia demokratyczna i klub parlamentarny, miał swoje zadania polityczne związane z prowadzeniem bieżącej pracy parlamentarno-rządowej. W wyniku zabiegów organizacyjnych w latach 1921–1922 r. doszło do powstania pierwszych kół MW w miastach akademickich. W Warszawie na czele koła MW stanęli członkowie zarządu: Jan Rembieliński (prezes), Mieczysław Jakubowski, Henryk Rossman i Jan Jodzewicz, w Krakowie zaś Klaudiusz Hrabyk i Tadeusz Bielecki, w Poznaniu – Wacław Ciesielski, Ryszard Piestrzyński, Jerzy Zdzitowiecki i Jerzy Drobnik, z kolei we Lwowie Zdzisław Stahl i Władysław Świrski, w Wilnie – Piotr Kownacki. W następnych latach II RP powstały koła w Cieszyńcu i Lublinie, czyli w kolejnych miastach posiadających wyższe uczelnie. Podczas wspomnianego zjazdu na pierwszego prezesa 20-osobowej Rady Naczelnej MW został wybrany Jan Rembieliński. Kolejnymi zaś byli: Jan Jodzewicz (1923–1925), Edward Muszalski (1925), Janusz Rabski (1925–1928), Jan Mosdorf (1928–1933) oraz Jan Małachowski (1933–1939). Każda z wymienionych postaci zasługuje na oddzielną biografię. Mosdorf, Rossman i Jodzewicz to przyszli twórcy ONR-ABC, z kolei Zdzisław Stahl stanął w 1933 r. na czele rozłamowego Związku Młodych Narodowców. Pierwszy prezes MW, Jan Rembieliński (1897–1948), to ochotnik w wojnie o Lwów, od 1918 r. członek tajnej Ligi Narodowej. Podobnie jak wielu akademików, po studiach został działaczem Obozu Wielkiej Polski, następnie Stronnictwa Narodowego. Pisywał w prasie narodowej i katolickiej (m.in. w „Małym Dzienniku”). Jeszcze przed wojną zdecydował się na przejście do obozu sanacji, a w latach 1938–1939 został nawet senatorem ostatniej, przerwanej wojną, kadencji izby wyższej. Walczył w wojnie 1939 r., potem we Francji w PSZ i w Wielkiej Brytanii; pozostał na emigracji, gdzie zmarł.

Struktura organizacyjna MW składała się z dwóch pionów, zewnętrznego (czyli jawnego z władzami oficjalnymi) oraz wewnętrznego – tajnego i dwustopniowego, którego członkiem Zetu na czele z komisarzem i podlegającego jego członkom Orła Białego. Jednym z komisarzy był Mieczysław Trajdos, w latach wojny prezes podziemnego „kwadratu”, czyli ZG Stronnictwa Narodowego, zginął z rąk niemieckich. Ta ostatnia struktura dzieliła się zaś na sekcje, których nazwy określały zakres od-

działywania MW na warszawskich uczelniach: polityczna, bratniacka, kół naukowych, korporacyjna i koleżanek. Niewątpliwie działacze MW w okresie studiowania de facto zarządzali samorządem studenckim, czyli Bratnią Pomocą, byli członkami licznych korporacji akademickich, a także prezesowali kołom naukowym. MW była najliczniejszą i najbardziej wpływową organizacją studencką w II RP. Wybuch wojny zamknął ważny rozdział w historii tej organizacji i jej członków.

Dlaczego dziś warto o niej pisać? Była kuźnią talentów politycznych, ale także świadectwem niezwykłej zdolności do samoorganizowania się młodych Polaków. Dzięki dojrzewaniu w wolnej ojczyźnie potrafili zdać egzamin, gdy nastały najcięższe lata w najnowszej historii Polski.

JAN ŻARYN



HISTORII

18

POD KOMENDĘ HENRYKA POBOŻNEGO PRZYSZLI NIE TYLKO RYCERZE POLSCY, LECZ TAKŻE KRZYŻOWCY, TEMPLARIUSZE I KRZYŻACY. TO BYŁY SIŁY CHRZEŚCIJAŃSKIEGO UNIWERSUM ZJEDNOCZONE POD BARWAMI KSIĘCIA-PIASTA – PISZE TOMASZ ŁYSIAK

47

W PÓŹNYM CESARSTWIE CAŁE ODDZIAŁY GERMANÓW SŁUŻYŁY W RZYMSKIM WOJSKU. ICH DOWÓDCY NIEJEDNOKROTNI OSIĄGALI WYSOKIE STANOWISKA. OKAZAŁO SIĘ JEDNAK, ŻE TAK DUŻE MASY GERMANÓW STAŁY SIĘ NIEBEZPIECZNE DLA ISTNIENIA PAŃSTWA – WSKAZUJE MAREK BARAŃSKI

3

GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

6

CO BYŁO, CO BĘDZIE
PIOTR MAZUREK

**RZECZPOSPOLITA POD-
ZIEMNA... MNIEJ ZNANA**

**10 ZAPOMNIANI OBROŃCY
POLSKIEJ WSI**
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

**12 ŚLĄSKIE
PRZEDMURZE**
ANNA SUTOWICZ

15 MONGOŁOWIE
MAREK BARAŃSKI

**18 HENRYK POBOŻNY
W OBRONIE
CHRZEŚCIJAŃSKIEGO
UNIWERSUM**
TOMASZ ŁYSIAK

**22 ŚWIADECTWO, KTÓRE
TRWA I PRZEMAWIA**
STANISŁAW ANDRZEJ POTYCZ

FELIETONY



**25 KOŚCIÓŁ JAKO
MECENAS**
GRZEGORZ GÓRNY

**35 1959 – ETNARCHA
U WŁADZY**
PAWEŁ SKIBIŃSKI

**84 KRONIKA,
ZASTRZEŻONEJ
TRADYCJI**
MAREK JUREK

92 RUCH
ANTONI DUDEK

**92 DZIADEK I ŚLĄSKIE
POWSTANIA**
RYSZARD CZARNECKI

93 O DOBRYCH RZĄDACH
ELŻBIETA BRZOWOWSKA

93 POBOŻNE ŻYCZENIE
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

96 SILVA RERUM
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI



W SŁUŻBIE NIEPODLEGŁEJ



**26 MARIAN
STARZEŃSKI
– TYPOWY
ZIEMIANIN?**
KAROLINA WANDA GAŃKO

ZIEMIAŃSTWO

**29 ZWIĄZEK
SZŁACHTY
ZAGRODOWEJ**
PATRYK
TOMASZEWSKI

**32 DWORY I DWORKI
W ŻYCIU MARII
KONOPNICKIEJ**
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI



WEHIKUŁ CZASU

36 MARZEC, KWIECIEŃ
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

40 DAWNE PODRÓŻE
JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN



**42 ARCHIWISTYKA
W SŁUŻBIE ARCHEOLOGII**
RAFAŁ KIERZKOWSKI

DUSZA KONTUSZA

**44 ENTUZJASTA
SARMACKIEJ WOLNOŚCI
RODEM Z WŁOCH**
HENRYK LITWIN

DAWNO TEMU

**47 MIGRANCY
W STAROŻYTNYM
RZYMIE**
MAREK BARAŃSKI

ZDARZYŁO SIĘ

**50 JAK POLACY ZMIENIALI
CARSKĄ ROSJĘ?**
ADAM HLEBOWICZ

**53 MIĘDZY REWOLUCJĄ
A POLITYKĄ REALNĄ**
KAROL MAZUR

**56 BŁĘKITNA DYWIZJA
GŁÓDZIŁA LENINGRAD**
MANUEL FERRERAS-TASCÓN



Stali współpracownicy:

Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:

Jarosław Czuby, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowski, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Waingartner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:

Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:

Andrzej Skwarczyński (kierownik) andrzej.skwarczyński@fratria.pl,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoodręka: Anna Łabęcka, anna.labęcka@fratria.pl,
Robert Gołaszewski, robert.golaszewski@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:

FRATRIA sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 36 00

www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty
na stronie www.wsieci.pl
Wpłać za prenumeratę prosimy dokonywać
na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane
adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji
papierowej oraz na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na
adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem
Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7⁰⁰-18⁰⁰.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:

Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:

reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:

kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania tekstów.
Copyright © Fratria Sp. z o.o.
Wszystkie prawa zastrzeżone
(włącznie z tłumaczeniem na języki obce).
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią
materiału pochodzącego od Wydawcy.
Bezumowna sprzedaż numerów bieżących
i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna
i grozi odpowiedzialnością karną.



OKŁADKA: Projekt: Michał Korsun, Fot.: Andrzej Wiltor; Grupa Łuczników Konnych AMM Archery: Tomasz Kruszczyński, Paweł Pniewski, Ania Sokółska, Michał Sancerko, Bohdan Włostowski; Gościnnie: Lundendorj Altanshagai; Charakterystyka: Paulina Ciborowska, Joanna Wasilewska; Podziękowania dla Podlaskiego Muzeum Kultury Ludowej oraz Folwarku Nadawki



73 FUTBOLOWA REPREZENTACJA POLSKI WYLATYWAŁA 29 LISTOPADA 1980 r. DO WŁOCH. DZIEŃ WCZEŚNIEJ NASI PIŁKARZE „POSZLI W MIASTO”. PRZY POWROCIE DOSZŁO NA OKĘCIU DO „GORSZĄCYCH WYDARZEŃ”, ROZPĘTAŁA SIĘ PRAWDZIWA AFERA, KTÓREJ FINAŁEM BYŁA REZYGNACJA TRENERA KADRY – **PRZYPOMINA GRZEGORZ MAJCHRZAK**

60 **ANTYSEMICKA GĘBA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO PODZIEMIA**

MARIUSZ SOLECKI

62 **OKRUCHY PAMIĘCI**

MARCIN WIŚNIARSKI



WŁADCZYNIĘ

65 **MARIA KAZJIMIERA – MARYSIENKA**

MAREK BARAŃSKI

INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ

66 **KASPROWICZ ZNANY I NIEZNANY**

MARTA CYWIŃSKA



POLONIA

70 **PIŁSUDCZYCY NA EMIGRACJI WOBEC KWESTII NIEMIECKIEJ**

KRZYSZTOF TARKA

PRASPORT

73 **JAK PIŁKARZE ZWOLNILI TRENERA KULESZĘ, CZYLI AFERA NA OKĘCIU**

GRZEGORZ MAJCHRZAK



PEŁNA KULTURA

76 **STANISŁAW STASZIC W OCZACH WSPÓŁCZESNYCH**

JERZY MIZIOŁEK

80 **W KRĘGU KLIO**

RAFAŁ ŁATKA

82 **ŁATKI NA KLIO**

ROZMOWA Z DR. GRZEGORZEM MAJCHRZAKIEM

83 **LOSY TUŁACZYCH DZIECI**

MAŁGORZATA ŻARYN



DIABEŁ NIE MÓGŁ

86 **BUDZICIELKA WILEŃSKIEJ SCENY**

JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

88 **A OD WÓDKI ROZUM KRÓTKI...**

KRZYSZTOF ŻARYN



CZYM STRZELAĆ

90 **MACCHCI MC.202, CZYLI GODNY KONKURENT SPITFIRE'A**

KACPER GROCHOCKI

Z FOTOTEKI IPN

91 **NADZIEJA W LILIJĘ ZBROJNA**

ARTUR CIEŚLIK

94 **HISTORIA OKŁADKI**

MICHAŁ KORSUN

NAC PREZENTUJE

98 **KONSPIRACYJNA PRODUKCJA BRONI**

ŁUKASZ KAROLEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

99 **PIECZĘĆ KPT. „GÓZDAWY”**

MICHAŁ TOMASZ WÓJCICUK

eprasa.pl bfc923b1c1



Zmarł Przemysław Górny – bohater narodowego nurtu opozycji antykomunistycznej

Urodził się w 1932 r. w Warszawie. Ojciec Stefan był członkiem Stronnictwa Narodowego i Narodowej Organizacji Wojskowej. Aresztowany przez Gestapo, zamordowany w obozie koncentracyjnym w Mauthausen. Po wojnie Przemysława samotnie wychowywała jego matka. W 1951 r. zdobył tytuł młodzieżowego wicemistrza Polski w boksie. Jako „element antysocjalistyczny” musiał zmieniać szkoły. W 1954 r. przyjęty został na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W marcu 1955 r. był współzałożycielem Związku Młodzieży Demokratycznej. W listopadzie 1956 r. wybrany został przez studentów na przewodniczącego ZMD na UW. Według relacji Przemysława Górnego ta odrzucająca socjalizm organizacja zrzeszała w całym kraju 35 tys. studentów. Pisarz Marek Nowakowski wspominał, że Przemysław Górny był najsilniejszą osobowością z grona niepokornych, który już w gimnazjum organizował niepodległościowe koła młodzieży. Gdy rozpoczynał studia na UW, był doświadczonym konspiratorem i prezentował poglądy antykomunistyczne, niepodległościowe. Według jednego z raportów SB Górny stawiał przed ZMD zadanie „przyciągnięcia do siebie wszystkich przeciwników komunizmu i walkę o przywrócenie orła w koronie i święta 3 Maja”. W 1957 r. poznał działaczy narodowych Jana Bogdanowicza, Wiesława Chrzanowskiego i Leona Mireckiego. Rozmowy z nimi miały wpływ na podjęcie przez niego

samodzielnej decyzji o utworzeniu tajnej organizacji pod nazwą Liga Narodowo-Demokratyczna. Była ona pierwszą organizacją antykomunistyczną, która powstała po tzw. odwilży październikowej 1956 r. Nawiązywała do tradycji i myśli politycznej polskiego obozu narodowego. 7 maja 1960 r. funkcjonariusze SB aresztowali kilku członków LND. Śledztwo prowadzone pod nadzorem wiceministra MSW A. Alstera zakończyło się procesem przy drzwiach zamkniętych. Prokurator zarzucił działaczom Ligi przynależność do tajnego związku wrogiego Polsce Ludowej. Przemysław Górny bity w trakcie przesłuchań wykazał w śledztwie bohaterską postawę. Odmawiał składania zeznań i podpisywania dokumentów procesowych. Funkcjonariusze SB relacjonowali w raportach, że „w czasie rozmów Górny jest arogancki i opryskliwy”. Skazany został na dwa lata pozbawienia wolności. Po wyjściu z więzienia bezskutecznie poszukiwał zatrudnienia. Górny ponownie został aresztowany w 1965 r. pod pretekstem udziału w napadzie na Bank PKO w Warszawie przy ul. Jasnej. W więzieniu spędził kilka miesięcy. 11 lutego 1966 r. wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej dla m.st. Warszawy przedstawił Górnemu zarzuty, że od połowy 1961 do 11 lutego 1966 r. w Warszawie brał udział w nielegalnej organizacji. W toku śledztwa „ustalono”, że Przemysław Górny podjął w latach 1963–1964 działania zmierzające do utworzenia nielegalnej nacjonalistycznej organizacji i w tym celu gromadził młodzież o poglądach narodowych, z którą prowadził dyskusje w duchu wrogim Polsce Ludowej. W styczniu 1966 r. został ponownie aresztowany pod zarzutem nielegalnego przekroczenia granicy i próby reaktywowania ZMD na emigracji. 3 października 1966 r. przed Sądem Powiatowym dla m.st. Warszawy Wydział VI Karny rozpoczęła się rozprawa przeciwko Przemysławowi Górnemu i Jerzemu Wareckiemu. Górny potwierdził sporządzenie czterech tzw. nielegalnych dokumentów. Z satysfakcją powiedział: „Zwroty szkalujące członków rządu i zawierające wrogie akcenty są moim pomysłem”. W ostatnim słowie oświadczył, że co najmniej od 15 lat posiada poglądy narodowe, których nie zmieni. Gdyby zaistniały odpowiednie warunki, gotów jest przejść do konspiracji, aby prowadzić działalność narodową. 2 grudnia 1966 r. Sąd Powiatowy dla m.st. Warszawy-Pragi skazał Przemysława Górnego na dwa i pół roku więzienia. W listopadzie 1967 r. został warunkowo zwolniony. Dwa dni później w niewyjaśnionych okolicznościach został potrącony przez samochód. Przez rok przechodził trudną

rehabilitację. W 1968 r. został skreślony z listy studentów. Wkrótce przeszedł na rentę. Żył w bardzo trudnych warunkach ekonomicznych. Cały czas poddany był aktywnej kontroli operacyjnej prowadzonej przez tajnych współpracowników SB. W latach 90. podjął działalność wychowawczą w jednej z młodzieżowych organizacji działających na rzecz ochrony środowiska. W 2006 r. odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Od kwietnia 2010 r. był aktywny wśród obrońców Krzyża przed Pałacem Prezydenckim.

dr Krzysztof Kawęcki



Pierwsze obchody Narodowego Dnia Zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego

27 grudnia 2021 r. po raz pierwszy obchodziliśmy Narodowy Dzień Zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego – nowe święto narodowe ustanowione w ub.r. jednomyślną decyzją obu izb parlamentu oraz prezydenta. Inicjatorami tej decyzji były środowiska m.in. Wielkopolskiego Muzeum Niepodległości, Muzeum Narodowego w Poznaniu oraz poznańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, które zainicjowały apel poparty przez 8 tys. osób. W poznańskich uroczystościach rocznicowych wziął udział prezydent RP Andrzej Duda. Największym wydarzeniem towarzyszącym obchodom 103. rocznicy wybuchu powstania wielkopolskiego był koncert „Chwała i zwycięstwo! Powstanie wielkopolskie 1918–1919” zorganizowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wraz z Narodowym Centrum Kultury. Wcześniej pod pomnikiem Ułana w Poznaniu odbył się piknik historyczny „Obozowisko powstańcze”. W stolicy Wielkopolski rozdawano powstańcze flagi. W Muzeum Powstania Wielkopolskiego prezentowano wystawę czasową „Powstańcy wielkopolscy kawalerowie Orderu Wojennego Virtuti Militari, ofiary ludobójstwa w Katyniu”, a także filmy przedstawiające historię powstania oraz materiały edukacyjne dla dzieci. Biuro Programu „Niepodległa” zorganizowało natomiast trwającą do 7 stycznia wystawę wielkopolskich murali. W ramach projektu powstała ogólnopolska galeria fotografii. Zdjęcia prezentujące wyjątkowe murale można było oglądać na witacach przystankowych m.in. Poznania, Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Łodzi, Szczecina oraz Trójmiasta i aglomeracji śląskiej.



FOT. MATEK NORAWSKI/KPRP

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII”

Książki Roberta Barkowskiego

„Opowieści połabskie” i „Odsiecz” to książki Roberta Barkowskiego poświęcone średniowiecznej Europie, które ukażą się w marcu nakładem wydawnictwa Novae Res pod patronatem „wSieci Historii”. Pierwsza pozwala czytelnikom uwieść się magii Połabia sprzed wielu wieków, zanim jeszcze przestało być słowiańskie. Waleczny Gostosz, odważna Słomka, młody i niedoświadczony Nieśmiech czy mściwy Ludolf – to tylko kilku bohaterów zbioru opowiadań, których akcja toczy się na ziemiach Połabia między IX a XII w. Pamiętne wydarzenia historyczne przeplatają się tutaj z codziennością zwykłych ludzi, a losy postaci znanych z kart kronik, jak Henryk Lew, Niklot czy Otton I, spletają się ze ścieżkami fikcyjnych bohaterów. „Odsiecz” natomiast pozwala się nam przenieść w odległe czasy panowania Bolesława Chrobrego i podążać razem z bohaterami przez krainy Połabia, poznając niełatwą historię tego regionu. Trwająca od wielu lat wojna między Chrobrym a cesarzem Henrykiem II kończy się zwycięstwem Polski. Podpisany w Budziszynie traktat ma być gwarancją upragnionego pokoju, ale dla drużyny wiernych przyjaciół wcale nie oznacza to końca przygód. Gromosław, Czambor, Bernard i Randulf ponownie otrzymują rozkazy od króla. Kraj Obodrytów ugina się pod ciężarem wojny domowej i reakcji pogańskiej, a tracący poparcie książę Mściśław potrzebuje pomocy. Nieustraszona kompania natychmiast wyrusza z odsieczą. Autor obu pozycji Robert F. Barkowski jest polskim pisarzem, autorem książek historycznych opisujących dzieje średniowiecznej Europy. Od wielu lat popularyzuje literaturę polską i wiedzę na temat Polski za granicą. Dotychczas znany był czytelnikom z publikacji popularnonaukowych (m.in. „Słowianie połabscy. Dzieje zagłady”, „Tajemnice początków państwa polskiego – 966”, „Historia wojen gdańskich do 1466 roku”, a także pozycje w serii „Historyczne Bitwy”). Książka „Włócznia” była jego pierwszą powieścią beletrystyczną.



O narodowcach z zaboru pruskiego

Pod koniec 2021 r. nakładem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego oraz Wydawnictwa Neriton ukazała się monografia „Liga Narodowa w zaborze pruskim i jej działacze” autorstwa czołowych badaczy dziejów ruchu narodowego prof. Tomasza Sikorskiego i prof. Adama Wątor. W liczącej niemal 700 stron publikacji dogłębnie przeanalizowano historię podejmowanych na różnych płaszczyznach działań Ligi Narodowej na kresach zachodnich. Znaleźć w niej można opisy funkcjonowania zarówno znajdujących się pod wpływem Ligi znanych organizacji krzewiących polskość, takich jak Towarzystwo Czytelni Ludowych czy Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, jak i mniej znanych środowisk, rzadko kojarzonych z narodowcami, takich jak ruch śpiewaczy czy abstynencki. Autorzy szeroko opisują działalność wywodzącego się ze struktur narodowych ruchu młodzieżowego, którego kadry stanowiły istotną część armii zwycięskiego powstania wielkopolskiego. Książkę uzupełnia ponad 80 biogramów działaczy narodowych z zaboru pruskiego oraz ponad 100 fotografii ukazujących ich aktywność.

IV edycja konkursu o Niezwycięzonych

IPN zaprasza przedstawicieli młodego pokolenia do udziału w IV edycji konkursu edukacyjnego „Niezwyciężeni 1918–1921” upamiętniającego sylwetki osób uhonorowanych Krzyżem bądź Medalem Niepodległości. Tym razem zadaniem uczestników będzie stworzenie filmu o kobiecie, która brała udział w walce o niepodległą Polskę (służyła w Legionach Polskich, Polskiej Organizacji Wojskowej, Ochotniczej Legii Kobiet lub innej formacji niepodległościowej) i została odznaczona Krzyżem bądź Medalem Niepodległości. Konkurs skierowany jest do młodych ludzi (10–19 lat), uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych, uczniów szkół polonijnych, szkół polskich za granicą oraz członków organizacji młodzieżowych. Udział mogą wziąć również rodzice z dziećmi. Zgłoszenia na podstawie formularza zgłoszeniowego i krótkiej wideoprezentacji przyjmowane są do 17 marca. Uczniowie zakwalifikowani do konkursu wezmą udział w warsztatach filmowych online, a następnie przygotowują prace konkursowe o wybranej bohaterce. Do zdobycia są cenne nagrody rzeczowe (kamery, tablety, aparaty i akcesoria fotograficzne), udział w dwudniowych warsztatach filmowych prowadzonych przez profesjonalnych edukatorów filmowych oraz zwiedzanie Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, które jest partnerem projektu. Konkurs został objęty honorowym patronatem małżonki prezydenta RP Agaty Kornhauser-Dudy. Regulamin oraz karta zgłoszenia są dostępne na stronie: <https://niezwyciezeni1918-2018.pl>



„wSieci Historii” w Radiu dla Ciebie...

19 lutego i 19 marca (soboty) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.



...w Radiu Warszawa...

15 lutego (wtorek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.



III edycja konkursu poświęconego zbrodni katyńskiej

Upamiętnienie zbrodni katyńskiej, propagowanie prawdy na jej temat i oddanie należnego hołdu zamordowanym to cele III edycji konkursu „Polskie serce pękło – Katyń 1940”, skierowanego do uczniów szkół ponadpodstawowych oraz studentów. Inicjatorem projektu jest marszałek Sejmu RP Elżbieta Witek. Konkurs prowadzony jest w czterech kategoriach: plastycznej, literackiej, tekstu piosenki oraz scenariusza lekcji. W kategorii plastycznej zadaniem uczestnika jest wykonanie projektu medalu (awers i rewers), którego przewodnim hasłem jest: „Katyń – pamiętamy”. W kategorii literackiej uczestnik pisze pracę (esej, rozprawkę, opowiadanie, wywiad lub sztukę teatralną) na temat „Etos ofiar zbrodni katyńskiej w odniesieniu do współczesności”. W dwóch pozostałych kategoriach zadaniem konkursowym jest przygotowanie tekstu piosenki poświęconej zbrodni katyńskiej lub stworzenie scenariusza lekcji na temat: „Katyń – pamiętamy”. Uczniowie szkół ponadpodstawowych (w wieku 15–21 lat) mogą złożyć jedną pracę do każdej z trzech kategorii: plastycznej, literackiej oraz z propozycją tekstu piosenki. Czwarta kategoria dotycząca napisania scenariusza lekcji skierowana jest wyłącznie do studentów. W skład Komitetu Honorowego konkursu weszli: prezydent RP Andrzej Duda, wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński, minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak, minister edukacji i nauki prof. Przemysław Czarnek, minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński, prezes IPN dr Karol Nawrocki. Prace należy przesać na adres Sejmu RP do 11 marca 2022 r. Szczegóły konkursu dostępne są pod adresem: <https://www.konkurskatynski.pl/>

...i w Radiu Gdańsk



Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii” w każdą ostatnią środę miesiąca o godzinie 11.05 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co to za Historia”.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej



Zmarł nasz kolega, *prof. Krzysztof Tarka* (1965–2022)



Czytelnicy „wSieci Historii” znali Go bardzo dobrze. Niemal w każdym numerze naszego pisma można było przeczytać kolejne Jego artykuły wypełniające ważną rubrykę naszego pisma – „Polonia”. Mieliśmy szczęście i zaszczyt współpracować z nim od początku ukazywania się magazynu „wSieci Historii”. Był wybitnym znawcą dziejów najnowszych Polski, w tym w sposób szczególnie zajmował się historią polskiego wychodźstwa przed i po 1945 r. Jego fundamentalne prace to m.in. książki monograficzne: „Emigracyjna dyplomacja. Polityka rządu RP na uchodźstwie 1939–1945” oraz „Polonia w Wielkiej Brytanii 1918–1939”. Gdy tylko otworzono archiwa Instytutu Pamięci Narodowej, Krzysztof natychmiast rozpoczął badania nad tymi niezwykle ciekawymi zbiorami, wskazując na uwikłania niektórych i na mądrość innych polskich polityków pozostających po 1945 r. na przymusowej emigracji (m.in. w pracach: „Mackiewicz i inni. Wywiad PRL wobec emigrantów” oraz „Emigranci na celowniku. Władze Polski Ludowej wobec wychodźstwa”). Oczywiście zajmował się także innymi tematami, w tym historią Armii Krajowej czy dziejami swej małej ojczyzny.

Poznaliśmy się w Opolu na konferencji naukowej, gdzieś w latach 90., gdy obydwa byliśmy już młodymi doktorami historii – On doktoryzował się wcześniej ode mnie, bo już w 1993 r. Pracował na Uniwersytecie Opolskim (notabene do końca swego życia) i od razu przypadliśmy sobie do gustu. Cichy i nierobiący wrażenia, ale tylko na pierwszy rzut oka.

W rozmowach niezwykle kompetentny, zanurzony w historii – trochę jakby nieobecny w teraźniejszości. Ale to też nieprawda, jedynie takie robił wrażenie. Poglądy miał klarowne, odważne w kwestiach drażliwych, np. lustracyjnych, bliskie tradycji niepodległościowej. Inaczej nie współpracowałby tak ściśle

z IPN. Gdy w latach 2006–2009 byłem dyrektorem pionu naukowo-edukacyjnego, czyli Biura Edukacji Publicznej IPN, zaproponowałem mu, by został koordynatorem (ostatecznie stało się to w 2007 r.) Centralnego Projektu Badawczego IPN „Aparat bezpieczeństwa wobec emigracji i Polonii”.

Chciał także współpracować z nami, redakcją „wSieci Historii”, utożsamiał się z naszym widzeniem historii. Pisał niezwykle ciekawe teksty, ostatni o Wojciechu Wasiutyńskim. Utrzymywaliśmy ze sobą żywą korespondencję e-mailową; w jednym z ostatnich wpisów napisałem do niego: „Krzysztofie, dzięki [za tekst]; masz już tyle artykułów wydrukowanych u nas, że mógłbyś po uzyskaniu formalnej zgody od Fratrii wydać je jako zbiór popularnych tekstów. Pozdrawiam. Jan Żaryn”.

Pozdrawiamy Cię bardzo serdecznie, bo przecież stamtąd, gdzie jesteś, patrzysz i czytasz wszystko, i żałujemy bardzo, że nie powstaną kolejne teksty, byśmy z kolei i my, żyjący tu i teraz, mogli je przeczytać. Cieszymy się jednak, że zdążyłeś przed śmiercią przesłać ostatni swój tekst, czytelnicy odnajdą go w niniejszym numerze.

Jan Żaryn



ZAPOMNIANI OBROŃCY POLSKIEJ WSI

W 1919 r., w odradzającej się po zaborach i Wielkiej Wojnie do niepodległego bytu Rzeczypospolitej, powstał Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej, przekształcony po 15 latach – w wyniku połączenia z mniejszymi młodzieżowymi organizacjami wiejskimi – w Centralny Związek Młodej Wsi. Liczebność CZMW dochodziła do 150 tys. członków. Organizacja prowadziła szeroką działalność spółdzielczą i oświatową wśród ludności wiejskiej. Wydawała też własne pisma – „Siew”, a później „Siew Młodej Wsi” – których tytułem zawdzięczała swe potoczne miano: CZMW powszechnie nazywano „Siewem”, a jego członków „siewowcami”.

Śladami naczelnika Kościuszki

Po wybuchu II wojny światowej działacze CZMW już u schyłku września 1939 r. przystąpili do organizowania konspiracyjnych struktur polityczno-wojskowych wśród ludności chłopskiej, werbując do nich przede wszystkim przedstawicieli młodzieży wiejskiej. W ostatnich dniach obrony Warszawy z inicjatywy władz organizacji rozgłosiła Polskiego Radia wezwała członków „Siewu” do zgłaszania się do stołecznej siedziby CZMW celem nawiązania łączności i samoorganizowania się w nowych warunkach okupacji. Dotyczyło to m.in. licznych „siewowców”, walczących w Ochotniczych Batalionach Obrony Warszawy. W wyniku szybko podjętych działań organizacyj-



**PRZEMYSŁAW
WAINGERTNER**

Nazwa samej organizacji „Raclawice” i tytuł jej organu prasowego celowo nawiązywały do chlubnych kart z historii polskiej wsi – historycznego zwycięstwa chłopskich kosynierów z okresu powstania kościuszkowskiego

nych już na przełomie 1939 i 1940 r. powstała Chłopska Organizacja Wolności „Raclawice” pod przywództwem Romualda Tyczyńskiego. Po jego aresztowaniu w Krakowie w czerwcu 1940 r. i śmierci z rąk okupanta kierownictwo „Raclawic” przejął Józef Marszałek, schwytany z kolei przez Niemców w listopadzie 1942 r. Po jego uwięzieniu na czele ChOW stanął Józef Krasowski. W ramach centralnych struktur „Raclawic” utworzono wydziały: wojskowy, organizacyjny i prasowy (później – prasy i propagandy), który wydawał podziemny periodyk „Raclawice”. Nazwa samej organizacji i tytuł jej organu prasowego celowo nawiązywały do chlubnych kart z historii polskiej wsi – historycznego zwycięstwa chłopskich kosynierów z okresu powstania kościuszkowskiego.

W enuncjacjach programowych nowej konspiracji podkreślano, że członkowie „Raclawic” – podobnie jak ich ideowi antenaci sprzed półtora wieku – mają się włączyć w walkę zbrojną o niepodległą Rzeczpospolitą.

Nie tylko Bataliony Chłopskie...

Obok pionu cywilnego organizacja dysponowała również wydzielonym pionem wojskowym, który dał początek Polskiej Organizacji Zbrojnej „Znak”. Jej komendantem mianowano kpt. Kazimierza Różyckiego, a po jego przedostaniu się na zachód – ppłk. Hieronima Suszczyńskiego. Po niemieckim ataku na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 r. i przesunięciu się frontu na wschód działalność „Raclawic” i „Znaku” rozszerzyła się na tereny wschodnich województw przedwojennej Polski, aż po Stryj, Drohobycz i Borysław. Jeszcze w lipcu 1941 r. specjalni emisariusze „Znaku” otrzymali pełnomocnictwa do bezzwłocznego organizowania nowych placówek i komórek bojowych w województwie białostockim, a także na Nowogródczyźnie i Wileńszczyźnie. Zadanie to zostało wykonane i szybko nowa konspiracyjna siatka opłótła Kresy Wschodnie przedwojennej Rzeczypospolitej. Organizacja początkowo ściśle współdziałała ze Związkiem Walki Zbrojnej i Armią Krajową, a następnie w marcu 1943 r. w ramach akcji scaleniowej została wcielona do AK, przekazując w jej szeregi ponad 50 tys. żołnierzy wiejskiego Podziemia. Równocześnie „Raclawice” i „Znak” podkreślały swą pełną lojalność i dyspozycyjność wobec emigracyjnego

rządu Rzeczypospolitej w Londynie, zajmując pryncypialnie wrogie stanowisko wobec komunizmu, polityki Związku Sowieckiego oraz programu i działalności podziemnej komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej, którą traktowały jako agenturę czerwonego Kremla. Jeżeli przyjmiemy za historykami, że w okresie swojego największego rozwoju w 1943 r. w szeregach AK znalazło się ok. 350 tys. osób, okaże się, iż po akcesie „Znaku” podlegającego „siewowcom” ponad 15 proc. stanu osobowego armii Polskiego Państwa Podziemnego stanowili żołnierze wywodzący się z wiejskiej konspiracji „Siewu”. Z kolei porównanie liczebności oddziałów „Znaku” i znacznie szerzej przecież znanych Batalionów Chłopskich, tworzonych pod auspicjami jednej z największych partii II Rzeczypospolitej – Stronnictwa Ludowego, które w konspiracji przybrało kryptonim „Roch” – wypada dla „siewowców” jeszcze korzystniej. Liczebność BCH ocenia się na ok. 170 tys. żołnierzy – zatem zapomniana niemal obecnie zbrojna konspiracja spod znaku „Raclawic” potrafiła wystawić siły sięgające 1/3 stanu osobowego faworyzowanych w historii Batalionów Chłopskich.

Między nami ludowcami

Relacje panujące pomiędzy „Raclawicami” i „Znakiem” a konspiracyjnym SL „Roch” – silniejszym kadrowo, cieszącym się zarówno szerszym poparciem na polskiej wsi, jak i większymi wpływami w strukturach i instytucjach polskiego Państwa Podziemnego oraz rządu polskiego na uchodźstwie – miały skomplikowany charakter. Do prób porozumienia pomiędzy SL a „siewowcami” doszło za pośrednictwem Józefa Niecki – działacza związanego z przedwojennym wiejskim ruchem młodzieżowym, w latach wojny politycznego zwierzchnika Batalionów Chłopskich z ramienia SL. Wynegocjowana przez niego z kierownictwami obu organizacji umowa, podporządkowująca „Raclawice” przywództwu „Rocha”, od początku była kontestowana przez większość dawnych „siewowców”. Oskarżali oni bowiem negocjatora o niechęć wobec środowiska „Raclawic”, jednostronne forsowanie interesów politycznych SL i polityczny radykalizm czy wręcz kryptokomunizm (nomen omen – warto dodać, iż po wojnie Niecko znalazł się wśród działaczy, którzy po ucieczce Sta-

niława Mikołajczyka przejęli władzę w ówczesnym Polskim Stronnictwie Ludowym, a następnie przekształcili je w satelickie wobec komunistów Zjednoczone Stronnictwo Ludowe). Ostatecznie kierujący „Znakiem” Tyczyński zgodził się podporządkować organizację „Rochowi”. Jednak – ponieważ decyzji tej nie aprobowali inni członkowie kierownictwa „Raclawic” – po wspomnianym wcześniej aresztowaniu przez Niemców dowódcy „Znaku” doszło do zerwania kontaktów pomiędzy SL i kierownictwem „Raclawic”. Do „Rocha” przyłączyła się jedynie część „siewowców” w terenie. Zostało to jednak uznane przez przywódców SL dla celów propagandowych za wcielenie „Siewu” do Stronnictwa Ludowego. W rzeczywistości wielu spośród działaczy konspiracyjnego ruchu „młodowiejskiego” pozostało wiernych macierzystej organizacji. Warto dodać, że rezerwa konspiratorów spod znaku „Raclawic” wobec pomysłu przyłączenia się (a raczej wcielenia) do SL nie oznaczała, iż nie zdawali oni sobie sprawy z potrzeby inicjatyw integracyjnych na politycznej

scenie polskiego Podziemia. Wiosną 1943 r. zakończyli oni z powodzeniem negocjacje z kilkoma innymi konspiracyjnymi ugrupowaniami, inaugurując działalność Społecznej Organizacji Samopomocy. W jej skład obok „Raclawic” weszły: piłsudczykowski Związek Odbudowy Rzeczypospolitej, kontynuujące pracę w konspiracji przedwojenne Stronnictwo Demokratyczne i Front Ocalenia Polski, w którego szeregach znalazło się najsilniejsze polityczne ugrupowanie sanacyjne – Obóz Polski Walczącej.

Wojenna konspiracja środowiska Centralnego Związku Młodej Wsi „Siew”, jego dobrobek organizacyjny (utworzenie „Raclawic”, a później „Znaku”, ich rozbudowa oraz udział w życiu politycznym Podziemia i walce zbrojnej z okupantem niemieckim) zasługują na przywrócenie należnego im miejsca w zbiorowej pamięci Polaków – zwłaszcza że osiągnięcia „siewowców” w tej mierze niestety są szerzej nieznane, pozostając w cieniu działalności politycznej SL „Roch” i akcji bojowych BCH.

Defilada zjazdu
Związku Młodej
Wsi na Polu
Mokotowskim
w Warszawie,
19 czerwca 1937 r.



FOT. MAC

Jan Matejko,
„Wyjazd Henryka II
Pobożnego
pod Legnicę”

ŚLĄSKIE PRZEDMURZE

OKRES PODZIAŁU DZIELNICOWEGO W POLSCE OBFITOWAŁ
W WIELE PARADOKSÓW, KTÓRE HISTORYCY WYJAŚNIAJĄ DZIŚ
UDZIAŁEM WŁADCÓW PIASTOWSKICH I ICH PODDANYCH W PROCESACH
EUROPEJSKICH I W ROZWOJU KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO


**ANNA
SUTOWICZ**

WXIII w. hałaśliwym kłótniom dynastycznym o mniejsze lub większe połacie obszaru dawnej korony Bolesława Chrobrego towarzyszyły rewolucja techniczna i rozkwit gospodarczy na nieznana dotąd na naszych ziemiach skalę. Obok cywilizacyjnego sporu o kształt władzy książęcej, często skutkującego wyniszczającą szarpaniną pomiędzy tronem a katedrą, mieszkańcy powstających jak grzyby po deszczu wsi i miast obserwowali wznoszenie klasztorów, które zapępiały się zakonnikami w szarych i brązowych habitach, zapowiadających nową jakość życia duchowego i bardziej atrakcyjne formy chrystianizacji zaniedbanych jak dotąd niższych warstw polskiego społeczeństwa. Przybyli z francuskiego Morimundu czy saskiej Pforty cystersi przynosili ze sobą znajomość uprawy ziemi, prowadzenia folwarków i grangii, wędrujący z Bolonii dominikanie przybywali zaś z zapasem wiedzy teologicznej i prawniczej, niezbędnej do wprowadzenia polskich elit na szerokie salony europejskiej dyplomacji oraz zakosztowania owoców kultury, która na zachód od Łaby stała w pełnym rozkwicie wieków średnich. W tym procesie rządzony przez potomków Władysława Wygnańca Śląsk miał odegrać rolę forpocztę, grzejąc się zarówno w blasku sukcesu, jak i pograżając się tu i ówdzie w towarzyszącym mu w sposób nieunikniony cieniu. Historia zna jednak wiele wydarzeń, które wpłatały się w koleje przemian i choć zazwyczaj nie były w stanie ich zatrzymać, to jednak znacząco wpływały na ich kierunek i dynamikę. Taki fakt miał niewątpliwie miejsce 9 kwietnia 1241 r. podczas starcia pod Legnicą szczupłych wojsk księcia śląskiego Henryka Pobożnego z tatarskimi zagonami jednego z wodzów chana Batu.

U boku ojca

Wokół śmierci Piasta na Dobrym Polu narosła legenda, którą przez wieki podtrzymywali zarówno śląscy poddani dzie-

dziców poległego księcia, a potem królów czeskich, węgierskich i niemieckich, jak i twórcy kultury w Polsce i Niemczech. Prawem mitu jest nadawanie znaczenia przełomowemu wydarzeniu, jednak zanim nastąpił ten dramatyczny zwrot w dziejach księstw podległych władzy Henryka Pobożnego, miał on za sobą przynajmniej cztery dekady pracowitego życia. Przez kilkanaście lat jako następca tronu był mniej lub bardziej aktywnym uczestnikiem wysiłków swego wielkiego ojca, Henryka Brodatego, by uczynić z śląskiego władztwa potęgę zdolną stanąć na czele pozostałych księstw. Obserwował jego politykę zmierzającą do objęcia tronu krakowskiego, który wciąż był postrzegany jako klucz do dominacji nad podzielonym dziedzictwem Krzywoustego. Wielu historyków przypisywało Henrykowi Brodatemu dążenie do koronacji. Jeśli byłaby to prawda, jego syn pozostawałby w szkole władcy przekonanego o możliwości odegrania wielkiej roli dziejowej. Stary książę kreślił swoją wizję władzy z niezwykłym rozmachem, ale nie dostrzegał jeszcze wszystkich dokonujących się już zmian cywilizacyjnych, nie godził się z możliwością dzielenia się swoim autorytetem, nie doceniał narodzin nowej elity dojrzewającej do przejmowania sterów władzy rozumianej nie tylko jako źródło mocy, ale bardziej jako narzędzie kształtowania losów wspólnoty odwołującej się do tej samej religii i kultury. Taka władza była czymś o wiele większym niż rozłożona nawet na kilka pokoleń idea prestiżu rodu czy obrony jakiegoś terytorium. A Henryk Brodaty wciąż pozostawał w świecie osobistej odpowiedzialności władcy za losy jego poddanych, w którym funkcję zwornika pełnił chrześcijański cesarz. W tej przestrzeni wciąż trwał pełne zwrotów zmaganie Stolicy Apostolskiej o nadanie Kościołowi koniecznej do pełnienia jego zadań podmiotowości. Współczesnemu człowiekowi nie jest łatwo wyobrazić sobie ten splot interesów świeckich i religijnych przebiegający przez dwory i katedry w całej Europie, ale z całą pewnością Henryk Brodaty, wikłając się w spór z biskupem wrocławskim Tomaszem I o szczegóły administracji i polityki ekonomicznej, wiedział, że jest to element obrony starego ładu, w którym on, jako książę, powinien mieć prawo decydowania o wszystkich relacjach dotyczących jego poddanych.

Trudno dociec, na ile Henryk nazwany przez potomnych Pobożnym, utożsamiał

się wówczas z projektem swojego ojca, ale pozostawał mu wierny we wszystkich przedsięwzięciach. Stawał u jego boku nie tylko w staraniach o Kraków, ale i w dyplomatycznych potyczkach mających przynieść trwałe sojusze głównie w Niemczech i Czechach. Po haniebnym napadzie Konrada Mazowieckiego w Gąsawie, zakończonym uwięzieniem Henryka Brodatego, jego następca udowodnił, że potrafi przejąć i utrzymać ster rządów. Odtąd Henryk Pobożny występował w dokumentach pod własną tytulaturą jako „młodszy książę Śląska”, brał udział w zmaganiach o odzyskanie ziemi lubuskiej i w wyprawach przeciwko wielkopolskim krewnym, bronił też śląskiego dziedzictwa przed atakami Rusinów. Uczył się władać instrumentami prawnymi i koligacjami, dzięki którym na Śląsku z roku na rok przybywało z zachodu, głównie z Saksonii, Łużyc, ale i dalszych ziem za Łabą, coraz więcej gości-osadników. W państwie rządzonym przez Henryków nastawał nowy ład, znaczony obcą mową i obyczajem, atrakcyjny dla średniowiecznych przedsiębiorców, architektów, adeptów wszelakich nauk, ale też włóczęgów i żebraków chętnych, by z owego ekonomicznego splendoru uszczknąć coś dla siebie.

Małżeńskie ścieżki

W 1216 lub 1218 r. Henryk poślubił córkę czeskiego króla Przemysła Ottokara I, Annę. Projektowane jako polityczny mariaż małżeństwo to okazało się nad wyraz szczęśliwe. Nie ma w źródłach ani jednego śladu świadczącego o jakimś rozdźwięku pomiędzy obojgiem młodszych księstw. Zanim synowi Brodatego przyszło objąć samodzielne rządy, na świat przyszło 12 jego dzieci, choć – jak to bywa ze średniowiecznymi metryczkami – nie jesteśmy w stanie ustalić dokładnej kolejności ich urodzin. Atmosferę religijną dworu wrocławskiego kształtowała światobliwa żona Henryka Brodatego, Jadwiga, ale ani syn, ani synowa nie poszli wprost po śladach jej radykalnej ascezy. Wśród polskich twórców znaleźli się pisarze, którzy odmalowali postać księżnej Anny jako pysznej i obcesowej kobiety, która z trudem przyjmowała wychowawcze uwagi teściowej. W istocie ta figura hagiograficzna ma niewiele wspólnego z historyczną prawdą. Przeciwnie, obie władczynie pociągał ten sam ideał gorliwości franciszkańskiej, który >>

» zdobywał coraz gwałtowniej dusze chrześcijan w całej Europie i żywy był w rodzinie piastowskiej choćby przez osobę św. Elżbiety, siostrzenicy starszej księżnej.

Przed 1234 r. udało się Henrykowi Pobożnemu dokonać fundacji pierwszej na ziemiach polskich placówki Zakonu św. Franciszka. Sprowadzeni z Pragi bracia osiedli w klasztorze św. Jakuba posadowionym na działce tuż obok nowo wzniesionego zamku książęcego. Młodszy książę i jego małżonka inicjowali w ten sposób dzieło budowy „wrocławskiego Asyżu”, gdzie z czasem swoją siedzibę miały znaleźć także Ubogie Siostry św. Klary i opiekunowie szpitala, krzyżowcy z czerwoną gwiazdą. Ten nowoczesny jak na tamte czasy kompleks, tworzony na wzór Pragi z pomocą siostry księżnej Anny, dziś już świętej Agnieszki, odpowiadał na zapotrzebowania społeczne stolicy Śląska, lokowanej na nowym prawie, otwierającej swe podwoje wszystkim, którzy pragnęli się tu dorobić albo skorzystać z jego oferty kulturalnej. Bracia zebrzący jednak w pierwszej kolejności zachowywali jak najściślejsze związki z dynastami: spieszyli z posługą sakramentalną księżnej Jadwidze, choć ta przecież powszechnie kojarzona jest z kręgiem cysterskim, w klasztorze św. Jakuba szukali pomocy duchowej Henryk Pobożny wraz z Anną i tu odprawiali codziennie franciszkańską jutrznię. W klasztornym kościele miały także w przyszłości spocząć szczątki poległego pod Legnicą księcia. Franciszkanie pełnili dla dworu funkcje dyplomatyczne, kancelaryjne, z czasem spisali żywot zmarłej w 1243 r. roku księżnej Jadwigi, a po niej jej synowej. Ich siedziby, które wkrótce miały objąć gęstą sieć Śląsk, były zazwyczaj okazałymi zespołami budowanymi z wykorzystaniem dokonań architektury gotyckiej w jej najlepszym wydaniu, otwierającymi swe podwoje dla zdolnych filozofów i teologów.

Władca idealny

Henryk Pobożny przejął wszystkie tytuły władzy na Śląsku, w części Wielkopolski i w ziemi krakowskiej w 1238 r. Kroniki śląskie ukazują go jako gorliwego naśladowcę ojca, milcząc jednak na temat trudności wewnętrznych, z którymi przyszło mu się borykać na początku samodzielnych rządów. Gdy udało mu się przekonać do siebie wpływowe kręgi możnowładz-

stwa, musiał się pogodzić z utratą Opola i Sandomierza, gdzie młodzi książęta zrzucili narzuconą im ongiś prawną opiekę śląskiego dominanta. Legitymował się jednak na tyle mocnym autorytetem w rozległej piastowskiej rodzinie, że żaden z konkurentów nie śmiał wykorzystać przeciwko niemu brandenburskiej rejsy na Lubusz i Santok. W 1239 r. po śmierci swego największego konkurenta, Władysława Odonica, zdobył Gniezno, obejmując władzę nad całą Wielkopolską. W ten sposób główny korpus owej „monarchii Henryków”, rozciągniętej na ogromnym

W PAŃSTWIE RZĄDZONYM PRZEZ HENRYKÓW NASTAWAŁ NOWY ŁAD, ATRAKCYJNY DLA ŚREDNIOWIECZNYCH PRZEDSIĘBIORCÓW, ARCHITEKTÓW, ADEPTÓW WSZELAKICH NAUK, ALE TEŻ WŁÓCZĘGÓW I ŻEBRAKÓW

obszarze pomiędzy dorzeczem Noteci na północy aż po źródła Wisły, została w rękach śląskiej linii Piastów. Czy była to droga do zjednoczenia dziedzictwa zostawionego przez Bolesława Krzywoustego i starań o koronę? Niestety, wbrew optymistom trudno to orzec. Zabiegi o przychyłność Stolicy Apostolskiej, a nawet przejście do obozu przeciwników cesarza mogą być tu tylko pewnym tropem. Wiele wskazuje na to, że następcą Henryka Brodatego nadawał swojej władzy nową jakość i obierał nieco inne cele niż wielki przodek. Brał pod uwagę możliwość dzielenia się swoją władzą z tymi elitami, które zdolne byłyby dołożyć do

śląskiego projektu elementy bardziej uniwersalne i wykraczające poza ramy jednego pokolenia. Nie porzucając opieki nad ośrodkami zakonnymi, bo te były tradycyjnymi dla śląskich Piastów punktami oparcia, skłaniał się Pobożny wyraźnie ku bliskiej współpracy z hierarchią kościelną. Bardzo sprawnie wykorzystał cały swój talent dyplomatyczny, by zakończyć konflikt z biskupem wrocławskim i obłaskawić arcybiskupa gnieźnieńskiego Pełkę. Nie wiadomo, jak daleko był gotów posunąć się na tej drodze wspierania rozwoju Kościoła, jedno wszakże pozostaje pewne – w ocenie Grzegorza IX, a ten był papieżem świadomym swej potęgi duchowej i politycznej, zasłużył na miano księcia „bardzo chrześcijańskiego”. Ojciec Święty umieścił go tym samym w pierwszym rzędzie władców stojących u jego boku na straży Kościoła ożywianego duchem krucjat i sporów o uniwersalia.

Nieprzerwany projekt

Gdy 9 kwietnia 1241 r. władcy europejscy wymieniali gorączkową korespondencję, przekazując sobie wieści o gwałtownej śmierci Henryka Pobożnego, wyglądało na to, że śląska passa właśnie się skończyła. Udało się wprawdzie zatrzymać pochod ludów Goga i Magoga – choć nie milkną dyskusje mediewistów co do celów i skali tej rejsy – ale jasne się stało dla wszystkich, że nadszedł koniec kruchej jedności politycznej państwa Henryków. Wkrótce się jednak okazało, że nawet spory pomiędzy synami księżnej Anny i podział śląskiego władztwa nie były w stanie zatrzymać dalszego rozkwitu dzielnic. Wdowa po Henryku nie była raczej, wbrew autorowi jej żywota, regentką, ale to właśnie ona zadbała o wypełnienie testamentu męża. Schorowana, lecz żyjąca ze swoimi poddanymi, pozostała wierna ideałom franciszkańskim, dbając osobiście o zaspokajanie potrzeb najuboższych. Jej bliskie relacje z hierarchią kościelną i najważniejszymi europejskimi ośrodkami zakonnymi dopomogły w przygotowaniach procesu kanonizacyjnego św. Stanisława i jej własnej teściowej. Anna zmarła w 1265 r., doczekawszy się 26 wnucząt reprezentujących coraz bardziej rozrastające się piastowskie drzewo. Wśród tego liczego potomstwa nie brakło roztropnych gospodarzy, trubadurów i zwykłych raubritterów, jednemu wszakże z nich, Przemysławowi II, udało się dostąpić zaszczytu koronacji. ■

Tatar uchodzący
z łupem, rycina z XIX w.

MONGOŁOWIE

**ZANIM MONGOLSKA ARMIA STARŁA SIĘ Z POLAKAMI POD LEGNICĄ,
PRZEZ DOBRE PÓŁ WIEKU PODPORZĄDKOWYWAŁA SOBIE OGNIEM
I MIECZEM AZJĘ ORAZ ZIEMIE RUSKIE**



**MAREK
BARAŃSKI**

W XII w. tereny dzisiejszej Mongolii zamieszkiwały walczące niejednokrotnie ze sobą koczownicze plemiona mongolskie i tureckie. W końcu wieku zaczął jednoczyć je wódz jednego z plemion, Temudżyn. W 1197 r. był już tak silny, że uznany został za chana. W 1206 r. opłynał całą Mongolię i na powszechnym zjeździe, zwanym kurultajem, przyjął tytuł Czyngis-chana. Jego władzę uznawały już nie tylko plemiona mongolskie, ale też tureccy Tatarzy, Ujgurowie, a także inne plemiona. Po roku 1206 Czyngis-chan rozpoczął podboje na jeszcze większą skalę.

W 1211 r. poprowadził swe wojska przeciw Chinom i w 1215 r. zajął Pekin. W czasie tej kampanii Mongołowie walczyli z okupującymi północne Chiny Dżurdżenami, podbój Chin północnych zakończył się w latach 1231–1234. W 1219 r. Czyngis-chan skierował swoje wojska na Azję Środkową, podbijając Chorezm wraz z bogatymi miastami Samarkandą i Bucharą. Podboje Czyngis-chana charakteryzowały się wielkim okrucieństwem, Mongołowie dokonywali mordów, podpalali i niszczyli miasta. Zarazem jednak oszczędzali tych, którzy mogli być przydatni w ich państwie. Po podboju Chorezmu Czyngis-chan skierował uwagę na Europę Wschodnią.

W 1221 r. Mongołowie pod dowództwem Dżebe i Subedeja pokonali żyjących w pobliżu Kaukazu Alanów i zaatakowali Połowców. Połowcy byli ludem tureckim koczującym na stepach czarnomorskich. Od niemal stu lat atakowali księstwa ruskie. Teraz jednak, po klęsce poniesionej w walce z Mongołami, Połowcy zwrócili

się o pomoc do Rusi. Książęta ruscy, widząc potęgę Mongołów, zdecydowali się wspólnie z Połowcami przeciwstawić napastnikom. Do spotkania wojsk doszło nad rzeką Kalką, na północ od wybrzeża Morza Azowskiego. Na czele wojsk mongolskich stali wodzowie Dżebe i Subedej, wśród książąt ruskich znaleźli się m.in. Mściśław Udały i Daniel, książę wołyński. Wojska rusko-połowieckie zostały rozbite, jednak Mongołowie ruszyli nie na zachód, lecz na państwo Bułgarów kamskich. Ponieważ nie odnieśli zbyt wielkich sukcesów, wycofali się.

Następcy Czyngis-chana

Czyngis-chan zmarł w 1227 r., dwa lata później wielki kurultaj zatwierdził wyznaczony przez niego podział państwa pomiędzy jego potomków. W wyniku tych decyzji Ugedej został wielkim chanem i posiadał zachodnią Mongolię oraz zachodnie Chiny, Czagataj dostał środkową Azję na wschód od Amu Darii, Tołuj >>

>> – wschodnią Mongolię i północne Chiny, Batu-chan natomiast – tereny na zachód od Irtyszu. Potomkowie Czyngis-chana kontynuowali podboje, podbili Koreę, Tybet, Wietnam, podporządkowali sobie Chiny, zajęli Persję, zdobyli Bagdad, obalając ostatniego abbasydzkiego kalifa. Na zachód ruszył Batu-chan.

W 1236 r. Mongołowie Batu-chana zniszczyli państwo Bułgarów nadwołżańskich i podbili ziemie Mordwinów. W roku następnym potomkowie Czyngis-chana uchwalili wyprawę przeciw Rusi, zorganizować ją miał Batu-chan. W 1238 r. armia mongolska wkroczyła na ziemie ruskie. Pod jej uderzeniem padały kolejne grody: Riazan, Kołomna, Twer, Rostów, Perejasław. Próbujący się przeciwstawić książę Jerzy Wsiewołodowicz został pokonany w bitwie na rzeką Sitą, Mongołowie pojmali go i ścięli. Następnie Batu podbił Ruś Zaleską. Nie udało mu się natomiast zdobyć Smoleńska ani podporządkować sobie Nowogrodu. Mimo to podbój Rusi trwał. W 1239 r. zdobyty został Czernichów, a w 1240 r. Mongołowie opanowali i spustoszyli Kijów, a także podporządkowali sobie Wołyń i Ruś Halicką. Na pokonanych ziemiach pozostawił Batu dawnych książąt, czyniąc z nich swoich poddanych. W 1239 r. w czasie walk na Rusi Mongołowie pokonali Połowców, których niedobitki z chanem Kotianem przyjął na Węgrzech król Bela IV.

W 1241 r. Batu-chan kontynuował swój marsz na zachód. Tym razem celem ataku były Węgry i Polska. Wódz Mongołów wiedział, że będzie miał do czynienia z trudnymi przeciwnikami. Węgry w XIII w. były silnym królestwem, ponadto ich król Bela IV mógł liczyć na pomoc polskich książąt, a także na wojska króla czeskiego Wacława I. Dlatego Batu rozdzielił swoje siły. Sam na Węgry poprowadził główne siły poprzez przełęcz Użocką, natomiast Pajdar ruszył na Polskę. Inne jeszcze oddziały mongolskie wtargnęły do Siedmiogrodu. Rozbitej na dzielnice Polski bronił książę Krakowa i Wrocławia Henryk Pobożny.

U bram Polski

Atak na Polskę rozpoczęli Mongołowie od działań rozpoznawczych. W styczniu 1241 r. niewielkie jeszcze zagony dotarły do Zawichostu i Drohiczyzna. Ale już w początkach lutego Mongołowie zdobyli Sandomierz i ruszyli na Koprzywnicę, Wiślicę i Skalmierz. Dalszy marsz

na Kraków zagroził im wojewoda krakowski Włodzimierz. Mongołowie cofnęli się w kierunku Sandomierza, Polacy podążyli za nimi. Pod Turskiem doszło do bitwy, w której Polacy ponieśli klęskę. Nie był to jeszcze właściwy atak. Mongołowie cofnęli się do Sandomierza, a następnie przeprawili na drugi brzeg Wisły i skierowali w rejon koncentracji.

Właściwy atak poprowadził Pajdar w początkach marca. Mongołowie doszli do Sandomierza i tu się rozdzielili, Pajdar na czele sił głównych ruszył na Kraków, natomiast Kajdan skierował się na północ, przechodząc przez Kujawy. Dowodzonym przez Pajdara mongolskim oddziałem zastąpiło drogę rycerstwo ziem krakowskiej i sandomierskiej pod dowództwem wojewody krakowskiego Włodzimierza, pod Chmielnikiem doszło do bitwy. Starcie to wygrali Mongołowie, ale nie rozbili polskich sił. Wojewoda Włodzimierz zdołał wycofać swoje siły, lecz Mongołowie dopadli go w okolicach Tarczka. Tam wojska polskie zostały rozgromione, zginął wojewoda Włodzimierz, a także kasztelan krakowski Klemens i kasztelan sandomierski Jakub.

Mimo klęski wojsk polskich Mongołowie ponieśli w walkach znaczne straty, bitwa opóźniła ich marsz na Kraków. Pozwoliło to przygotować obronę. I choć najeźdźcy miasto zdobyli i splądrowali, to jednak obronił się Wawel, a także Okół z kościołem św. Andrzeja. Po odstąpieniu spod Wawelu Mongołowie przez Bytom ruszyli w kierunku Wrocławia. Koło Raciborza księciu Mieszkowi opolskiemu udało się rozbić jeden z oddziałów mongolskich, jednak nie zmieniło to sytuacji. Najeźdźcy ominęli Racibórz i skierowali się do Opola, a następnie, po kilku drobnych potyczkach, podążyli za cofającymi się rycerzami polskimi do Wrocławia. Wrocław został spalony, uchodzący Polacy schronili się we wrocławskim grodzie. Mongołowie nie zdobywali grodu, lecz ruszyli w kierunku Legnicy.

Legnica i Węgry

Pod Legnicą czekał na nich książę Henryk Pobożny. Zebrał pod swoim dowództwem rycerstwo śląskie, małopolskie i wielkopolskie. Mimo apelu do chrześcijańskich władców o pomoc przybyli tylko nieliczne posiłki zagraniczne. Byli to przede wszystkim krzyżacy, templariusze, a także przebywający na wrocławskim dworze Czesi. Książę Henryk

zaapelował wprawdzie o pomoc do monarchów chrześcijańskich, ale nie doczekał się reakcji. Cesarz Fryderyk zajęty był rywalizacją z papieżem i z niemiecką opozycją, natomiast król Czech Wacław zebrał wprawdzie swe rycerstwo, ale nie przybył z pomocą pod Legnicę, tylko zatrzymał się na przełęczach sudeckich, skąd obserwował sytuację.

Książę Henryk nie zdążył zapobiec połączeniu się wojsk mongolskich dowodzonych przez Pajdara z tymi, które wiódł Kajdan. Mimo to musiał przyjąć bitwę. Doszło do niej 8 kwietnia 1241 r., Polacy ponieśli klęskę, książę Henryk zginął. Po bitwie Mongołowie spustoszyli jeszcze Łużyce i przez Morawy ruszyli na Węgry.

Król Węgier Bela IV potraktował poważnie zagrożenie ze strony Mongołów. Przyjął w swym królestwie Połowców pokonanych rok wcześniej przez Batu-chana. Miał nadzieję, że wojsko połowieckie wzmocni jego siły w spodziewanej walce. Węgrzy jednak zaczęli Połowców podejrzewać o sprzyjanie Mongołom, Połowcy zostali zaatakowani, ich wódz zginął. Przyjęci na Węgrzech koczownicy, broniąc się, rozpoczęli walkę z Węgrami. Król Bela IV zaapelował też do monarchów chrześcijańskich o pomoc, apel ten pozostał bez odpowiedzi. W tym czasie cesarz Fryderyk walczył z papieżem, natomiast na Tronie Piotrowym w 1241 r. doszło do zmiany. Na miejsce zmarłego Grzegorza IX został wybrany Celestyn IV, który zmarł po kilku miesiącach i przez następne dwa lata tron papieski nie był obsadzony. Choć zabrakło papieża, cesarz Fryderyk był zbyt zajęty sprawami Rzeszy, aby wysłać pomoc królowi Węgier czy księciu Henrykowi Pobożnemu. Na apel króla Beli odpowiedział tylko książę Austrii Fryderyk Bitny. Jednak choć przybył na Węgry, niewiele pomógł w ich obronie. Na pomoc Węgrom przybyli też templariusze.

Do bitwy doszło na równinie Mohi nad rzeką Sajó. Tam król Bela skoncentrował swe siły, tam też doszło do połączenia się kilku armii mongolskich. W krwawej bitwie Węgrzy zostali pokonani, z pogromu wydostała się tylko niewielka część ich wojska. Królowi Beli udało się uciec i schronić za Dunajem.

Do grudnia 1241 r. Dunaj był linią rozgraniczającą wojska Mongołów i siły węgierskie. Do ataku na południowe Węgry doszło dopiero w grudniu, gdy zamarzł Dunaj i Mongołowie mogli się przeprawić na południowy brzeg. Zdobyli oni



„Bitwa pod Legnicą”, miniatura z XIV-wiecznej „Legendy o Świętej Jadwidze”

Budę, Ostrzyhom, spustoszyli Chorwację, Sławonię i Bułgarię. Król Bela próbował znaleźć schronienie w Austrii, gdy jednak pojawił się na ziemiach należących do księcia Fryderyka, ten go aresztował i wypuścił, gdy król węgierski oddał mu kilka zachodnich komitatów. Po uwolnieniu Bela IV schronił się w Chorwacji na wyspie Rab, stamtąd uciekł do Trogiru.

Okupacja ziem węgierskich nie trwała długo. W 1242 r. dotarła do Europy wieść o śmierci wielkiego chana Ugedęja. Chcąc wziąć udział w wyborze następnego wielkiego chana, Batu wycofał się do Azji.

Znowu do Polski

Następny najazd mongolski na kraje zachodnie miał miejsce w 1259 r. Zanim do niego doszło, w 1258 r. chan Złotej Ordy Berke skierował pod wodzą Burundęja swe wojska na Ruś Halicką. Książę Halicza Daniel wobec potęgi tatarskiej porządkował się i w tym samym jeszcze roku wraz z Mongołami, których zaczęto u nas nazywać Tatarami, ruszył na Litwę i Ruś Czarną. Następnym etapem miał być atak na Węgry i na księstwo krakowskie. Ostatecznie Tatarzy odstąpili od planu uderzenia na Węgry, ich celem pozostała Polska, która miała być poddana grabieży. Wraz z Tatarami Burun-

deja na księstwo krakowskie ruszyli też zmuszeni do tego przez Tatarów ruscy książęta Daniel i Wasylko. W tatarskich szeregach byli Połowcy, a zapewne też Litwini.

Zagrożony Bolesław Wstydlivy zaczął się szykować do obrony. Lecz gdy Tatarzy wycofali się z ziem litewskich, uznał, że niebezpieczeństwo minęło, wrócił do działań przeciwko innemu polskiemu księciu. Tymczasem Burundej ruszył na Lublin i Zawichost. W grudniu 1259 r. obległ Sandomierz. Następnie Tatarzy pozostawili pod Sandomierzem przede wszystkim Rusinów, a sami ruszyli na północ. Złupili Wąchock, doszli pod Radom i Sulejów. Po połączeniu z armią działającą na południe od Gór Świętokrzyskich wzmocnili wojsko oblegające Sandomierz. Po zdobyciu miasta uderzyli na gród. Ponieważ zdobycie grodu było trudne, Tatarzy zaproponowali obrońcom honorowe poddanie się i możliwość wolnego wyjścia. Gdy jednak gród się poddał, Tatarzy zaatakowali wychodzących, jednych wymordowali, innych wzięli w jasyr. Gród spalili.

Po zdobyciu Sandomierza Tatarzy złupili Koprzywnicę, próbowali zająć Św. Krzyż. Pod Chęcinami doszło do koncentracji sił tatarskich i Burundej ruszył na Kraków. Po drodze złupione zostały Jędrzejów i Miechów. Książę krakowski i sandomierski Bolesław wraz ze swą żoną Kingą schronili się w Sieradzu. Pod Krakowem Tatarzy pojawili się w końcu lutego. Zniszczyli miasto, a także Mo-

giłę i Szczyrzyc, ale nie zdobyli Wawelu. W końcu 1260 r. Tatarzy wycofali się z ziem polskich.

Ostatnie najazdy

Ostatni wielki najazd Tatarów na Polskę miał miejsce w końcu XIII w., wiązał się z wydarzeniami na Węgrzech. Tam po śmierci króla Stefana V królem został Władysław IV. Nie od razu zaczął rządzić, w chwili wstąpienia na tron miał tylko 10 lat. Gdy zabrakło władzy, na Węgrzech wybuchły walki domowe. Zagrożony Władysław zwrócił się o pomoc do wodza Tatarów Nogaja i chana Złotej Ordy Telebogi. Tatarów mieli wspierać zaleźni od nich Rusini. Nie wsparli, gdyż Bolesław II książę mazowiecki w porozumieniu z Leszkiem Czarnym krakowskim uderzył na Ruś. Mimo to w roku 1286 Tatarzy zaatakowali Węgry i przez Węgrów zostali pokonani.

W końcu 1287 r. Nogaj chciał ruszyć przeciw Polsce, w tym celu porozumiał się z Telebogą. Ustalili, że Nogaj ruszy na Kraków, a Teleboga, któremu towarzyszyli Rusini, na Sandomierz. Gdy nie udało mu się zdobyć Sandomierza, zaczął rabować ziemie sandomierską. Przeciwno niemu wyruszył książę Leszek Czarny i zadał Tatarom klęskę pod Łagowem. Po tym niepowodzeniu Teleboga wycofał się na Ruś Halicką.

Nie powiodło się także Nogajowi pod Krakowem, miasto i zamek zdołały się obronić. Wobec tego niepowodzenia Tatarzy zaczęli pustoszyć Małopolskę. Choć spalili wiele miejscowości, to musieli się wycofać, bo Polakom pomogli Węgrzy. Na odsiecz przybył z wojskiem Jerzy z Sovaru i pobił Tatarów. Pobity Nogaj, tak jak Teleboga, wycofał się na Ruś Halicką. Tam obaj wodzowie spustoszyli ziemie ruskie.

Przez następny wiek Tatarzy nie zagrażali Polsce. Do następnego starcia doszło dopiero po 1340 r. Wtedy to, gdy król Kazimierz zaczął zajmować ziemie Rusi Czerwonej, spadkobiercami zmarłego księcia halickiego Bolesława Jerzego poczuli się też Tatarzy. Zaatakowali nawet Polskę, dochodząc do Sandomierza, ale nie udało im się zdobyć żadnego miasta. Niewiele też mogli zrabować, gdyż przeciw nim ruszył król Kazimierz. Zostali wyeliminowani z walk o Ruś.

Napady tatarskie na Rzeczpospolitą powtarzały się niejednokrotnie aż do końca XVII w. Były uciążliwe, ale nie zagrażały już istnieniu państwa.

HENRYK POBOŻNY

W OBRONIE CHRZEŚCIJAŃSKIEGO UNIWERSUM

STANISŁAW WYSPIAŃSKI W SWOIM RAPSDODZIE KORONOWAŁ POBOŻNEGO NA POLSKIEGO KRÓLA, A OPRÓCZ KORONY DAŁ MU JESZCZE PALMĘ MĘCZEŃSKĄ. WYBRAŁ GO TEŻ JAKO JEDNĄ Z CZTERECH WAŻNYCH DLA POLSKI POSTACI, GDY PROJEKTOWAŁ KARTONY DO WAWELSKICH WITRAŻY. W DIECEZJI LEGNICKIEJ ZACZAŁ SIĘ NIEDAWNO PROCES BEATYFIKACYJNY KSIĘCIA HENRYKA



TOMASZ
ŁYSIAK

*Niechaj się święci moja Śmierć-Przemiana,
ducha przemiana, odrodzenia święto.
Tam chrzest przyjąłem na się z rąk tyrana,
chrzest krwi – gdy mię tam Bożego przyjęto.
Naród zakrzyknął cały: „On zmógł chana!”
„On święty polski”. – Głowę moją wtknięto
na żerdź. – Ujrzałem był rzeszę bez liku,
jako szalona drży: „Króluj!” w okrzyku.*

S. Wyspiański, „Henryk Pobożny pod Lignicą”



Tatarzy pod murami Legnicy w 1241 r. na miniaturze z XIV-wiecznej Legendy o Świętej Jadwidze

Jego śmierć różnie była opisywana w źródłach, a to właśnie poznanie przebiegu wydarzeń może być kluczowe dla wyniesienia na ołtarze.

Większość kronikarskich zapisków z epoki zawiera zdawkowe opisy bitwy i odnotowuje tylko to, że w jej trakcie książę zginął. Jedyny szczegółowy opis znajdziemy w kronice Długosza. Żywot św. Jadwigi Śląskiej, matki księcia, także nie przynosi nam w tej materii wiele konkretów, ale za to odślania ciekawy aspekt – jej więź z synem. Jadwiga miała przewidzieć i zobaczyć jego śmierć w proroczych snach. A właśnie to, z jakiej rodziny książę Henryk się wywodził, jest w opowieści o nim niezmiernie istotne. Jego ojciec Henryk Brodaty – któremu notabene znakomitą monografię poświęcił prof. Benedykt Zientara – myślał bowiem nie tylko o konsolidowaniu piastowskich ziem, ale też o ich unowocześnianiu. To jemu Śląsk zawdzięczał skokowy rozwój w pierwszych dekadach XIII w., lokacje miast, zakładanie kopalń czy wsi, a wreszcie sprowadzanie osadników i kolonistów z Niemiec. Matka zaś – św. Jadwiga, to postać o tak mocno uwytłoniętej duchowości i tak wysokich standardach życia religijnego, że jej własny spowiednik upraszał ją czasem, by już więcej się nie udrećzała. Ileż można włosienić własne ciało? Oto, gdy św. Jadwiga zimą chodziła boso, a spowiednik nakazał jej nosić obuwie – owszem, zgodziła się, ale buty zawiesiła sobie na szyi, w ten sposób czyniąc zadość poleceniom duchownego, a jednocześnie własnemu pragnieniu ekspiacynemu. Zresztą oboje z mężem byli niezwykle religijni. W takim to książęcym domu wychowywał się Henryk, a duchowość matczyzna oraz sposób rządzenia ziemiami piastowskimi przez ojca musiały się odcisnąć na jego duszy. Rok 1238 wyznaczył cezurę dla nich wszystkich. Henryk Brodaty zmarł, a Jadwiga przeniosła się do klasztoru w Trzebnicy. Henryk II podjął schedę książęcą po ojcu... Nie na długo jednak.

Najeźdźcy z piekieł

Kilka lat później rozpoczął się najazd mongolski, którego celem było podbicie i ujarznienie Europy. Główne uderzenie

wojsk Batu-chana poszło w stronę Węgier, na ziemie Piastów runął „jedynie” północny zagon. Pierwsze forpoczty Tatarów dotarły najprawdopodobniej nad San i Wisłę już zimą na przełomie lat 1240–1241 – w postaci szpiegów notujących położenie zamków, stanic, strażnic. Po zdobyciu i spaleniu Kijowa (miasto padło 6 grudnia 1240 r.) Tatarzy ruszyli w stronę Sandomierza i Krakowa, paląc miasta, łupiąc i mordując ludzi. Ich kojarząca się z piekielnym Tartarem nazwa wydaje się bardzo adekwatna – ówczesnym mieszkańcom ziem polskich musieli się wydawać najeźdźcami z piekła. Inaczej uzbrojeni, brudni (wiarą zakazy-

POD KOMENDĘ KSIĘCIA ŚLĄSKIEGO, KRAKOWSKIEGO I WIELKOPOLSKIEGO, JAKIM BYŁ HENRYK, PRZYSZLI NIE TYLKO RYCERZE POLSCY Z RÓŻNYCH DZIELNIC, LECZ TAKŻE KRZYŻOWCY, TEMPLARIUSZE I KRZYŻACY

wała im mycia się), wymazani zakrzepłą krwią, bardzo okrutni, zdawali się prawdziwym dopustem Bożym. Byli świadomi, że okrucieństwo stanowi swego rodzaju oręż psychologiczny, a „kary”, jakie wymierzali miastom ośmielającym się stawiać im opór, miały ułatwiać następne podboje. W Kijowie rzeź trwała przez tydzień, Mongołowie wręcz utopili stolicę Rusi we krwi. Przy życiu pozostawili zaledwie kilka nieszczęsnych osób i... puścili je wolno. To był też element ich taktyki: ocaleni mieli ponieść dalej, do miast i miasteczek, przerażające wieści o zbliżającej się armii, o nadciągającej apokalipsie.

Nowoczesna i bezlitosna armia

Jednocześnie zdać sobie trzeba sprawę z olbrzymiej przewagi militarnej, jaką Mongołowie mieli wówczas nad Europejczykami. Już samo wojowanie zimą stanowiło dla ówczesnego rycerstwa, grzejącego się w zamkach przy paleniskach, całkowite novum. A u Tatarów nawet konie były do działań na śniegu i mrozie przystosowane – np. zostały nauczone wygrzebywania suchych traw spod pokrywy śnieżnej, by się pożywić, a po założeniu specjalnych „ochraniaczy” na kopyta potrafiły posuwać się po skutych lodem rzekach, jak po ubitych traktach. Każdy wojownik tatarski miał zresztą na wyposażeniu co najmniej dwa konie i zmieniał je w trakcie jazdy, dzięki czemu wypoczywały. Mongołowie od dziecka szkolili się w specjalnie w tym celu powołanej akademii wojennej – ze stepowych łowców i sprawnych jeźdźców przekształcając się w wykwalifikowanych żołnierzy zawodowych. Ich niezwykle mobilna i szybka armia (cała konna) podzielona była na oddziały w systemie dziesiętnym (jak legiony rzymskie czy wojska perskie) – dziesięciotysięczne tümeny dzieliły się na mingany (tysiące), dżauuny (setki) i arbany (dziesiątki). Na ciele każdego poziomu struktury stali oficerowie i podoficerowie, którzy dla odróżnienia posiadali odpowiednie dystynkcje (wykonane z różnych materiałów tabliczki, tzw. pajdze). Siła ognia i olbrzymi zasięg strzału, znakomite łuki kompozytowe, które miały moc europejskiej kuszy, szły w parze ze świetnym wyszkoleniem taktycznym. Nieustannie ćwiczone rozliczne formacje marszowe i bojowe, w czym pomagał perfekcyjny system komunikacji (chorągwie i sygnały dźwiękowe). Potrafiono w mgnieniu oka zmienić ustawienie w trakcie bitwy, przechodzić od ostrzału do ataku, uciekać, nawracać, kłaść ogień ciągły, zaporowy etc. Reasumując – na ziemie polskie w początkach 1241 r. wjechała nie słabo zorganizowana banda dzikusów, lecz wielotysięczna, szybka, bezlitosna armia, która przygotowaniem i techniką walki była nieporównywalnie lepsza od ówczesnych wojsk europejskich.

Siły chrześcijańskiej Europy

Gdy rankiem 9 kwietnia książę Henryk wyjeżdżał spod legnickiego kościoła św. Marii i gdy tuż obok niego spadła na ziemię z hukiem dachówka, zerwana silnym wiatrem, ponoć interpretowano to >>

>> jako zły znak, omen. Ale kiedy na Dobrym Polu miał się zetrzeć z Tatarami – broniąc nie tylko swojego księstwa, ale i Europy oraz całego chrześcijańskiego uniwersum – liczyła się już nie kwestia złych znaków, lecz sprawność bojowa. Książę nie doczekał się posiłków czeskich od Wacława i musiał walczyć takimi siłami, jakie posiadał – czterema hufcami, dowodzonymi przez Bolka Dypoldowica – Szepiołkę, komesa Sulisława, księcia Mieszka II Otyłego oraz mistrza krzy-

sty, Jana Długosza. Prof. Gerard Labuda dowodził w monograficznej pracy „Zaginiona kronika z pierwszej połowy XIII wieku w rocznikach Królestwa Polskiego Jana Długosza. Próba rekonstrukcji” (Poznań 1983), że Długosz w opisie bitwy legnickiej oparł się na zaginionej, a napisanej zapewne niedługo po starciu na Dobrym Polu, kronice dominikańskiej. Jeden z najbliższych towarzyszy księcia, będący w hufcu odwodowym i bijący się z nim do końca – Jan Janowic – miał być

jako C. De Bridia. Autor był franciszkaninem, uczestnikiem misji papieża Innocentego IV, który w roku 1245 wysłał do Mongolii niewielką grupę ludzi, której celem było „wybadanie przeciwnika” i nawiązanie kontaktów z Mongołami. W wyprawie tej, poza wspomnianym C. De Bridią, wzięli udział jego zakonni współbracia – Giovanni da Pian del Carpine oraz Benedykt Polak. Nie jest pewne, czy to, co spisał De Bridia, to jego własna relacja, czy też opowieść Benedykta, wiemy natomiast, że dzieło powstało w latach 1247–1251. Ten swoisty podróżniczy traktat etnograficzno-polityczny to niezwykła relacja z podróży, a potem z rozmów z Mongołami. A co za tym idzie, także zapis relacji z drugiej strony – zatem bezcenne źródło do historii samej bitwy i kwestii okoliczności śmierci księcia Henryka. Najważniejszy fragment, który o niej mówi, brzmi tak: „Tatarzy zaś podążając dalej na Śląsk, wszczęli bitwę z księciem Henrykiem, wówczas najbardziej chrześcijańskim [władcą] tej ziemi i kiedy już, jak opowiadali temuż bratu Benedyktowi, chcieli uchodzić [z pola walki], szyki bojowe chrześcijan rzuciły się niespodziewanie do ucieczki. Wtedy księcia Henryka wzięli Tatarzy do niewoli i całkowicie obrabowali, a kazali mu klękać przed martwym wodzem, który poległ w Sandomierzu. Głowę jego jakby głowę barana zawieźli przez Morawy na Węgry do Batu i wkrótce potem rzucili ją między głowy innych poległych”.

Wysłana do Batu głowa Henryka była trofeum zdobytym na potężnym przeciwniku. Wódz mongolski Ordu widział Pobożnego jako tego, który samym sobą utożsamia wielkość i siłę chrześcijańskiego świata. Zapisy z „Historia Tartarorum” mogą się stać jednym z fundamentalnych źródeł w pracy komisji historycznej powołanej w procesie beatyfikacyjnym przez biskupa legnickiego. Świadczą one bowiem o tym, że Henryk zginął śmiercią męczeńską poza terenem bitwy i że jemu, najbardziej chrześcijańskiemu (!) z władców, odcięto głowę, gdyż stawiał opór barbarzyńskim najeźdźcom jako obrońca cywilizacji łacińskiej. Intuicja Wyspiańskiego piszącego przejmujący rapsod o księciu Henryku już niedługo, jak Bóg da, ziści się, a bohater spod Legnicy zostanie wyniesiony na ołtarze...

NAJBARDZIEJ CHRZEŚCIJAŃSKIEMU (!) Z WŁADCÓW ODCIĘTO GŁOWĘ, GDYŻ STAWIŁ OPÓR BARBARZYŃSKIM NAJEŹDŹCOM JAKO OBROŃCA CYWILIZACJI ŁACIŃSKIEJ

zackiego Poppona von Osterna. Niech cię, czytelniku, owi krzyżacy nie dziwią – pod komendę księcia śląskiego, krakowskiego i wielkopolskiego, jakim był Henryk, przyszli nie tylko rycerze polscy z różnych dzielnic, ale także krzyżowcy, templariusze i krzyżacy. Pobożny słał, gdzie mógł, dramatyczne apele, by razem, formując chrześcijańsko-europejskie siły, stawić czoła barbarzyńcom ze Wschodu. W tej przedziwnej zatem mieszaninie wojsk, w której jeszcze – co ważne – znaleźli się górnicy z niedawno założonych kopalń (Złotoryja), kryje się więc treść, która każe odczytać legnickie starcie jako coś więcej niż lokalną bitwę. To były siły chrześcijańskiego uniwersum zjednoczone pod śląskimi barwami księcia Piasta. Miał tego świadomość i on sam, i Mongołowie, którzy musieli doceniać swego przeciwnika... Śmierć Henryka nabiera przez to dodatkowych wymiarów i znaczeń.

Śmierć Pobożnego według Długosza

Tak jak już wspominałem, przez wiele lat historycy mieli w kwestii okoliczności śmierci Pobożnego ograniczone pole manewru, jeśli chodzi o próbę wyciągnięcia z dostępnych źródeł szczegółowych informacji. Korzystali przede wszystkim z kronik wspaniałego polskiego annali-

owym autorem relacji, którą Długosz zapisał tak: „Jan Iwanowic, raniony w czasie tej ucieczki, mimo wszystko uciekł, książę Henryk stracił możliwość ucieczki i wymknienia się i po raz trzeci otoczyli go Tatarzy. Pozbawiony więc wszelkiej nadziei, by mógł ujść, ciągle na nowo z ogromną odwagą walczył z Tatarami, raz z lewej, raz z prawej strony. Ale kiedy podniósłszy prawą rękę, chciał ugodzić Tatara, który mu zagroził drogę, drugi Tatar przebił go dżidą pod pachą. [Książę] zwiesiwszy ramię, zsunął się z konia ugodzony śmiertelnie. Tatarzy wśród głośnych okrzyków i chaotycznej, nieprawdopodobnej wrzawy ujmują go i wyciągnąwszy go poza teren walki na odległość dwóch miotów z kusz, mieczem obcinają głowę, a zerwawszy wszystkie odznaki, pozostawiają nagie ciało”...

Śmierć Pobożnego według Mongołów

W latach 60. ub.w. świat zdumiał się niezwykłym woluminem przyniesionym na sprzedaż do pewnego antykwariusza w Stanach Zjednoczonych. Znajdowały się w nim: budząca wiele kontrowersji mapa „The Vinland map” (znajdował się na niej zarys wybrzeża Ameryki Północnej) oraz manuskrypt spisany przez mnicha podpisującego się



HENRYK POBOŻNY. ŚWIADECTWO, KTÓRE TRWA I PRZEMAWIA

ROZPOCZĘCIE PROCESU BEATYFIKACYJNEGO ŚWIADCZY O TYM, ŻE TRWA DO DZISIAJ PAMIĘĆ O HENRYKU POBOŻNYM – SYNU HENRYKA I BRODATEGO ORAZ JADWIGI Z ANDECHS-MERAN, PÓŹNIEJSZEJ ŚWIĘTEJ, MĘŻU KSIĘŻNEJ ANNY ŚLĄSKIEJ, OJCU ICH 12 DZIECI, KTÓRY ZGINĄŁ Z RĄK MONGOŁÓW NA LEGNICKIM POLU 9 KWIETNIA 1241 r.



FOT. DIECEZJA LEGNICA.PL

Biskup legnicki Zbigniew Kiernikowski rozpoczął proces beatyfikacyjny księcia Henryka II Pobożnego. Miało to miejsce 5 czerwca 2021 r. w bazylice kolegiackiej im. św. Jadwigi Śląskiej w Legnickim Polu, gdzie odprawiona została uroczysta msza św. w intencji wyniesienia na ołtarze sługi Bożego Henryka Pobożnego jako



**STANISŁAW
ANDRZEJ
POTYCZ**

męczennika za wiarę, oraz w Muzeum Bitwy Legnickiej, gdzie zostały ogłoszone składy Trybunału Beatyfikacyjnego i Ko-

misji Historycznej. Wcześniej postulatorem procesu został ustanowiony ks. prof. Bogusław Drożdż.

Czcić na wieki pamięć Henryka Pobożnego

Wielu klasztorach już w XIII w. czczono pamięć Henryka Pobożnego modłami i nabożeństwami, jakie przysługują

tylko świętym, o czym świadczy zalecenie opata Piotra zapisane w „Księdze Henrykowskiej” (ok. 1270 r.), aby na wieki czcić pamięć księcia: „we wspominkach [...] modlitwach i nabożeństwach żałobnych”. Profesor Franciszek Antoni Marek w jednym ze swoich wykładów („Śladami Henryka Pobożnego i księżnej Anny”, red. S.A. Potycz, Legnica 2015, s. 153) zauważa, że treść i forma tego zalecenia pozwalają domniemywać, iż opisany sposób czczenia pamięci księcia nie miał wyłącznie charakteru lokalnego, klasztornego, lecz stanowił realizację postulatów wyższych władz Kościoła.

Natomiast biskup legnicki Zbigniew Kiernikowski, zwracając się w liście z 28 września 2015 r. do Konferencji Episkopatu Polski o zgodę na rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego księcia, napisał: „Godna zauważenia jest zainaugurowana w konwencie wrocławskich franciszkanów kultywowana tradycja, trwająca do czasów reformacji, a związana ze sprawowaniem Eucharystii w rocznicę śmierci Henryka II Pobożnego – była to uroczyste celebrowana msza św. na miejscu pochówku księcia”. To tylko dwa z licznych przykładów modlitewnej pamięci o poległym władcy na przestrzeni wieków.

Współczesna pamięć o księciu

Pamięć o nim jest także żywa w czasach współczesnych. Zabiegają o Boże łaski za jego wstawiennictwem i wypraszają dla niego chwałę błogosławionego w Kościele liczni wierni, w tym wspólnoty świeckich, np. Duszpasterstwo Ludzi Pracy '90 w Legnicy, powstałe 9 kwietnia 1990 r. w rocznicę męczeńskiej śmierci księcia, Fraternia Piastowska we Wrocławiu – bratowo osób świeckich założone w 2002 r., czy istniejące od 9 kwietnia 2015 r. Stowarzyszenie Sióstr i Braci Henryka Pobożnego (Bractwo Henryka Pobożnego), stanowiące wspólnotę wiernych, świeckich i duchownych, pochodzących z różnych stron Polski, którzy za wzór duchowy przyjęli postawy i wartości reprezentowane przez księcia oraz jego małżonkę. Członkowie Bractwa modlą się przede wszystkim w Legnicy, która jest ich siedzibą, oraz w bazylice kolegiackiej św. Jadwigi Śląskiej w Legnicy. Ale modlili się także w klasztorze ss. Urszulanek Unii Rzymskiej we Wrocławiu przy grobie księżnej Anny Śląskiej oraz w katedrze eparchii wrocławsko-gdańskiej Ukraińskiego Kościoła

Greckokatolickiego pw. św. Wincentego i św. Jakuba we Wrocławiu, dawnym kościele Franciszkanów ufundowanym przez księżną parę, w którym książę został pochowany i w którym jego szczątki znajdowały się do 1941 r. W tym ostatnim spotkaniu udział wzięło duchowieństwo rzymskokatolickie i greckokatolickie oraz wierni obydwu tych obrządków.

Wiele osób, w tym wspólnota Duszpasterstwa Ludzi Pracy '90, w prośbach o wyniesienie księcia do chwały ołtarzy wykorzystuje specjalnie napisaną w tym celu w 2011 r. przez ks. Bogusława Drożdża „Modlitwę za wstawiennictwem

wicach, dowiedziała się wtedy o Henryku Pobożnym i koniecznie chciała przyjechać do Legnicy i Legnickiego Pola. Zamiar ten zrealizowała podczas następnego pobytu w Polsce, w sierpniu 2017 r., kiedy trzy dni spędziła w Legnicy. Odwiedziła wtedy również Legnickie Pole, Krzeszów i Wrocław.

Książę na obrazach...

Pamięć o Henryku Pobożnym przetrwała do dzisiaj także w dziełach sztuki. Wiele z nich to dzieła malarskie, np. obraz z 1730 r. nieznanego autora ze szkoły

HENRYK POBOŻNY OD WIEKÓW CIESZY SIĘ OPINIĄ ŚWIĘTOŚCI JAKO MĘCZENNIK, KTÓRY ODDAŁ ŻYCIE W OBRONIE WIARY

śługi Bożego Henryka Pobożnego” przeznaczoną do prywatnego odmawiania. Warto przytoczyć jej fragment: „Dzięki Twej łasce książę Henryk stanął w obronie chrześcijaństwa, przeciwstawiając się hordom tatarskim ze Wschodu, a oddając swe życie za wiarę, poprzez męczeńską śmierć dał przykład miłości do Jedynego Zbawiciela Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła”.

Za granicą też pamiętają

Zainteresowanie osobą Henryka Pobożnego wyrażają również osoby mieszkające w Chorwacji, na Filipinach, w Indiach, Malezji, na Malcie, w Pakistanie, na Tajwanie, w USA i we Włoszech. Czynią to w korespondencji e-mailowej i listownej, kierowanej na adresy podane na portalach Duszpasterstwa i Bractwa, w której najczęściej pytają o jego relikwie. Zauważyć w tym miejscu należy, że na razie nie można mówić o relikwiach księcia, bo nie jest on jeszcze ani błogosławionym, ani świętym, a jego doczesne szczątki znajdują się prawdopodobnie w Muzeum Antropologicznym w Berlinie.

Ciekawym przykładem zainteresowania postacią księcia za granicą jest młoda Chinka z Tajwanu, która przyjechała do Polski w 2016 r. na Światowe Dni Młodzieży w Krakowie. Od jednego z członków Bractwa, który wraz z żoną gościł wówczas ją i dwie jej koleżanki w Kato-

Michała Willmanna, znajdujący się w kościele urszulanek pw. św. Klary i św. Jadwigi we Wrocławiu, który przedstawia Henryka Pobożnego jako świętego, z głową ozdobioną świetlistą aureolą, obok której umieszczono napis „S. Henricus Fundator” (litera „S.” oznacza tutaj wyraz „Sanctus” – „Święty”). W kościele tym znajduje się także obraz tego samego autora, przedstawiający księżną Annę Śląską z głową ozdobioną świetlistą aureolą, obok której znajduje się inskrypcja z literą „B” (skrót od „Beatus” – „Błogosławiona”).

Z innych odniesień malarskich do postaci księcia warto odnotować: „Kodeks lubiński” (1353) – rękopis z legendą obrazową o św. Jadwidze, w tym z wątkami o bohaterskiej śmierci księcia i z jego postacią unoszoną do nieba (The J. Paul Getty w Malibu – USA); „Tablicę Bernardyńską” (1430) – ze scenami bitwy i męczeńskiej śmierci księcia, namalowaną dla konwentu wrocławskich franciszkanów (Muzeum Narodowe w Warszawie); „Kodeks harburski” (połowa XV w.) – z dwiema kolorowymi miniaturami przedstawiającymi zranienie księcia na polu bitwy i ścięcie go w obozie mongolskim (Biblioteka Uniwersytecka w Augsburgu); obraz pędzla Johanna Jacoba Eybelwiesera (1723) – przedstawiający Henryka Pobożnego w zbroi i czerwonym płaszczu, podszytym gronostajem, na tle bitwy pod Legnicą (Muzeum >>



» Historyczne we Wrocławiu); obraz pędzla Johanna Franza de Backera (1730) i freski pracowni Cosmasa Damiana As-sama (1733) – przedstawiające scenę odnalezienia przez św. Jadwigę zwłok Henryka Pobożnego (bazylika w Legnickim Polu); rysunek Aleksandra Lessera (1884) – także z motywem odnalezienia przez św. Jadwigę zwłok syna (Muzeum Historyczne we Wrocławiu); obrazy Jana Matejki „Wyjazd Henryka Pobożnego z Legnicy” z 1865 r. (Muzeum Narodowe w Poznaniu) i „Klęska Lignicka – Odrodzenie”, namalowany w l. 1888–1889 (Muzeum Narodowe w Warszawie); obraz Andrzeja Boja Wojtowicza z 2019 r. przedstawiający postać Henryka Pobożnego (Muzeum Miedzi w Legnicy).

...i w innych dziełach sztuki

Liczne są również niemalarskie odniesienia artystyczne do postaci Henryka Pobożnego, np. płyta nagrobna księcia (druga połowa XIV w.) – z motywami eksponującymi jego czyn w kategoriach miles Christi, czyli krzyżowca, który poniósł śmierć w walce z poganami, jednak nadal żyjącego i triumfującego na płaszczyźnie życia duchowego oraz moralnego, w której to konwencji średniowieczni artyści ukazywali postacie świętych męczenników (Muzeum Narodowe we Wrocławiu); spektakl muzyczno-literacki wystawiony we wrześniu 1724 r. przez uczniów gimnazjum przy kościele św. Marii Magdaleny we

Wrocławiu, opisany w druku okolicznościowym wydany przez Oficynę Baumanna we Wrocławiu, z którego wynika, że spektakl był poświęcony Henrykowi Pobożnemu i jego bohaterskiej śmierci w bitwie z Tatarami, a autor utworu traktuje księcia jako świętego; dwa witraże (1902–1908) znajdujące się w kościele pw. Najświętszej Marii Panny w Legnicy; witraż według projektu Stanisława Wyspiańskiego – przedstawiający księcia, prace nad którym rozpoczął w 1899 r. w ramach wielkiego cyklu witrażowego, w którym zamierzał umieścić (w oknach katedry wawelskiej) przedstawienia legendarnych postaci: Lecha, Wandy i Piaśta, oraz historycznych: Bolesława Śmiałego, bp. Stanisława ze Szczepanowa, Kingi, Henryka Pobożnego i Kazimierza Wielkiego, ale z zaplanowanych wykonał tylko cztery kartony witrażowe z postaciami Wandy, Kazimierza Wielkiego, św. Stanisława i Henryka Pobożnego, z których zrealizowano – dopiero w latach 2005–2007 – trzy ostatnie i umieszczono je w Pawilonie Wyspiańskiego w Krakowie; dwa witraże w katedrze wrocławskiej (1951–1956) – na jednym z nich książę umieszczony jest wśród patronów katedry i miasta Wrocławia.

Wiele jest także dzieł pisanych nawiązujących do postaci Henryka Pobożnego. Oprócz już wspomnianych „Księgi Henrykowskiej”, „Kodeksu lubińskiego” i „Kodeksu harburskiego”, warto przywołać: „Żywoty świętych” ks. Piotra Skargi (1579) ze wzmiankami o Henryku Poboż-

nym jako osobie świątobliwej, która zginęła w obronie chrześcijaństwa; rapsod „Henryk Pobożny pod Lignicą” autorstwa Stanisława Wyspiańskiego (1900–1902), w którym poeta koronował bohatera utworu na króla Polski i zapowiedział, że zostanie on świętym; powieść „Legnickie Pole” Zofii Kossak-Szczuckiej (1930); powieść „Psy Tartaru” (2010) Tomasa Łysiaka (trzecia część jego trylogii „Kroniki szalbierskie”), której najważniejszą postacią jest Henryk Pobożny ginący w obronie chrześcijańskiego świata.

Henryk Pobożny od wieków jest otaczany kultem prywatnym. Cieszy się on bowiem opinią świętości jako męczennik, który oddał życie w obronie wiary chrześcijańskiej. Jego świadectwo ciągle trwa i przemawia, na co pięknie zwrócił uwagę Stanisław Wyspiański we wspomnianym rapsodzie: „Nad rdzewiejące bojowe oręża ostanie wieczność ran świadectwo żywe”. Rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego sługi Bożego Henryka Pobożnego pozwala mieć nadzieję, że w nieodległej przyszłości zostanie on uznany za błogosławionego, a potem – być może – kanonizowany. Gdy tak się stanie, spełni się przepowiednia Stanisława Wyspiańskiego:

„Naród zakrzyknął cały: »On zmógł chana! On święty polski!«”

Więcej informacji o Henryku Pobożnym i jego procesie beatyfikacyjnym można znaleźć na stronie Duszpasterstwa Ludzi Pracy '90: www.dlp90.pl.



Kościół jako mecenas

DUCH I POLITYKA



GRZEGORZ
GÓRNY

Kościół katolicki przez długie wieki pełnił funkcję największego mecenasa sztuk pięknych na świecie. Dzięki niemu mogły powstać najwspanialsze dzieła Giotto, Rafaela Santi, Leonarda da Vinci, Berniniego, Michała Anioła czy wielu innych mistrzów pióra, pędzla i dłuta.

W minionych wiekach religia w większym stopniu niż dziś odgrywała centralną rolę w ludzkiej egzystencji. Dla całych pokoleń nie ulegało wątpliwości, że Bóg jest absolutem, celem ziemskiej wędrówki i podstawowym punktem odniesienia, któremu warto poświęcić swe życie. Nic więc dziwnego, że starano się nadać blask i piękno miejscom związanym z oddawaniem Mu chwały. Zatrudniano więc rozmaitych artystów – architektów, rzeźbiarzy, malarzy, złotników – by budowali świątynie i tworzyli ich wystrój. Ponieważ oni sami byli zazwyczaj ludźmi głęboko wierzącymi, nie szczędzili wysiłków, by włożyć w dzieła nie tylko swe umiejętności, lecz także zawrzeć w nich swojego ducha, a wszystko „ad maiorem Gloriam Dei” (na większą Chwałę Bożą). W ten sposób świątynie stawały się prawdziwymi skarbnicami sztuki i kultury.

Najważniejsze sanktuaria przyciągające licznych pielgrzymów posiadały spore fundusze dzięki darowiznom, spadkom czy fundacjom zamożnych wiernych. Dzięki temu mogły zamawiać u znaczących twórców dzieła sztuki. Dlatego tam Kościół okazywał się szczególnie hojnym protektorem wielu artystów.

Podobnie działo się w Polsce, czego przykładem może być Częstochowa. Pragnieniem tamtejszych paulinów od samego początku było stworzenie dla Matki Bożej, obecnej w Jasnogórskiej Ikonie, istic królewskich warunków. Starali się, aby ich sanktuarium stało się miejscem wyróżnionym także dzięki obecnemu w nim pięknu. Kryło się za tym również żywe od wieków w Kościele przekonanie, że religia, by przemawiać do człowieka, musi zespalać się z kulturą. By człowiek, obcując z jej wytworami, w naturalny niejako sposób nasycał ewangelicznym przekazem. Najlepszym tego przykładem było malarstwo sakralne, które w czasach powszechnego analfabetyzmu pełniło funkcję katechetyczną jako „Biblia pauperum”.

Ten wymiar ewangelizacyjny sztuki ujawnił się szczególnie w czasach tzw. kontrreformacji, gdy barok stał się narzędziem propagowania religii katolickiej. Mecenasami były wówczas zakony oraz dostojnicy kościelni, by wymienić tylko prymasa Polski kardynała Michała Stefana Radziejowskiego, który na swym dworze zatrudniał wybitnych artystów, takich jak architekt Tylman z Gamerem czy malarz Michelangelo Palloni, a także

ufundował lub restaurował wiele kościołów, klasztorów, zamków i pałaców.

Polityka władz zaborczych w XIX w. oraz komunistycznych w XX w. osłabiła rolę Kościoła jako mecenasa sztuki. Wywłaszczanie Kościoła z jego majątków powodowało ubożenie duchowieństwa. Dysponując ograniczonymi funduszami, biskupi i księża woleli wydawać pieniądze na działalność duszpasterską, dobroczynną i społecznikowską niż na finansowanie przedsięwzięć artystycznych. W tym samym czasie dokonywała się też sekularyzacja elit, która dotknęła szczególnie świat kultury i sztuki. W efekcie twórcy, pozbawieni zamówień kościelnych, coraz rzadziej podejmowali tematykę religijną. Skutkiem tego rozejścia się dróg Kościoła i większości artystów stała się zapaść estetyczna, którą obserwować możemy na przykładzie wielu współczesnych świątyń.

Jedyną chyba dziedziną sztuki w Polsce, której najwybitniejsi przedstawiciele zachowali współcześnie artystyczną łączność z Kościołem, jest muzyka. Tacy kompozytorzy jak Witold Lutosławski, Krzysztof Penderecki, Henryk Mikołaj Górecki, Wojciech Kilar, Michał Lorenc, Paweł Łukaszewski czy Włodek Pawlik niejednemu raz tworzyli dzieła sakralne z myślą o wykonywaniu w świątyniach. Być może to otwarcie na absolut i transcendencję sprawia, że polska muzyka klasyczna, reprezentowana przez tak wielu twórców, należy – w odróżnieniu od malarstwa czy literatury – do światowej czołówki artystycznej.

MARIAN STARZEŃSKI – TYPOWY ZIEMIANNIN?

MARIANOWI STARZEŃSKIEMU, WYWODZĄCEMU SIĘ Z ARYSTOKRATYCZNEGO RODU, MAJĄCEGO TYTUŁ HRABIOWSKI OD 1780 r., PRZYSZŁO ŻYĆ W ZUPEŁNIE JUŻ INNYCH CZASACH NIŻ JEGO RODZICOM CZY DZIADKOM



Marian Kazimierz Starzeński,
ok. 1886 r.



**KAROLINA
WANDA GAŃKO**

Druga połowa XIX w. oraz pierwsza etapem w historii ziemiaństwa, które definiujemy, poczynając od XIX w., jako szlachtę posesjonatów, posiadających obszar ziemi powyżej 50 ha. Nie był już to czas, zwłaszcza po 1864 r., w którym w myśl porzekadła szlachcic na zagrodzie równy był wojewodzie. Znikoma była wówczas rola drobnej szlachty żyjącej często na poziomie zwykłych chłopów – widać to zwłaszcza na Mazowszu. Ziemiaństwo gospodarze musieli na przełomie XIX i XX w. przeprowadzić olbrzymią pracę modernizacyjną. Nierzadko od początku musieli wypracować odmienny od tradycyjnego model produkcji w swoich majątkach, prowadząc np. specjalistyczne gospodarstwa rybackie. Liczyć się zaczęli natomiast

mieszczanie i inteligencja, w przypadku Warszawy wywodzący się w znacznym stopniu ze zubożałej szlachty mazowieckiej. Inni, dorobiwszy się majątków, kupowali ziemię, co miało podnieść ich prestiż. Byli przez to stawiani wysoko w strukturze społecznej ówczesnej epoki, zajmując często znaczące stanowiska urzędnicze. Przykładem takich rodzin mogą być choćby Kronenbergowie i Epszteinowie. Wieś XIX był zatem czasem przewartościowania w wielu dziedzinach życia społeczeństwa: religii (antyklerykalizm, Kulturkampf), filozofii (nietzscheizm, marksizm), czy też w spojrzeniu na pochodzenie człowieka (teoria Darwina). Z owych przeobrażeń wynikały spory, w których konserwatywna część społeczeństwa, z ziemiaństwem na czele, broniła dawnych wartości wobec rozwijających się partii i kółek socjalistycznych. Konflikty widoczne były również na wsi, np. pomiędzy ziemianami a mieszkającymi w ich dobrach chłopami, czego skrajnym przykładem może być rabacja galicyjska 1846 r. Częściej, tak jak to miało miejsce w majątku Starzeńskiego, były to kradzieże czy podpalenia.

Ludzie i ryby

Zmiany światopoglądu widoczne były przede wszystkim po powstaniu styczniowym, które stanowiło punkt odniesienia dla działalności osób urodzonych w latach 60. XIX w. Było to „pokolenie niepokornych”, o którym pisał Bohdan Cywiński w książce „Rodowody niepokornych”, reprezentowane przez takie osobistości jak Roman Dmowski, Józef Piłsudski, Ignacy Jan Paderewski, Wojciech Korfanty czy Wincenty Witos spośród polityków, księża Władysław Korniłowicz czy Marcelli Godlewski spośród duchownych oraz inni działacze, jak Edward Abramowski, Ludwik Waryński czy Helena Radlińska. Do tego pokolenia należał także Marian Starzeński. Wymienieni politycy, reprezentujący różne programy ideowe, przyczynili się ostatecznie do odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 r. Na poziomie lokalnym walkę z zaborcą, a właściwie z agresywną rusyfikacją, prowadził także Starzeński, organizując tajne nauczanie w dworze na początku XX w. i pomagając w budowie kościoła w Dębem Wielkim. Zawodowa działalność hra-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

biego, zwłaszcza po I wojnie światowej aż do lat 30. XX w., nie była związana z wyuczonym zawodem prawnika. Skupiła się na dość wąskiej dziedzinie gospodarki, jaką było rybactwo. Okazało się jednak, że przy udziale wybitnych specjalistów z tej dziedziny, z Franciszkiem Staffem na czele, odegrało ono olbrzymią rolę w odradzającej się Polsce, a postęp w tej i innych branżach zahamował dopiero kryzys lat 30. XX w. oraz konkurencja w postaci importu.

Ryby były podstawą pożywienia człowieka już od najdawniejszych czasów, a znaczenie ich wzrosło po I wojnie światowej, gdy w wyniku strat wojennych i zniszczenia gospodarstw rolnych nawet na wsi brakowało żywności. Celem ichtiologów, współpracujących z Wydziałem Rybackim Centralnego Towarzystwa Rolniczego, stało się opracowanie metody szybszego rozrostu ryb, które poprzez hodowlę w odpowiednich warunkach miały dostarczać również znacznie więcej mięsa niż dotychczas. W tym celu powstał Związek Selekcyjny Hodowli Karpia Rasy Polskiej, do którego przystąpiło osiem gospodarstw stawowych z całej Polski, a jednym z nich była Ruda Mazowiecka Mariana Starzeńskiego. W związku z sukcesem, jaki odniósł Związek, czyniąc krajową gospodarkę rybną jedną z najlepszych w Europie, zaczęło powstawać coraz więcej tego typu gospodarstw w Polsce; główną rolę w ich budowie odegrało powstałe w 1929 r. Towarzystwo Budowy i Eksploatacji Stawów Best – jego pierwszym prezesem był Starzeński. Dodać warto, że był on także jednym z założycieli, pierwszym prezesem oraz wieloletnim członkiem



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rodzina Starzeńskich w Rudzie, ok. 1929 r., od lewej: Wiktor, Aleksandra, Zosia, Halina z Gozimirskich, Marian i Aleksander

Związku Producentów Ryb w Warszawie, który poczynawszy od 1916 r., zajmował się sprzedażą i przetwórstwem ryb. Biorąc pod uwagę, że branża rybacka była na terytorium dawnego zaboru rosyjskiego nowym zjawiskiem – rozwijała się początkowo głównie w Galicji, i to, że Marian Starzeński odgrywał w niej dużą rolę od samego początku, widać, jak istotna była jego rola w historii. Za zasługi został

odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, co potwierdza uznanie przez współczesnych jakości i wagi jego pracy.

Życie spełnione

Oczywiście rola Starzeńskiego nie ograniczyła się do pracy w spółkach rybackich. Jak typowy ziemianin okresu przełomu wieku był zaangażowany >>

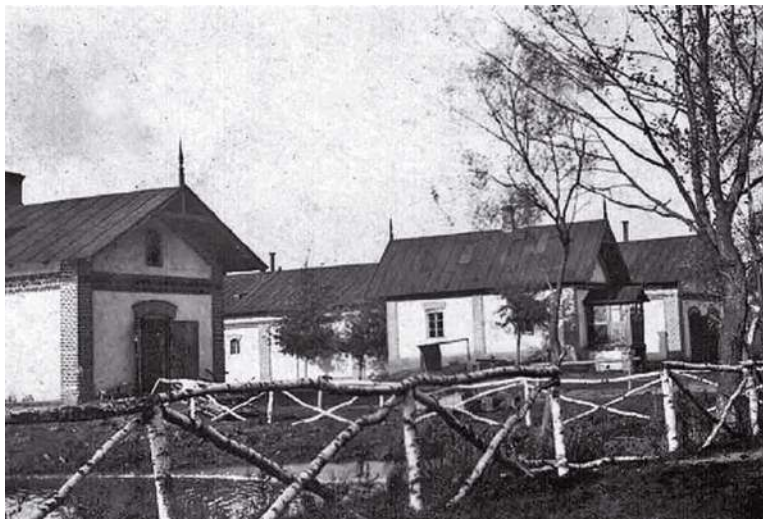


Dwór w Rudzie w 1938 r., widok od frontu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Bracia Starzeńscy, od lewej: Marian, Aleksander i Andrzej Wiktor, ok. 1920 r.



Zabudowania folwarku w Rudzie



Stefan i Gabriela Hołyńscy w Zakopanem po 1924 r.



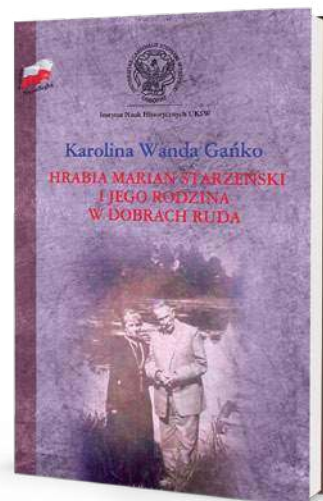
Grób Aleksandry i Mariana Starzeńskich na cmentarzu w Dębem Wielkim

» w unowocześnianie własnego gospodarstwa i w życie społeczne w swoich dobrach. Podkreślić należy, że zarówno on, jak i jego rodzeństwo, wkraczając w dorosłe życie, pozbawieni byli głównego źródła dochodu, jakie w przypadku rodzin ziemiańskich stanowiła ziemia. Dopiero po zawarciu związków małżeńskich kupowali posiadłości bądź emigrowali, szukając szczęścia z dala od ojczyzny. Marian Starzeński zakupił dobra Ruda w roku 1893. Modernizacja majątku (budowa stawów hodowlanych, prace melioracyjne) wiązała się oczywiście z dużymi

kosztami, a kapitał niezbędny na ten cel pochodził przede wszystkim z pożyczek zaciąganych w Towarzystwie Krajowym Ziemskim oraz bankach ziemiańskich. Dodatkowo Starzeńscy utrzymywali mieszkanie w Warszawie, prowadzili także życie na wysokiej stopie. W konsekwencji doprowadziło to do znacznego zadłużenia dóbr. Jednak podobna sytuacja dotyczyła także innych ziemian powiatu mińskiego w okresie międzywojnia, można nawet powiedzieć, że była normą.

Nie starałam się [...] stworzyć biografii zbiorowej ziemian, ale przedstawić losy jednego jej przedstawiciela, wskazując niektóre cechy charakterystyczne dla

owej zbiorowości. Taką cechą widoczną u Starzeńskich była głęboka religijność, co widać chociażby w zaangażowaniu w budowę kościoła parafialnego w Dębem Wielkim, a także w losach Gabrieli ze Starzeńskich Hołyńskiej, która po śmierci męża wstąpiła do zakonu. Węzi rodzinne były dla Mariana Starzeńskiego i jego żony równie ważne. Istotne dla nich było wspólne spędzanie świąt w Rudzie czy wzajemna pomoc w prowadzeniu interesów. Ta cecha jest wyraźnie widoczna w zachowanej korespondencji z wcześniejszych lat życia Mariana oraz zapiski rodzinne zawarte w „Images of the house of Starzeński. Stories and photos of the family Starzeński: eighteen century to the present”. Dokumenty te dodatkowo świadczą również o dużym poczuciu humoru Starzeńskiego, a także o tym, że był dobrym człowiekiem, ojcem i dziadkiem.



Kalendarz



**SZLACHTY
ZAGRODOWEJ
NA ROK
1939**



ZWIĄZEK SZLACHTY ZAGRODOWEJ

SZLACHTA ZAGRODOWA, SZLACHTA ZAŚCIANKOWA LUB TEŻ OKOLICZNA (OD NAZWY ZAŚCIANKA – OKOLICA) TO OKREŚLENIA DROBNEJ UBOGIEJ SZLACHTY, KTÓRA ZAZWYCZAJ MUSIAŁA SIĘ UTRZYMYWAĆ Z WŁASNEJ PRACY NA ROLI, CZĘSTO BEZ POMOCY PAROBKÓW



**PATRYK
TOMASZEWSKI**

Poza obszarem Wielkiego Księstwa Litewskiego największa liczba szlachty zaściankowej występowała na Mazowszu i Podlasiu. Początki osadnictwa szlachty

na kresach południowo-wschodnich sięgają czasów Kazimierza Wielkiego. Najstarsze nadania dotyczyły tam rodów rycerskich herbu Sas. W ciągu kolejnych stuleci coraz więcej drobnego rycerstwa przybywało na te terytoria. >>

» Akcja osadnicza szczególnie przybrała na sile po Unii Lubelskiej. W latach 1772-1848 potomkowie osiadłych tam rodzin szlacheckich, szczególnie pod względem położenia ekonomicznego, coraz bardziej zrównywali się z zamieszkującą tam społecznością chłopską.

Szlachta zagrodowa na przestrzeni XIX w. ulegała stopniowo procesowi zatracenia swojej tożsamości. W latach 30. XX w. jej przedstawiciele zamieszkiwali małe zaścianki głównie w województwach: lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim, a 80 proc. spośród nich było wyznania greckokatolickiego, 90 proc. mówiło już po ukraińsku, jedynie 20 proc. zaś zaliczało się do narodowości polskiej. Niemniej wśród części tej ludności zachowała się pamięć o szlacheckim pochodzeniu.

Ten element powodował, że znaleźli się w sferze zainteresowania kół rządowych II Rzeczypospolitej. Szlachta zagrodowa miała się stać, według władz, narzędziem rewindykacji polskości na kresach. Zagadnienie szlachty zagrodowej przybliżył opinii publicznej Władysław Pułnarowicz, który w 1929 r. wydał książkę „U źródeł Stryja, Sanu i Dniestru”, gdzie zwracał uwagę na szlachtę zagrodową, wskazując na jej polskie korzenie.

Tworzenie ruchu

Data początkową akcji mającej na celu „przywrócenie do polskości” drobnej szlachty w Małopolsce Wschodniej był rok 1934. Wówczas koordynacją akcji repolonizacyjnej zajął się Sekretariat Porozumiewawczy Polskich Organizacji Społecznych, z którego ramienia akcję prowadziło głównie Towarzystwo Rozwoju Ziem Wschodnich, przy współpracy ze Związkiem Strzeleckim i z Towarzystwem Szkół Ludowych. Początkowo akcję rozpoczęto w powiecie turczyńskim w województwie lwowskim.

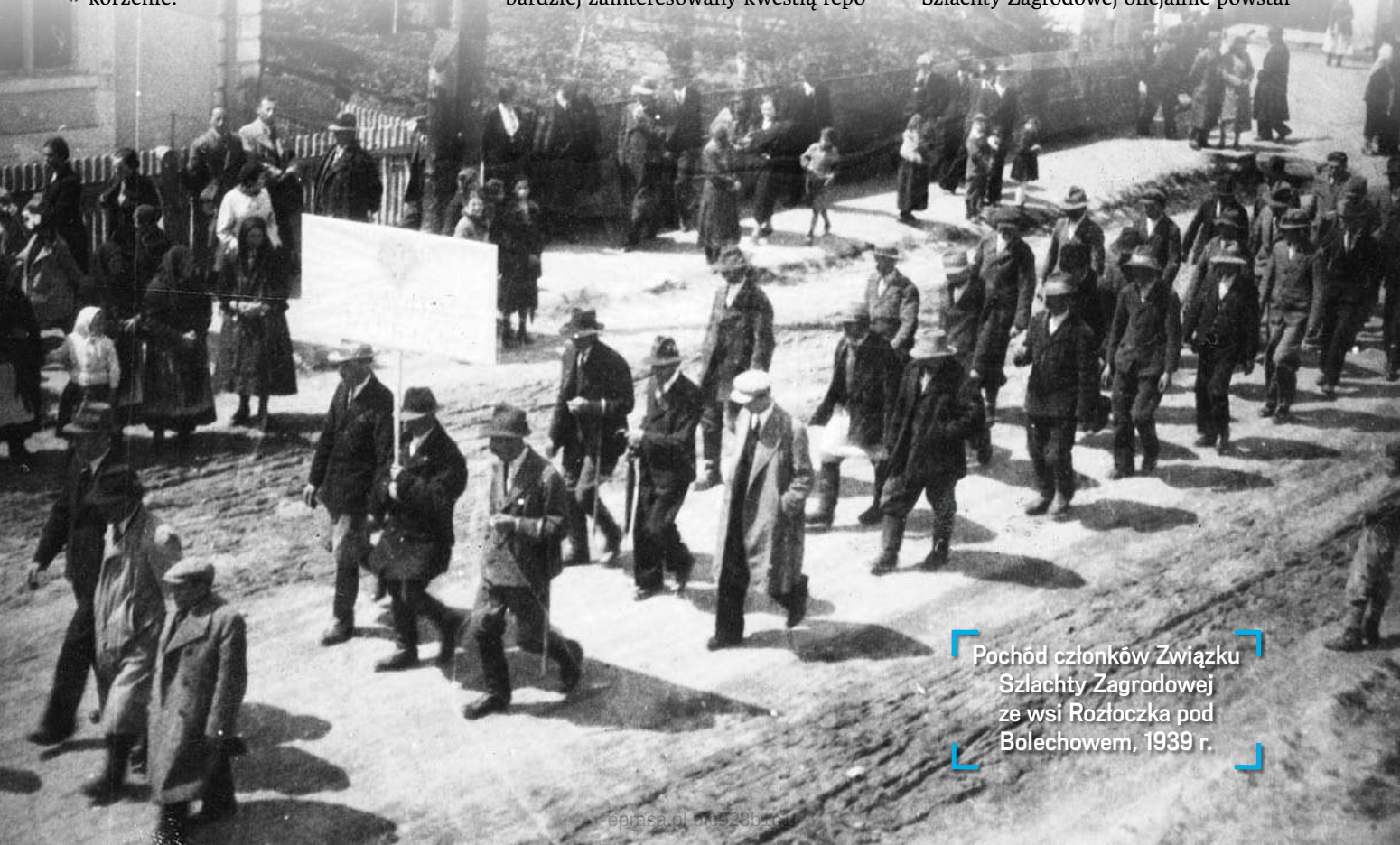
Na szlachtę zagrodową zwrócono także uwagę w kręgu oficerów komisji poborowych w Przemyślu, którzy zauważyli, iż część poborowych wyznania greckokatolickiego posiada zruszczone nazwiska. Zjawisko to opisał potem w 1939 r. Jan Korab-Wojciechowski, sekretarz Zarządu Głównego Związku Szlachty Zagrodowej: „Zgłasza się do wojska żołnierz jako Dobriański, choć ojciec jego w metryce najwyraźniej ma Dobrzyński. Drugi podaje nazwisko Krijanowski, mimo że każdy jego przodek nazywał się Krzyżanowski, z Dzika zrobili Dyka, nazwisko Wilczyński zamieniono na Wołk”. W kręgach wojskowych najbardziej zainteresowany kwestią repo-

lonizacji szlachty zagrodowej był gen. Janusz Głuchowski (1888–1964). Z jego inicjatywy zwołano w listopadzie 1937 r. międzyministerialną radę w Ministerstwie Spraw Wojskowych, podczas której jego współpracownik ppłk Stanisław Sadowski zaprezentował przyjęty przez MSWoJ. program prac w kwestii szlachty zagrodowej. W 1938 r. powołano Komitet ds. Szlachty Zagrodowej na Wschodzie Polski, formalnie działający przy Towarzystwie Rozwoju Ziem Wschodnich. W komitecie istotne miejsce przypadło sekcji naukowej, która zajmowała się badaniami nad osadnictwem na kresach, historią szlachty zagrodowej, miejscami jej zamieszkiwania.

Powstanie Związku Szlachty Zagrodowej

Przełomowym wydarzeniem był Zjazd Szlachty Zagrodowej, który odbył się 17 listopada 1937 r. w Teatrze Wielkim we Lwowie. Wzięło w nim udział ok. 4 tys. delegatów kół szlacheckich. Celem zjazdu miało być stworzenie Związku Szlachty łączącego poszczególne koła w jedną organizację. Na zjeździe podjęto decyzję o utworzeniu Związku Szlachty Zagrodowej Podkarpacia, a Związek Szlachty Zagrodowej oficjalnie powstał

FOT. MAC



Pochód członków Związku Szlachty Zagrodowej ze wsi Rozłoczka pod Bolechowem, 1939 r.

13 lutego 1938 r. na Zjeździe Ogólnym Szlachty Zagrodowej w Przemyślu. Na czele związku stanął ksiądz dziekan płk Antoni Miodyński, kapelan 5. Pułku Strzelców Podhalańskich.

Jeszcze w roku 1935, przy Towarzystwie Rozwoju Ziem Wschodnich, założono czasopismo „Pobudka”, wydawane początkowo w Tuce nad Stryjem, rok później zaś redakcja przeniosła się do Przemyśla. W roku 1937 pismo stało się dwutygodnikiem. „Pobudkę” w roku 1935 prenumerowało 300 osób, w 1938 r. zaś już 11 tys. Ponadto zaczęto wydawać dodatek dla dzieci „Mała Pobudka”, a wraz z rozwojem Związku na województwo wołyńskie w Łucku wydawano „Pobudkę Wołyńską”. W roku 1939 „Pobudka” osiągnęła nakład 15 tys. egz. Wychodziły również broszury dotyczące szlachty zagrodowej.

Związek Szlachty Zagrodowej cieszył się dość dużym zainteresowaniem inteligencji. Losami szlachty interesowały się osoby takie jak pisarki Maria Rodziewiczówna, Zofia Kossak-Szczucka, pisarze Kornel Makuszyński, Gustaw Morcinek, Ferdynand Ossendowski. Ten ostatni napisał nawet dwie książki poświęcone życiu szlachty zagrodowej: „Orły Podkarpacia” oraz „Pod sztandarami Sobieskiego”. Związek organizował liczne koła, których liczba w 1939 r. w Małopolsce Wschodniej wynosiła 450 i aż 41 tys. członków. Związek rozszerzył swoją działalność na teren Wołynia, gdzie w roku 1939 istniało 181 kół, do których należało 8 tys. osób. Dla członków Związku tworzone były czytelnie, organizowano kursy kierowników świetlic, kroju i szycia, sekretarzy kół.

Działalność Związku

Związek się starał, aby ludność z nim powiązana miała dobrą opiekę duszpasterską. Budowano i wyposażano kościoły. W miejscowości Krynica Szlachecka zaproszony ksiądz greckokatolicki kazania wygłaszał w języku polskim. Na potrzeby Związku wybudowano w kilkunastu miejscowościach domy ludowe ze świetlicami, salami teatralnymi, powstawały także sklepiki spółdzielcze. Organizowano ogniska, obchodzono święta państwowe. Dużą uwagę zwracano na podnoszenie wykształcenia młodych. Z tego względu fundowano stypendia szlacheckie dla młodzieży, która uczęszczała do gimnazjów. W Bohorodczanach w województwie stanisławowskim



FOT. NAC

Oddział Huculów ze sztandarem ofiarowanym im przez miejscowy 49. Huculski Pułk Strzelców, Kołomyja, lipiec 1937 r.

otwarto szkołę gospodarstwa domowego. Utworzono 120 chórów i 40 orkiestr. Dla dzieci z rodzin szlachty zagrodowej organizowano kolonie i półkolonie. W wojsku powołano kompanie szlacheckie. Pierwsza powstała już w roku 1936 w 5. Pułku Strzelców Podhalańskich w Przemyślu. W październiku kompania szlachecka zameldowała się u prezydenta Ignacego Mościckiego. Prezydent został również ojcem chrzestnym kilkorga dzieci z rodzin tejże szlachty.

Dużym przedsięwzięciem o wydźwięku propagandowym przygotowanym przez Związek była wycieczka jego przedstawicieli po Polsce w 1938 r. Odwiedzono wówczas Kraków, Wieliczkę, Katowice, Chorzów, Poznań, Gdynię, Warszawę. Wielką atencją wśród działaczy Związku cieszył się przewodniczący ks. płk Miodyński. Występowały nawet pewne elementy kultu jego osoby. W czasie uroczystości szlachty wznoszono okrzyki: „Niech żyje Wódz Rydz-Śmigły”, co w drugiej połowie lat 30. nie dziwiło, ale skandowano też na cześć Miodyńskiego. W jednym z numerów „Małej Pobudki” ukazał się z okazji imienin prezesa ZSZ czołobitny wierszyk:

*„[...] Dziś hołd Tobie składamy serdecznie
Księżu Prezesie, boś Ty Wódz jest nasz.
I ślubujemy Polskę kochać wiecznie
I u jej granic wielką trzymać straż!”*

Ciekawe jest również to, że Związkiem zainteresował się przywódca Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga” – Bolesław Piasecki (1915–1979). W latach

30. przedsięwziął on plan „penetracji” różnych organizacji przez działaczy Falangi. W 1939 r., na polecenie Piaseckiego, jednym z redaktorów „Pobudki” został działacz Falangi Włodzimierz Sznarbachowski (1913–2003).

Efekty pracy

Działania władz w stosunku do szlachty zagrodowej miały za zadanie przyciągnięcie tej grupy obywateli do polskości, z tego powodu podkreślano rycerską przeszłość i rolę, jaką w obronie południowo-wschodnich rubieży odgrywała osiadła tam szlachta. Przypominano również o udziale poszczególnych rodów szlacheckich w walce o niepodległość. Akcja mająca na celu repolonizację tej grupy przyniosła pewne rezultaty. Związek przyczynił się do aktywizacji zubożałej szlachty, poza tym faktycznie integrował to środowisko, chociażby przez wspólne spędzanie czasu. Pamiętać należy o złym położeniu ekonomicznym tej ludności. Działalność ZSZ, przy silnej kurateli państwa, mogła się przyczynić do poprawy sytuacji materialnej członków. Budowanie poczucia polskości w Związku było zadaniem najważniejszym. Temu celowi służyły wydawnictwa, również w języku ukraińskim. Efektem działań ZSZ było zapobieżenie dalszej rutenizacji. Rozwój organizacji został zahamowany przez wybuch wojny. Przywiązanie do polskości wśród części szlachty zagrodowej przetrwało do drugiej połowy XX w. Przykładem może być przypadek wsi Baczyna, której mieszkańcy – potomkowie szlachty zagrodowej – po 1957 r., w ramach akcji repatriacji, przenieśli się na polskie Ziemie Zachodnie.

AUTORKA SŁÓW „ROTY”, KTÓRE
TAK WZMOCNIŁY POLSKĄ MYŚL
NIEPODLEGŁOŚCIOWĄ, MARIA
KONOPNICKA, WOLNEJ POLSKI
NIE DOCZĘKAŁA – ZMARŁA WE
LWOWIE 8 PAŹDZIERNIKA 1910 r.

DWORY I DWORKI W ŻYCIU MARII KONOPNICKIEJ

Byla najwybitniejszą poetką czasu pozytywizmu, pisarką dla dzieci, nowelistką i publicystką. Jej ojciec Józef Wasiłowski herbu Korwin pochodził z podlaskiej szlachty, która już po powstaniu listopadowym straciła swoje niewielkie ziemskie majątki, matka Scholastyka z Turskich herbu Dołęga wywodziła się zaś z ziemian posiadających swoje dobra w Płockiem. Sama poetka na świat przyszła 23 maja 1842 w Suwałkach, gdzie



JAROSŁAW
KOSSAKOWSKI

jej ojciec, prawnik z wykształcenia, a był obrońcą w Prokuraturii Generalnej.

Wspomnienia rodzinnej ziemi ojca na Podlasiu przetrwały w listach Marii Konopnickiej. „...z jakimś bolesnym rozrzwieniem wpatruję się w to Podlasie,

które ucierpiało tak wiele. Wszak ci to i gniazdo rodu naszego, niechże to pójdzie na cześć pamięci Dziada i jego mogiły, na cześć kolebki Ojca mojego. Patrząc na ten Rząśnik, na Gwizdały w samym węźle Bugu i Liwca leżące, i myślę o Was – i mam tak serce uniesione i miłością, i bólem, że już tylko trącić je, aby pieśń wydało” – pisała w listach do stryja Ignacego Wasiłowskiego (1818–1901), który do kraju powrócił po 16 latach spędzonych na syberyjskiej katordze po powstaniu styczniowym. Poetka witała go niezwykle



Dwór z parkiem w Żarnowcu na Podkarpaciu – dar narodu dla Marii Konopnickiej. Pisarka zamieszkała tu w 1903 r.

wzruszająco: „Ty, Stryjku, byłeś ojcem tej części mojej duszy i mojej istoty, która odycha miłością dla Polski – przyznaję. Ty masz wierzące, mocne i ogromne serce! Przed męką – bohaterów wielu, ale po męce, jak Ty, dotrzymać wiary ideałowi – to jest rzecz wielka”.

Dworek w Bronowie

Z Suwałk rodzina Wasiłowskich przeniosła się do Kalisza, gdzie po przedwczesnej śmierci Scholastyki z Turskich Wasiłow-

skiej sześcioro dzieci wychowywał osamotniony ojciec. Maria miała wtedy lat siedem i na zawsze zapamiętała atmosferę patriotycznych modlitw oraz surowych moralnych nauk, jakie przekazywał im ojciec. Później przyszła poetka uczyła się na pensji sióstr sakramentek w Warszawie, gdzie poznała Elizę Pawłowską, po zamążpójściu Elizę Orzeszkową, z którą przyjaźniła się do końca życia.

W poddębickim dworku w Bronowie Maria zamieszkała w wieku lat 20, kiedy wstąpiła w związek małżeński z Jarosławem Konopnickim herbu Jastrzębiec (1830–1905), synem Wawrzyńca, właściciela kilku majątków w ówczesnej guberni kaliskiej. Jarosław jako najstarszy z braci Konopnickich zarządzał kluczem tych rodzinnych ziemskich posiadłości, do których należały m.in. dwory w Spędoszynie, Bronowie i Gusinie. Ślub odbył się w Kaliszu we wrześniu 1862 r. w kościele pw. św. Mikołaja Biskupa, po czym młoda para odjechała do Bronowa. Stary drewniany, niewielki, kryty jeszcze strzechą dworek w Bronowie rozebrany został w pierwszych latach XX w. Jednak zachował się w „Kurierze Warszawskim” z 1902 r. (nr 289) jego dość sentymentalny opis: „Śród drzew niski domek o dużej i wysokiej strzesze słomianej, chatą raczej wieśniaczą niż dworem pańskim będący. Wnętrze domku państwa Konopnickich mieściło pięć pokoiów, kredens, kuchnię i spiżarnię, dwie ostatnie izby gospodarskie wychodzące na drugą sień od tyłu domu, gdzie zaczynał się ogród dworski. Z sieni na prawo wchodziło się do saloniku, na lewo zaś do pokoju jadalnego. Z saloniku dwa okna wychodziły na klomb ślicznych rosnących jesionów, które ocieniały również okno szczytowe, sąsiedniego pokoju sypialnego Marii Konopnickiej, w którym podobno lubiła przebywać najdłużej”.

Na miejscu starego rozebranego dworku, w którym Maria urodziła ośmioro dzieci (dwoje zmarło tuż po narodzinach), nowy właściciel, Artur Dzierżbicki z sąsiednich Biernac, postawił murowany. Budynek przetrwał II wojnę światową, do dziś mieści Muzeum Oświatowe gromadzące dokumenty, fotografie, meble oraz drukowane utwory Marii Konopnickiej. W jednym z saloników stoi stare biurko, leżą książki, zeszyty i inne pomoce szkolne przypominające czasy, gdy mieszkała tu wielka poetka. Wspomina też o tym wmurowana tablica z napisem: „Pieśniarce ludu polskiego

Marii Konopnickiej, która w latach 1862–1872 mieszkała w Bronowie – w 50. rocznicę śmierci poetki – Koło Towarzystwa im. Marii Konopnickiej w Poddębicach, dn. 9 października 1960 r.”.

Gusin i Warszawa

W czasie pierwszych miesięcy pobytu młodej pary w Bronowie dotarła tam bolesna wiadomość o śmierci młodszego brata Marii Jana Wasiłowskiego. Na wieść o powstaniu Jan Wasiłowski rzucił studia na politechnice w belgijskim Liège, przyjechał do Polski i poległ jako uczestnik powstania styczniowego w bitwie pod Krzywosądem 19 lutego 1863 r. Tak Konopnicka pisała wtedy do swojego stryja Ignacego: „Przysłano jego zawiątką ze skrawioną koszulą, zawiadamiając nas, że pochowany w lesie, w Płowcach... Kiedy go do Płowców przywieźli, żył jeszcze, ale odarty był przez chłopstwo do bielizny i tak leżał na polu noc całą między pobitymi, noc długą, mroźną, lutową”. Aresztowany też był Jarosław Konopnicki, ale rewizje w Bronowie nie wykryły ukrytej broni przeznaczonej dla okolicznych oddziałów powstańców i szybko go wypuszczono.

Zaniedbany, nieprzynoszący dochodów majątek w Bronowie oraz brak pieniędzy zmusiły Konopnickich do jego sprzedaży. Mieszkali tu 10 lat i tu Maria zaczęła pisać wierszyki tylko dla swoich dzieci. Rodzina przeniosła się więc do nieodległego dworku w Gusinie. Był to niewielki folwark liczący ok. 50 hektarów ziemi ornej oraz trochę łąk. Dziś jest tam dwuhektarowa resztówka z ruinami dawnego dworku, w którym w latach 1872–1877 mieszkali Konopniccy. W tych też latach udało się Marii opublikować swój poemat „W górach”, który zwrócił uwagę Henryka Sienkiewicza, oraz zamieścić w czasopiśmie „Bluszcz”, „Kłosa”, „Tygodnik Ilustrowany” swoje wiersze, m.in. wiersz „Przed odlotem”, zawierający słowa pożegnania z Gusinem i dotychczasowym dworskim życiem.

Maria Konopnicka rozstała się z mężem, który nie popierał jej literackich zainteresowań, i wraz z dziećmi przeprowadziła się do Warszawy. W swoich listach tak to skomentowała: „Nie jest jeszcze zupełnym szczęściem mieć męża, który uważa żonę za swoje najstarsze dziecko; głośno całuje i głośno krzyczy; poluje, jeździ do miasteczka >>

» i o sporach granicznych rozprawia. Spostrzegasz, nieszczęsna, że nie wystarczy ci graniaste cięło, dorodne główki kapusty, parę modnych fioków i rozmowa o niczym”. W Warszawie zarabiała koprecyjami, równocześnie jej literacka twórczość zaczęła przynosić nie tylko ogólnokrajową sławę, ale i niewielkie dochody pozwalające na podróże po kraju i wyjazdy zagraniczne. Poznała sławnych Polaków, odwiedziła Paryż, Wiedeń, Belgię, Szwajcarię, Wilno. Dzieci dorastały i usamodzielniały się. Marią interesowali się inni mężczyźni, uchodziła nawet za kobietę „mocno kochliwą”. Jeden z nich, zakochany w niej filozof i historyk Maksymilian Gumpłowicz, w Grazu (Austria) strzelając w głowę, odebrał sobie życie. Mieszkała tam wówczas Konopnicka wraz ze swoją dożgonną przyjaciółką, malarką Marią Dulębianką (1861–1919).

Działalność i dzieci

Zajęta nie tylko własną twórczością, ale też społeczną publicystyką wypełnioną lirycznym patriotyzmem i skierowaną przeciw powszechnym niesprawiedliwościom (uczestniczyła w proteście przeciw prześladowaniu polskich dzieci we Wrześni w latach 1901–1902, także w roku 1905 w Warszawie organizowała pomoc dla uwięzionych przez carską policję), Maria Konopnicka starała się nie tracić z oczu swoich dorosłych dzieci. Rodzinne spotkania odbywały się najczęściej w Arkadii pod Nieborowem, gdzie w niewielkim drewnianym dworcu zamieszkał jej syn Jan Konopnicki (1868–1930). Zachowało się kilkanaście listów Marii do ks. Michała Radziwiłła z Nieborowa polecających Jana jako wykształconego rolnika, specjalistę od młynarstwa. Otrzymał on posadę kierownika młynów, a z czasem został zarządcą innych zbożowych przedsiębiorstw Radziwiłłów, m.in. usytuowanych w zakolu rzeki Bzury. Wydzierżawił też park w Arkadii wraz z pawilonami, gdzie urządził letnisko cieszące się dużą popularnością w warszawskich kręgach literacko-artystycznych.

Przebywając u syna na rodzinnych spotkaniach, świętach itp., Maria Konopnicka interesowała się wytwórniami majoliki w Nieborowie, także grywała na organach znajdujących się w Świątyni Diany w Arkadii, najczęściej poloneza „Pożegnanie Ojczyzny” kompozycji Michała Kleofasa Ogińskiego. Na zjazd rodzinne przyjeżdżała też córka Helena,



„PSIM OBOWIĄZKIEM NARODU POLSKIEGO JEST ZABEZPIECZYĆ POD WZGLĘDEM MATERIALNYM ŻYCIE TAKICH PISARZY JAK PANI KONOPNICKA” – PISAŁ HENRYK SIENKIEWICZ

niedoszła aktorka, kobieta niezwykle urody, ale kłopotliwego charakteru. Świetną aktorką mimo protestów matki była druga córka Konopnickiej Laura, która na scenach teatralnych osiągnęła poważne sukcesy, m.in. w teatrze w Krakowie za dyrekcji Ludwika Solskiego.

Własny dwór

Miejski harmider, liczne podróże, światowe spotkania powoli stały się nużące

i Maria Konopnicka zaczęła przypominać sobie uroki codziennego życia ziemiańskiego w wiejskim otoczeniu. Ze Szwajcarii w roku 1901 pisała do Elizy Orzeszkowej: „Zazdrościmy Ci bardzo Twego cichego ogrodu i tych kasztanów starych i złotych. Ja bo zawsze marzyłam o tym, żeby mieć choćby jedno swoje własne drzewo. Bo to się zdaje nic, a to rzecz ogromnie duża mieć takie drzewo i tyle ziemi, ile ono korzeniami obejmie”.

O uroczyste obchody jubileuszu 25-lecia pracy twórczej Marii Konopnickiej zabiegała głównie Eliza Orzeszkowa. Maria już w roku 1894 otrzymała stypendium Henryka Sienkiewicza, który tak pisał do swoich moźnych przyjaciół: „Psim obowiązkiem narodu polskiego jest zabezpieczyć pod względem materialnym życie takich pisarzy jak pani Konopnicka”. Życzliwy jej Sienkiewicz został prezesem komitetu jubileuszowego ukonstytuowanego w 1902 r., w którym wspierał go wnuk Zygmunta Krasińskiego – Adam hr. Krasiński. Gdy wdzięczny naród ofiarował powszechnie znanej i kochanej poetce, zwanej „pieśniarką narodu” czy „natchnioną mistrzynią słowa polskiego”, dwór z parkiem w Żarnowcu na Podkarpaciu, Konopnicka wzruszona pisała do córki Zofii: „Uchwalili, żeby mnie obdarować na jubileusz choć skrawkiem ojczystej ziemi. Jestem srodze tym uradowana. Własny dach nad głową mieć po takim długim tułactwie to przecież szczęście wielkie. Moja droga Zosiu, będziemy sobie gospodarzyć”.

Po licznych i hucznych jubileuszowych uroczystościach Maria Konopnicka 8 września 1903 r. w asyście konnych krakusów dotarła do własnej posiadłości w Żarnowcu. Zanotowała: „Wchodzę w ten dom, który mi zgotowały serca rodaków”. Dwór w Żarnowcu był urządzony całkowicie, stylowe zabytkowe meble, dywany, makaty oraz trzyhektarowy park otaczający XVIII-wieczny przebudowany w XIX w., parterowy z piętrową przybudówką budynek.

Po II wojnie światowej dwór w Żarnowcu córka Marii Konopnickiej Zofia Mickiewiczowa w testamencie przekazała narodowi polskiemu. Dziś działa tam gromadzące pamiątki po wielkiej poetce Muzeum Marii Konopnickiej. Doceniając ogromny wkład w polską kulturę oraz zasługi w działalności patriotycznej, Sejm RP ustanowił rok 2022 Rokiem Marii Konopnickiej.

1959 – Etnarcha u władzy



**PAWEŁ
SKIBIŃSKI**

W grudniu 1959 r. miały miejsce pierwsze wybory prezydenckie na Cyprze, zorganizowane po uzyskaniu przez to państwo niepodległości i zakończeniu tym samym okresu zależności od Wielkiej Brytanii, która w różnej formie sprawowała kontrolę nad wyspą od 1878 r., tj. od momentu ustąpienia z Cypru Turków.

Wybory te wyraźnie wygrał dotychczasowy lider społeczności Greków cypryjskich, a zarazem zwierzchnik Cypryjskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego – patriarcha Makarios III. Uzyskał on nieco ponad 2/3 głosów, jego kontrkandydata – komunizującego prawnika Joannisa Kleridesa – poparło zaś pozostałe 33 proc. wyborców. W ten sposób rozpoczęła się kadencja prezydencka Makariosa III, która trwała do 1974 r., gdy wojskowy zamach stanu zmusił prezydenta-arcybiskupa do opuszczenia ojczyzny.

Makarios III urodził się w jednej z cypryjskich wiosek w 1913 r. jako Michalis Christodulos Muskos. Był prawosławnym duchownym wykształconym w Stanach Zjednoczonych, znanym z oryginalnych poglądów teologicznych. Twierdził m.in., że potępienie po śmierci nie jest ostateczne. Od 1950 r. pełnił on godność arcybiskupa Nowej Justyniany i całego Cypru z siedzibą w Nikozji. Ten zwierzchnik Cypryjskiego Kościoła Prawosławnego był nazywany przez rodaków etnarchą – „ojcem i władcą narodu”, a więc pełnił funkcję niekwestionowanego lidera społeczności greckiej Cypru.

Kilka miesięcy przed objęciem przez niego godności arcybiskupiej przeprowadzone zostało referendum wśród greckiej ludności wyspy, którego ponad 95 proc. uczestników opowiedziało się za tzw. enosis, tj. za połączeniem wyspy z Grecją. Niestety zdecydowany sprzeciw wobec tego rozwiązania zgłaszała zarówno Ankara (popierająca zdecydowanie 20-procentową mniejszość turecką na Cyprze), jak

i Londyn. Makarios III jednak otwarcie dążył do przełamania tego oporu.

W 1954 r. arcybiskup wsparł powstanie Narodowej Organizacji Bojowników Cypryjskich (EOKA), dowodzonej przez płk. Georgiosa Grivasa, choć dopiero w 1955 r. zezwolił na podjęcie przez nią akcji bojowych.

W wyniku zaostrzenia się sytuacji politycznej Makarios III wiosną 1956 r. został przez Brytyjczyków aresztowany i zesłany na Seszele. Dopiero po ponad roku Anglicy zgodzili się na jego wyjazd do Grecji w zamian za wstrzymanie działań partyzanckich na wyspie. Z Aten cypryjski arcybiskup wciąż jednak działał na rzecz połączenia wyspy z macierzą.



FOT. LOS GOV

W 1958 r. Makarios III złożył nieoczekiwane oświadczenie, że gotów jest zaakceptować niepodległość wyspy pod egidą ONZ. Otwierało to nowe możliwości rozwiązania problemu cypryjskiego. Wielostronne rozmowy dyplomatyczne pozwalały mieć nadzieję na kompromis.

W marcu 1959 r. Makarios wrócił do Nikozji i skłonił płk. Grivasa do złożenia broni. Wkrótce odbyły się wspomniane już wybory prezydenckie i w 1960 r. nowo wybrany prezydent Makarios III mógł objąć rządy w niepodległej republice Cypru.

Arcybiskup, który miał być szantażowany przez Brytyjczyków z racji swego

aktywnego homoseksualizmu, prowadził Cypr drogą udziału nowej republiki w ruchu państw niezaangażowanych, choć przystąpił także do Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Jego lewicowe inklinacje zyskały mu w prasie amerykańskiej złośliwy przydomek „Castro Morza Śródziemnego”, w nawiązaniu do działań komunistycznego lidera Kuby. Próbował się uwolnić spod pierwotnie narzuconej Cyprowi sztywnej logiki parytetowego podziału stanowisk między miejscowych Greków i Turków. Nie udało mu się jednak uniknąć zamieszek na tle etnicznym i wkroczenia na wyspę rozjemczych wojsk ONZ.

W wyborach 1968 r. arcybiskup otrzymał gigantyczne 96-procentowe poparcie, uznawane przez obserwatorów za poparcie także dla polityki utrzymania niepodległości Cypru. Nie wszyscy mieszkańcy jednak podzielali ten punkt widzenia, skrajni nacjonaliści greccy w 1971 r. utworzyli bowiem organizację paramilitarną EOKA B. W 1972 r. trzech biskupów cypryjskich, działających w porozumieniu z tym środowiskiem, nielegalnie suspendowało Makariosa III z powodu łączenia stanowisk arcybiskupa i prezydenta, nie udało im się jednak zmusić go do złożenia godności. Wobec niepowodzenia tej akcji kościelnej w 1974 r. wraz z częścią armii EOKA B przeprowadziła więc wojskowy zamach stanu, wspierany przez rządzącą wówczas Grecją juntę tzw. czarnych pułkowników.

Zmuszony do ucieczki z kraju Makarios udał się na emigrację, skąd wzywał do zachowania niepodległości przez Cypr. Niebawem jednak do północnej części Cypru wkroczyła armia turecka, co zapoczątkowało trwający do dziś podział wyspy i jednocześnie zadecydowało o niepowodzeniu zamachu stanu.

Makarios III wrócił do Nikozji w grudniu 1974 r. i ponownie podjął obowiązki prezydenta. Złożył wówczas oficjalne oświadczenie o rezygnacji z połączenia z Grecją. Nie przyczyniło się to jednak do rozwiązania konfliktu... Arcybiskup-prezydent zmarł w 1977 r.

Do dziś jego postać otoczona jest swoistym kultem wśród cypryjskich Greków, a tamtejsi Turcy uważają go niemal za zbrodniarza...

Marzec


**MICHAŁ
KOMUDA**
1 III 1897

We wsi Ossa przyszedł na świat duchowny i działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL, ks. Jan Zieja. Podczas wojny polsko-bolszewickiej oraz kampanii wrześniowej był kapłanem Wojska Polskiego, a następnie w trakcie okupacji pełnił posługę w Szarych Szeregach, Armii Krajowej i Batalionach Chłopskich. Był również uczestnikiem powstania warszawskiego.


8 III 1822

Dwieście lat temu urodził się założyciel pierwszej na świecie spółki naftowej, polski farmaceuta Ignacy Łukasiewicz. Był wynalazcą lampy naftowej. Dzięki zarobionemu majątkowi wspierał ruchy wyzwolenicze i prowadził działalność filantropijną.


10 III 1822

W Manieczkach w Wielkopolsce zmarł autor tekstu polskiego hymnu państwowego, pisarz, polityk, prawnik i mówca, Józef Wybicki. Jego prochy docelowo spoczęły w podziemiach poznańskiego kościoła św. Wojciecha.

15 III 1412

Na spiskim zamku w Lubowli król Władysław Jagiełło i węgierski władca Zygmunt Luksemburski podpisali układ pokojowy. Efektem traktatu było zawarcie przez obu monarchów przymierza oraz zerwanie groźnego dla Polski sojuszu pomiędzy zakonem krzyżackim a Węgrami.


16 III 1942

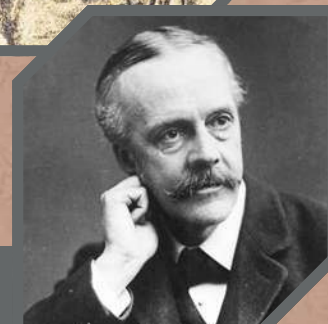
Komendant Główny Armii Krajowej gen. Stefan Rowecki „Grot” wydał rozkaz włączający tajne harcerstwo do sił AK: „Członkowie Szarych Szeregów, którzy wejdą do zespołów konspiracyjnych, będą uważani bez względu na wiek za żołnierzy”.

20 III 1622

Czterysta lat temu w Kijowie zmarł wybitny wódz Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny. Jako kozacki hetman ofiarnie służył Rzeczypospolitej, walcząc u jej boku m.in. w wyprawach na Moskwę 1613 i 1618 r. oraz trzy lata później, broniąc przed tureckim najazdem Chocimia.


22 III 1887

Carskie władze zaaresztowały zaangażowanego w działalność konspiracyjną, 19-letniego Józefa Piłsudskiego. Po przewiezieniu do Petersburga przyszedł Marszałek został skazany na pięcioletnie zesłanie na Syberię.


25 III 1917

Roman Dmowski w ramach prowadzonej przez siebie akcji dyplomatycznej przedłożył brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych Arthurowi Balfourowi (na zdjęciu) memoriał „w sprawie uznania niepodległości Polski przez mocarstwa sprzymierzone wspólnie z Rosją”. Krok ten został podjęty bezpośrednio po ostatecznej abdykacji cara Mikołaja II spowodowanej przez rewolucję.



➤ 24 III 1942

Gen. Władysław Anders rozpoczął ewakuację podległych mu wojsk ze Związku Sowieckiego na Bliski Wschód. Niedożywiona i schorowana armia niedawnych jeńców rozpoczęła drogę do utworzenia zwycięskiego 2. Korpusu Polskiego.

Formowane, na podstawie umowy wojskowej z 14 sierpnia 1941 r., polskie dywizje na sowieckich terenach niezmiennie borykały się z chorobami, niedożywieniem, brakami sprzętowymi oraz trudnościami piętrzonymi przez lokalne władze, które nie chciały dopuścić do rozrostu polskich sił zbrojnych. Co prawda w trakcie grudniowej wizyty Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego w Moskwie uzyskano od Stalina zgodę na rozbudowę Armii Polskiej do 96 tys. żołnierzy, a 25 tys. miało zostać ewakuowanych do Wielkiej Brytanii i na Bliski Wschód, jednak sytuacja uległa pogorszeniu już na początku 1942 r., w trakcie przetrzymywania polskich jednostek do południowych republik sowieckich. Żołnierze zamarli lub umierali z wycieńczenia w trakcie transportów. Masowo chorowali w wyniku epidemii i zetknięcia się z nowym klimatem. Dodatkowo, jak wspominał gen. Anders: „Żołnierz nie dojadł, dzieląc się swoimi marnymi racjami żywnościowymi z ludnością polską, która masowo garnęła się pod opiekuncze skrzydła wojska [...]”. Na początku marca polski dowódca został zawiadomiony, że wbrew ustaleniom otrzyma jedynie 26 tys. racji żywnościowych, co było jednoznaczne ze śmiercią tysięcy podległych mu ludzi. Gen. Anders wyruszył do Moskwy, gdzie 18 marca spotkał się ze Stalinem. Wynegocjował zwiększenie racji żywnościowych do 44 tys. oraz zgodę na przetrzymanie nadwyżki sił do kontrolowanego przez Brytyjczyków Iranu. Dzięki temu w trakcie pierwszej ewakuacji przetransportowano na Bliski Wschód ponad 33 tys. żołnierzy i kolejne 11 tys. cywilów. Pozostałe polskie siły, w wyniku brytyjskich zabiegów, ostatecznie opuściły Związek Sowiecki w sierpniu 1942 r.

➤ 28 III 1892

W Nisku na Podkarpaciu przyszedł na świat człowiek, którego nazwisko zapisało się podczas obrony polskiego Wybrzeża w 1939 r. jako synonim ofiarnej walki do końca. Choć historia płk. Stanisława Dąbka została opowiedziana nieraz, to wydaje się, że nadal nie zajmuje należnego miejsca w zbiorowej świadomości Polaków.

Przyszły bohater września 1939 r. urodził się w rodzinie chłopskiej, która nie tylko zadbała o jego gruntowną edukację, lecz również wpoila mu patriotyczne wartości. Podczas I wojny światowej służył w armii Austro-Węgier, ujawniając

talenty dowódcze oraz wrodzoną odwagę. W listopadzie 1918 r. od razu wstąpił w szeregi Wojska Polskiego, by osłaniać ludność Lubaczowa przed atakami ukraińskich nacjonalistów, a następnie walczyć w wojnie polsko-ukraińskiej. Dwa lata później, już jako major, dowodząc batalionem, bił się z bolszewikami. Jego waleczność została nagrodzona orderem *Virtuti Militari*. W odrodzonej Polsce pod koniec lat 20. został komendantem tworzonej Szkoły Podchorążych w Zambrowie. Na początku kolejnego dziesięciolecia otrzymał nominację na dowódcę 7. Pułku Piechoty w Chełmie oraz awans do stopnia pułkownika. W wyniku konfliktu personalnego z przełożonym na własną prośbę został przeniesiony na stanowisko dowódcy 52. Pułku Strzelców w Złoczowie. Zawsze był bardzo wymagający wobec zarówno siebie, jak i podkomendnych, co owocowało wyróżniającymi się wynikami dowodzonych przez niego jednostek. Najważniejsza zmiana w jego życiu nastąpiła przed wybuchem II wojny światowej. To właśnie w drugiej połowie lipca 1939 r. powierzono mu funkcję p.o. dowódcy Lądowej Obrony Wybrzeża oraz dowódcy Morskiej Brygady Obrony Narodowej. Tym samym w przededniu niemieckiej napaści stanął przed zadaniem bronięcia wąskiego pasa polskiego Pomorza, który z dwóch stron otoczony był przez wroga. Pomimo nieznajomości terenu ani nowych podkomendnych błyskawicznie przystąpił do zaniechanych wcześniej prac fortyfikacyjnych oraz rozbudowywania i dozbrajania powierzonych mu jednostek. Dzięki niespożytej energii płk. Dąbka w ciągu ponad miesiąca umocniono przygotowywaną na ostatni bastion Kępę Oksywską oraz podniesiono stany osobowe z 5 do blisko 18 tys. żołnierzy. Na siły te 1 września runęły prawie trzykrotnie liczniejsze niemieckie wojska, wsparte przez *Luftwaffe*. Mimo to Polacy przez wiele dni zaciekle utrzymywali pozycje na przedpolach bronionej przez siebie Gdyni i Kępy Oksywskiej. Jednocześnie zgodnie z planem płk. Dąbka nieustannie wyprowadzali kontruderzenia, bijąc Niemców. Taktyka ta spowolniła pochód wojsk niemieckich, które wkroczyły do Gdyni dopiero 14 września, a więc później niż do Częstochowy, Krakowa, Bydgoszczy czy Poznania. Wcześniej pułkownik wycofał pozostałe mu siły na Kępę Oksywską, wzmacniając je nowo sformowanym batalionem. Pomimo odcięcia od reszty wojsk polskich i beznadziejności położenia rozpoczął kolejną fazę zaciętych walk, w której zajmowane przez wroga pozycje

były wielokrotnie odbijane przez polskie kontruderzenia. Ostatecznie 19 września przyparty do linii morza, po ostatniej próbie odechnięcia najeźdźców i wyczerpaniu amunicji, ranny płk Dąbek poderwał swoich ludzi do finalnej walki. W jej trakcie ostatnią kulę przeznaczył dla siebie. Niemcy, pozostając pod wrażeniem bitności polskiego dowódcy, zezwolili na jego pochówek przy honorowej asyście własnych oficerów.



Kwiecień

4 IV 1557

Urodził się przyszły kanclerz i hetman wielki litewski Lew Sapieha. Dzięki swoim nieprzeciętnym talentom dyplomatycznym i politycznym zdolnościom nie tylko sięgnął najwyższych urzędów państwowych, lecz również wprowadził swój ród do grona najbardziej wpływowych rodzin Rzeczypospolitej.

7 IV 1922

Sto lat temu odbyła się premiera pierwszej ekranizacji, nagrodzonej Literacką Nagrodą Nobla powieści Władysława Reymonta „Chłopi”. Film został wyreżyserowany przez Eugeniusza Modzelewskiego, ale kopia nie zachowała się do dzisiaj.



12 IV 1982

W trakcie stanu wojennego Janusz Klekowski i Marek Rasiński nadali pierwszą, ponadśmiominiutową audycję podziemnego Radia „Solidarność”.



13 IV 1932

W Warszawie zmarł były minister sprawiedliwości, sędzia Najwyższego Trybunału Administracyjnego i działacz społeczny Włodzimierz Wyganowski. Był członkiem konspiracyjnej Ligi Narodowej oraz Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego.



14 IV 1792

Pierwszym prezydentem miasta Krakowa został Franciszek Wielopolski. Jego siedziba mieściła się przy Rynku Głównym 47.

27 IV 1957

Po ponad 10 latach od aresztowania przez Urząd Bezpieczeństwa więzienie opuścił prezes III Zarządu Wolność i Niezawisłość, ppłk Wincenty Kwieciński „Lotny”. Wyrokiem komunistycznego sądu w grudniu 1947 r. został pierwotnie skazany na karę śmierci, którą zamieniono na dożywocie.



28 IV 1512

Pod Łopusznem siły hetmana wielkiego koronnego Mikołaja Kamienieckiego i hetmana wielkiego litewskiego Konstantego Ostrońskiego zadały druzgoczącą klęskę zagonom tatarskim. Dzięki zwycięstwu odbito kilkunastotysięczny jasyr.



➤ 5 IV 1952

Zgodnie z wolą Józefa Stalina władze PRL oraz Związku Sowieckiego podpisały umowę dotyczącą budowy w Warszawie przyszłego Pałacu Kultury i Nauki. Wieżowiec oficjalnie będący darem dla narodu polskiego bezpowrotnie zmienił sylwetkę miasta, stając się jego nowym symbolem.

Po zakończeniu wojny strona sowiecka skierowała do instalowanych przez siebie w Polsce władz pytanie o to, w jaki sposób może pomóc w odbudowie zrujnowanej stolicy. Polscy przedstawiciele zaproponowali budowę metra lub szczególnie potrzebnej w ówczesnej sytuacji dzielnicy mieszkaniowej. Sowieccy decydenci, w oderwaniu od tych głosów, postanowili jednak wznieść górujący nad zniszczonym miastem wieżowiec. Polscy dygnitarze mogli tylko przyjąć ten dar. Pozostawiono im jednak możliwość wyboru miejsca inwestycji oraz wpływ na jej ostateczny kształt. W ten sposób wytypowano obszar samego Śródmieścia Warszawy, pomiędzy Al. Jerozolimskimi oraz ulicami Emilii Plater, Marszałkowską i Świętokrzyską. Taka decyzja z jednej strony gwarantowała, że gigantyczna budowla była widoczna z dowolnego punktu w mieście, z drugiej natomiast niosła za sobą konieczność usunięcia znajdującej się w tym miejscu gęstej zabudowy, składającej się z eklektycznych i secesyjnych kamienic. Co prawda część z nich była zniszczona w wyniku działań wojennych, ale pozostałe budynki były zamieszkane. Tym samym przygotowując teren pod budowę pałacu i mającego go okalać gigantycznego pl. Defilad, nie tylko wyburzono ponad 170 kamienic, w tym tych stanowiących wizytówkę przedwojennej Warszawy, stojących przy ul. Marszałkowskiej, ale też eksmitowano ich mieszkańców. Przerwano również historyczną siatkę ulic Chmielnej, Pańskiej, Siennej, Śliskiej, Zielnej i Złotej oraz zlikwidowano ul. Wielką. Za tak wysoki koszt postanowiono stworzyć nowe centrum miasta, odbierając ten status pl. Saskiemu i zerwać z przedwojenną tradycją. Polską decyzją było też ustalenie ostatecznej wysokości wieżowca, która bez iglicy wyniosła blisko 188 m i znacznie przekraczała pierwotny sowiecki plan. Architekt pałacu Lew Rudniew, projektując detale architektoniczne, nawiązał również do polskiego budownictwa z okresu renesansu. Pierwsze prace podjęto w maju 1952 r., ale oficjalnie budowę rozpoczęto ze względów propagandowych 21 lipca, w rocznicę utworzenia Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Choć pałac jako dar miał zostać w całości wzniesiony wysiłkiem Związku Sowieckiego, to

jednak z biegiem czasu wzrastał odsetek zaangażowanych do prac polskich robotników oraz dostarczanych przez Polskę materiałów budowlanych. Całkowity koszt budowy nigdy nie został podsumowany, a w jej trakcie kilkunastu pracowników straciło życie. Jeszcze podczas prac, dwa dni po śmierci Józefa Stalina, 7 marca 1953 r. komunistyczne władze postanowiły nadać inwestycji nazwę Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. Obiekt został oddany do użytku 21 lipca 1955 r. Choć w jego wnętrzach znalazło swoją siedzibę wiele instytucji kulturalno-naukowych, to nie można zapomnieć, że jednocześnie przez dziesiątki lat, górując niepodzielnie nad stolicą, był symbolem jej podporządkowania Moskwie.

➤ 30 IV 1632

W Warszawie zmarł założyciel polskiej dynastii Wazów, król Polski i wielki książę litewski Zygmunt III Waza. Był władcą Rzeczypospolitej przez blisko 45 lat.

To właśnie za jego czasów odniesiono świetne zwycięstwa pod Kircholmem, Kłuszynem, Oliwą, wkroczone do Moskwy i przesunięto granice najdalej na wschód. Jednocześnie decyzją Zygmunta III Wazy dokonano historycznego przeniesienia stolicy do Warszawy, a jego pomnik stojący na kolumnie na pl. Zamkowym na wieki stał się symbolem tego miasta. Jednocześnie jednak okres panowania tego władcy został zdominowany przez wieloletnie konflikty zbrojne. Pierwszy z nich, którego podłożem było dążenie Zygmunta III Wazy do odzyskania utraconego dziedzicznego tronu w Szwecji oraz przyłączenia Estonii do Rzeczypospolitej, pochłonął 20 lat jego życia. Również wyprawy przeciw osłabionej wielką smutą



Rosji wpłatały Polskę w trwającą dekadę wojnę. Poprzez wspomniane zaangażowanie zbrojne na północy i wschodzie król zgodził się na wpływy Hohenzollernów w Prusach Książęcych, co przyczyniło się docelowo do utraty tego lenna, a w przyszłości zaowocowało pojawieniem się groźnej siły u granic Rzeczypospolitej. Polski władca, decydując się na ścisły sojusz z Habsburgami, doprowadził również do zerwania, przez wiele

lat mających poprawny charakter, stosunków z Imperium Osmańskim. W sferze polityki wewnętrznej reformy Zygmunta III Wazy zmierzające do wzmocnienia władzy monarchicznej zostały powstrzymane przez szlachtę, która wystąpiła przeciw niemu podczas rokoszu Zebrzydowskiego. Będąc gorliwym zwolennikiem kontrreformacji, faworyzował katolików kosztem protestantów. Z kolei zawarta w 1596 r. unia brzeska doprowadziła do napięć z prawosławnymi obywatelami Rzeczypospolitej.

DAWNE PODRÓŻE

Mapa świata z atlasu Huberta
Jaillota i Nicolasa Sansona (1692 r.)

**W 2022 r. MIJA 500. ROCZNICA PIERWSZEGO OPŁYNIECIA
KULI ZIEMSKIEJ PRZEZ ŻEGLARZY, KTÓRZY W 1519 r.
WYRUSZYLI W DŁUGI I PEŁEN NIEBEZPIECZEŃSTW REJS
POD WODZĄ FERDYNANDA MAGELLANA**



**JACEK
KROCHMAL**

Wyprawa trwała ponad trzy lata. Spośród 270 marynarzy, którzy wypłynęli z Sewilli, do Hiszpanii w 1522 r. powróciło zaledwie 18 uczestników rejsu. Rok wcześniej na Filipinach zginął Magellan. Losy tej słynnej ekspedycji pokazują, jakie wyzwania i niebezpieczeństwa były związane z podróżowaniem w dawnych wiekach. Większość podróży była jednak znacznie krótsza. Zwykle odbywały się one drogą lądową. Powody skłaniające ludzi do opuszczania domu i wyruszania w nieznaną były różnorodne. Dalekie podróże odbywali kupcy, dyplomaci i studenci. W średniowieczu wielkie ruchy migracyjne były związane z przeludnieniem jednych rejonów i przeno-

szeniem się w inne, gdzie znajdowano lepsze warunki do życia. Przejawem tych migracji na ziemiach polskich była kolonizacja na prawie niemieckim oraz na prawie wołoskim. Wraz z rozwojem różnych form religijności upowszechniał się ruch pielgrzymkowy. W okresie staropolskim do dobrego obyczaju magnatów i bogatej szlachty należało wysyłanie synów w długą podróż edukacyjną po Europie. Zupełnie inną przyczynę miały migracje odbywane w okresie powstań narodowych, po których upadku dalekie podróże były wymuszane względami politycznymi lub zsyłką. Na przełomie XIX i XX w. upowszechniła się emigracja zarobkowa „za chlebem”, odbywana do Ameryki Północnej bądź Południowej. Te i inne formy podróżowania mają swoje odzwierciedlenie w źródłach zachowanych w Archiwum Głównym Akt Dawnych.

Do najstarszych świadectw odnoszących się do podróży należy wpis wniesiony ok. 1458 r. do księgi Metryki Koronnej z czasów króla Kazimierza Jagiellończyka. Jest to marszruta szczegó-

łowo wyznaczająca drogę z Krakowa do Rzymu. Trasa wiodła przez 50 miejscowości, a każdy etap podróży był oznaczony przybliżoną odległością wyrażoną w milach. Tak wyznaczona trasa wiodła z Krakowa przez Zator, Żylinę, Preszburg (Bratysławę), Villach, Padwę, Bolonię, Florencję i Viterbo, by zakończyć się w Wiecznym Mieście.

Ciekawostką jest dokument związany ze słynną pielgrzymką marszałka wielkiego litewskiego Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Sierotki do Ziemi Świętej. Jego orszak wyruszył z Nieświeża 16 września 1582 r. Wyprawa do Jerozolimy wiodła przez Wenecję, Kretę, Cypr i Syrię, skąd wyruszono do Palestyny. Sierotka wraz ze swym 12-osobowym orszakiem zwiedził Jerozolimę i Betlejem. Pierwotnie planował powrót do Rzeczypospolitej przez Konstantynopol (Stambuł). Trasa przebiegała przez terytoria znajdujące się pod władzą turecką, dlatego dzięki staraniom dyplomatycznym Piotra Broniewskiego Radziwiłł w 1583 r. uzyskał od sułtana Murada III tугę, czyli dokument, który można uznać za swego rodzaju paszport.

Ziemia Święta w atlasie Tobiasza Konrada Lottera (1773 r.)

ców odwiedzanych państw, w tym przez cesarza Ferdynanda, infantkę Izabelę i papieża Urbana VIII. Pamiątką z wizyty w Antwerpii są portrety królewicza namalowane w pracowni Petera Paula Rubensa.

Wśród staropolskich źródeł dotyczących podróży najczęstsze są świadectwa wypraw po drogach Starego Świata. W zasobie Archiwum Głównego Akt Dawnych znajduje się także interesujące źródło ukazujące podróże odbywane przez Atlantyk. Jest tu mowa o najstarszym w zbiorach polskich liście z Ameryki. W 1659 r. napisał go Aleksander Karol Kurcusz, wybitny uczony, lekarz i nauczyciel. Początki swej kariery związał z Bogusławem Radziwiłłem. Po topocie szwedzkim wyemigrował do Niderlandów, skąd w 1658 r. wyjechał do Nowego Amsterdamu (Nowego Jorku) w Ameryce Północnej, gdzie na Manhattanie założył szkołę. Nie zapomniał o swym litewskim protektorze, któremu donosił o miejscu pobytu, zapewniał o nieustannym oddaniu, oferował usługi i deklarował chęć powrotu do ojczyzny.

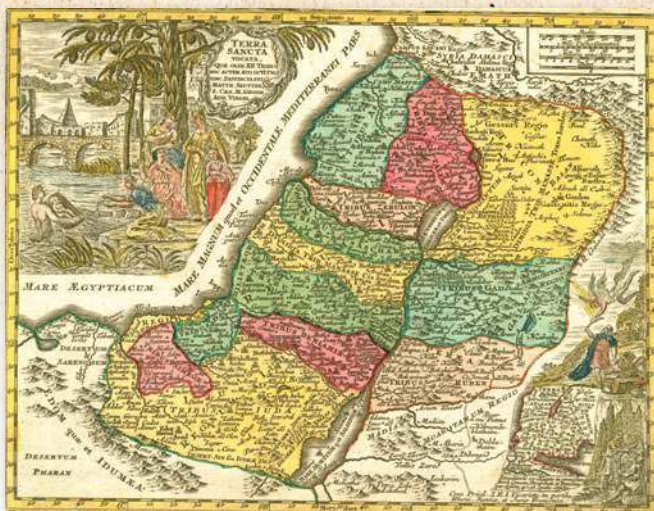
Rozwój transportu morskiego sprawił, że od drugiej połowy XIX w.

Diariusz podróży królewicza Władysława po Europie (1625 r.)

znacznie łatwiejsza była podróż przez Atlantyk. Z drogi morskiej skorzystało wielu Polaków udających się do obu Ameryk w poszukiwaniu lepszego życia. Najważniejszą austriacką kompanią przewozową oferującą emigrantom swe usługi było towarzystwo żeglugi Austro-Americana założone w Trieście nad Adriatykiem. Jego działalność cieszyła się tak wielkim zainteresowaniem, że już w 1909 r. towarzystwo, oprócz centrali w Trieście, miało jeszcze 165 biur i agencji w 124 miastach na świecie. Wśród klientów kompanii było wielu mieszkańców Galicji i Bukowiny emigrujących do Ameryki Północnej i Południowej.

Ulotka Towarzystwa Żeglugi Parowej Austro- -Americana (1914 r.)

Opisując źródła dotyczące podróży, trzeba wspomnieć o wspaniałe wydanych dawnych atlasach świata. Zamieszczone w nich barwne mapy kontynentów i krajów są wyśmienitym źródłem do dziejów kartografii, przede wszystkim odzwierciedlają zaś ówczesny stan wiedzy o świecie czerpany z odkryć geograficznych. W zbiorach kartograficznych AGAD na uwagę zasługują pięknie wydane atlasy świata Huberta Jaillota i Nicolasa Sansona („Atlas nouveau. Contentant toutes les parties du monde”), wydrukowany w Paryżu w 1692 r., oraz atlas Tobiasza Konrada Lottera („Atlas minor praecipua orbis terrarum imperia, regna et provincias”), opublikowany w Augsburgu w 1773 r.



Sułtan nakazał urzędnikom, aby nie czynili żadnych przeszkód orszakowi zdążającego do Stambułu. Paszport nie został wykorzystany, Sierotka zmienił bowiem plany i z Ziemi Świętej popłynął do Egiptu, a następnie przez Kretę, Wenecję i Wiedeń udał się do swej rezydencji w Nieświeżu.

W archiwach często spotykane są dokumenty związane z działalnością kupców zajmujących się handlem dalekosiężnym. Specjalnością kupców ormiańskich był handel z krajami muzułmańskiego Wschodu. Wśród wielu Ormian mieszkających w Rzeczypospolitej na uwagę zasługującej działalność Sefera Muratowicza, który w 1602 r. na zamówienie króla Zygmunta III sprowadził z Persji namioty i dywany, przedkładając szczegółowe rozliczenie z poniesionych wydatków związanych z ich zakupem.

Do słynnych XVII-wiecznych podróży europejskich należała wyprawa królewicza Władysława Wazy odbyta w latach 1624–1625. Jej przebieg jest znany m.in. z diariusza spisane go przez Jana Hagenawę, dworzanina kanclerza wielkiego litewskiego Albrychta Stanisława Radziwiłła, którego pieczę królewicz został oddany na czas podróży. Wyprawa wiodła przez Śląsk, Wiedeń, Bawarię, Kolonię do Brukseli i Antwerpii. Następnie orszak królewicza zawrócił na południe. W tej fazie podróży podążano wzdłuż granicy francuskiej, potem przez kantony szwajcarskie, a dalej do Włoch. Królewicz odwiedził Mediolan, Bolonię, Rzym, Neapol, Florencję, Padwę i Wenecję. Droga powrotna była już krótsza i wiodła przez Wiedeń, z którego orszak królewicza powrócił do Warszawy. Podczas podróży Władysław był życzliwie przyjmowany przez wład-





Wykonana z balonu fotografia ukazująca odsłonięte relikty obronnej osady kultury łużyckiej w Biskupinie



ARCHIWA
PAŃSTWOWE
ARCHIWUM AKT NOWYCH

z wizyt mogą pomóc odzyskać utraconą wiedzę.

Przykładem bezcennych archiwaliów tego rodzaju są zachowane w albumach Ignacego i Jana Mizikowskich zdjęcia, które trafiły do zasobu Archiwum Akt Nowych jako dar Jadwigi Mizikowskiej-Barbulant i Andrzeja Barbulanta.

Ignacy Mizikowski, członek POW, podczas I wojny światowej żołnierz I Brygady Legionów Polskich, następnie ordynans Marszałka, posiadał wybitne zdolności kronikar-

sko-dokumentacyjne. Pozostawił po sobie albumy zawierające setki unikatowych fotografii, częściowo zebranych, a częściowo osobiście wykonanych, dokumentujących w latach 30. zarówno substancję zabytkową i przyrodniczą całej Polski, od skał Pienin aż po rozlewiska Polesia, jak i kluczowe wydarzenia państwowe. Ignacy Mizikowski nie mógł też przepuścić okazji do udokumentowania miejsca, którego archeologiczna sława na skutek poczynionego w 1933 r. odkrycia rozeszła się szeroko. Miejscem tym był oczywiście Biskupin.

Od przypadkowego odkrycia do profesjonalnych wykopalisk

Jako pierwszy zwrócił uwagę na występowanie w rejonie zabagnionej wyspy na Jeziorze Biskupińskim materiałów archeologicznych nauczyciel pobliskiej szkoły Walenty Szwajcer wraz ze swoimi uczniami. Prowadzone w latach 1932-1933 prace melioracyjne spowodowały obniżenie poziomu wód Jeziora Biskupińskiego i odsłonięcie drewnianych relikwów potężnego założenia, a okoliczni mieszkańcy zaczęli znajdować pradziejowe naczynia i wykonane z brązu narzędzia. Wybuch archeologicznej sensacji był tylko kwestią czasu.

Na skutek interwencji Szwajcера do Biskupina przybył prof. Józef Kostrzewski, jeden z najwybitniejszych polskich archeologów. Już po pobieżnych oglę-

ARCHIWISTYKA W SŁUŻBIE ARCHEOLOGII

CHOĆ WYDAJE SIĘ TO
NIEPRAWDOPODOBNE,
W ZASOBIE ARCHIWÓW
PAŃSTWOWYCH
ZNALEŹĆ MOŻNA
DOKUMENTACJĘ
NIOŚĄCĄ WIEDZĘ
O CZASACH
SIĘGAJĄCYCH...
NAWET 27 WIEKÓW
WSTECZ!



RAFAŁ
KIERZKOWSKI

Archiwalne świadectwa prowadzonych przed wojną badań archeologicznych pozostają bezcennym źródłem informacji. Wobec drugowojennych zniszczeń, niosących często zagładę dokumentacji prac lub samych stanowisk archeologicznych i wydobytych artefaktów, wszelkie dodatkowe świadectwa prowadzonych wykopalisk, wzmianki w prasie, kroniki lub fotograficzne i opisowe relacje



dzinach nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z relikdami, które będą jednym z najważniejszych stanowisk w Polsce i historii polskiej archeologii. Pomimo ciężkich początków, braków funduszy i zaplecza rozpoczęto badania, które wraz z kolejnymi partiami odsoniętych pozostałości osady zaczęły budzić coraz większe zainteresowanie. Profesor Kostrzewski prowadził badania w sposób niezwykle nowatorski, ściągając na miejsce m.in. architektów, geologów, antropologów, archeozoologów, botaników... – przedstawicieli wszystkich gałęzi nauki, które mogły pomóc w odszyfrowaniu dziejów miejsca. Do prac przy wykopaliskach zatrudniano okoliczną ludność, pomagającą pod nadzorem archeologów.

To na skutek rozpoczętych wówczas badań wiemy dziś, że warowną osadę wzniesli przedstawiciele kultury łużyckiej w drugiej połowie VIII w. przed Chrystusem. Badania dendrochronologiczne wykazały, że drewno do budowy pozyskiwano w latach 747–722 p.n.e. Osada zajmująca 1,3 ha i składająca się ze 106 domostw rozplanowanych w 13 rzędach otoczona była obronnym wałem drewniano-ziemnym szerokości 3 m i szacunkowej wysokości nawet 6 m, wzmocnionym wbitymi w brzeg jeziora palami, pełniącymi funkcję falochronu. Mogła ją zamieszkiwać nawet tysiąc osób. Dzięki licznym znalezionym artefaktom wiemy, że zajmowali się oni rolnictwem, rybołówstwem i zbieractwem, lecz również rzemiosłem. Obronna osada była wykorzystywana przez kilka pokoleń. W późnej epoce brązu i wczesnej epoce żelaza był to w tym rejonie Europy ośrodek unikatowy, o niespotykanej randze.

Archeologia a Wojsko Polskie

Wielkość badanego stanowiska wymagała niezwykleś środków dokumentacji. Początkowe próby wykonywania fotografii z wysokich drabin pozwalały na zdjęcia jedynie niewielkiego obszaru. Wszystko się zmieniło, kiedy w prace zostało zaangażowane Wojsko Polskie. Pierwsze zdjęcia wykonano z użyczonych samolotów. Dawały one lepszą perspektywę, ale tempo przelotu ograniczało zdolności dokumentacyjne i jakość zdjęć. Potrzeba było większej stabilizacji. Postanowiono skorzystać z balonów obserwacyjnych i zaporowych.

Dzięki wstawiennictwu gen. Kazimierza Fabrycego dla polskiej ekspedycji archeologicznej wykonano również specjalny kulisty balon, mniej podatny na porywy wiatru, a w pełni zdolny unieść aparat fotograficzny. Autorami projektu byli dr Zdzisław Rajewski i Wojciech Kóćka; balon wykonano w Wytwórni Balonów i Spadochronów w Legionowie i nazwano „WBS Balon archeo-aerofoto”. Z racji zaangażowania wojska prace wykopaliskowe w 1937 r. odwiedził sam marszałek Edward Śmigły-Rydz, również widoczny na zdjęciach albumu.

Tym sposobem została wypracowana w polskiej archeologii nowoczesna metodyka dokumentacji w postaci zdjęć

Dokumentacja zdjęciowa z lat 30. jest znakomitym źródłem obrazującym zarówno detale stanowiska, jak i metodykę prowadzonych w biskupińskiej osadzie prac archeologicznych

lotniczych i balonowych, stosowana do dzisiaj (obecnie również z użyciem dronów), m.in. przez Michała Dąbskiego i dr. Mirona Bogackiego – specjalistów Wydziału Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego od fotografii archeologicznej.

Z aparatem w osadzie kultury łużyckiej

W przygotowanym przez Ignacego Mizikowskiego albumie znajduje się kilkadziesiąt zebranych fotografii dokumentujących przebieg prac archeologicznych w biskupińskiej osadzie. Są one ciekawym źródłem wiedzy o samym stanowisku. Prezentują bowiem duże obszary odsoniętych relików umocnień, zabudowy mieszkalnej czy falochronu, pokazują też metodykę prowadzonych prac, czyszczenie wydobytych materiałów, sposoby zabezpieczania wykopów oraz niektóre odkryte artefakty, np. kamienne żarna i gliniane naczynia. Fotografie objęły nawet część wykonanej przed wojną rekonstrukcji zabudowy wraz z pierwszą ekspozycją znalezisk archeologicznych wydobytych w trakcie wykopalisk.

Tym sposobem dokumentacja wytworzona w latach 30., znajdująca się w zasobie Archiwum Akt Nowych, pozwala sięgnąć wzrokiem 27 wieków wstecz! Przeszłość ma przyszłość!

ENTUZJASTA SARMACKIEJ WOLNOŚCI RODEM Z WŁOCH

NIE ZNAMY NIESTETY PRAWIE ŻADNYCH
SZCZEGÓŁÓW WŁOSKIEJ BIOGRAFII
DOMENICA RONCALLEGIO. WIEMY, ŻE WYBRAŁ
RZECZPOSPOLITĄ JAKO SWOJĄ OJCZYZNĘ



**HENRYK
LITWIN**

Dnia 11 grudnia 1633 r. Domenico Roncalli, sekretarz królewski i pisarz sprawowanego przez Jerzego Ossolińskiego poselstwa obediencyjnego do papieża, wygłosił w obecności kardynała Francesco Barberiniego, człowieka numer dwa w kurii papieskiej, mowę pochwalną na cześć Sarmaticae Nobilitatis. Rzymianie byli jeszcze pod wrażeniem uroczystego wjazdu poselstwa do Wiecznego Miasta, który odbył się 27 listopada i został oceniony jako vista maravigliosa. Tak właśnie określił to wydarzenie Giacinto Gigli, znakomity kronikarz miejskich wydarzeń w latach 1615–1657. Oracja Roncallego była swoistym podpisem pod obrazem owej sławnej parady, jaki na długo pozostał w oczach papieskich poddanych i słał potęgę Rzeczypospolitej oraz panującą w niej wolność, a nade wszystko „godność stanu szlacheckiego”, która autora panegiryku „trzyma jak więźnia złotym skutego łańcuchem”.

FOT. MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU/WIKIPEDIA

Bernardo Bellotto, „Wjazd Jerzego
Ossolińskiego do Rzymu w roku 1633”,
Muzeum Narodowe we Wrocławiu



Zniewolony wolnością

Okowy z tak szlachetnego kruszcu powstały w czasie dziesięcioletniego – zgodnie ze słowami samego Roncallego – pobytu w Polsce. Możemy zatem przyjąć, że przybył on do kraju Sarmatów w roku 1623. Wynika z tego, że pojawił się nad Wisłą w orszaku nuncjusza Giovanniego Battisty Lancellottiego, w którego „familii” pełnił – jak wiadomo z akt nuncjatury – funkcję sekretarza. Nie znamy niestety prawie żadnych szczegółów włoskiej biografii Domenica. Z jego późniejszych deklaracji wynika, że studiował w rzymskim kolegium jezuitów i posiadał tytuł doktora teologii. Wzmianka w jednym z listów kard. Francesca Barberiniego wskazuje, że Roncalli urodził się w Foligno. I to już wszystkie fakty dotyczące życia naszego bohatera przed jego wyjazdem do Polski, jakie biografowie zdołali zebrać. W kancelarii nuncjusza Lancellottiego pracował przez cztery lata, stając się bliskim i wielce zaufanym współpracownikiem papieskiego ambasadora, którego wielce sobie cenił król Zygmunt III. W lutym 1627 r. zapadła w Rzymie decyzja o odwołaniu nuncjusza z warszawskiej placówki i nominowaniu następcy. Roncalli zdecydował się wówczas nie wracać do Włoch i pozostać w Warszawie. Z korespondencji późniejszych nuncjuszy z Sekretariatem Stanu wynika, że uczynił to z własnej inicjatywy i dzięki własnym kontaktom otrzymał nominację na sekretarza królewskiego (1627), któremu dodatkowo powierzono nauczanie języka włoskiego młodszych królewiczów – Jana Alberta, Karola Ferdynanda i Aleksandra Karola. Wiemy jednak, że w kolejnych latach utrzymywał regularny kontakt listowny z Lancellottim i zabiegał o rekomendację kardynalską dla dawnego patrona u króla.

Dworzanin i dyplomata

Latem 1627 r. Roncalli towarzyszył Zygmuntowi III w wyprawie wojennej do Prus Królewskich przeciw Szwedom. Pod koniec tego roku przyjął wyższe święcenia kapłańskie i został kapłanem królewskim. Zdaje się, że pełnił tę funkcję krótko i był raczej wykorzystywany w kancelarii królewskiej jako specjalista do spraw włoskich. Kolejni nuncjusze – Antonio Santa Croce i Onorato Visconti – poświęcali mu w swej korespondencji sporo uwagi i nie skąpili krytycznych uwag, sugerując, że



Zygmunt III Waza

zachowuje się nielojalnie w stosunku do Stolicy Apostolskiej i swymi działaniami niekorzystnie wpływa na króla, który uparczywie zabiega o kapelusze kardynalski dla Lancellottiego wbrew stanowisku i woli papieża. Roncalli rzeczywiście konsekwentnie dbał o interesy swego dawnego patrona, a jednocześnie wstąpił coraz mocniej w środowisko dworskie. Zaprzyjaźnił się z biskupem kamienieckim Pawłem Piaseckim oraz regentem kancelarii królewskiej Janem Lipskim (późniejszym prymasem). Postarał się też o protekcję faworyta królewicza Władysława, Adama Kazanowskiego. Nawiązał kontakt z otoczeniem wschodzącej gwiazdy dworu Wazów – Jerzego Ossolińskiego. Pozostając przy dworze, brał udział w życiu politycznym Rzeczypospolitej i dobrze poznał tajniki jej republikańskiego ustroju. Uczestniczył w wydarzeniach bezkrólewia po śmierci Zygmunta III i był świadkiem zgodnej elekcji w 1632 r. Po wstąpieniu



Władysław IV Waza

Władysława IV na tron i związanym z tym wzroście znaczenia protektorów Roncallego – Kazanowskiego i Ossolińskiego – przed włoskim sekretarzem otwierały się nowe możliwości kariery.

W 1633 r. Domenico Roncalli znalazł się w składzie poselstwa obediencyjnego do Rzymu, na czele którego stanął Jerzy Ossoliński. Włoch został wyznaczony do pełnienia funkcji pisarza misji i był pełnoprawnym członkiem delegacji oficjalnej. Został więc potraktowany jak polski szlachcic. Był mocno zaangażowany w prace poselstwa, a jego wspomniana już wyżej oracja wygłoszona 11 grudnia wobec kardynała Francesca Barberiniego i innych przedstawicieli kurii papieskiej stała się jednym z kluczowych przedsięwzięć promocyjnych poselstwa obediencyjnego. Jerzy Ossoliński docenił wkład Roncallego w prace swej misji i w relacji dla króla zaznaczył, że pisarz poselstwa służył z oddaniem, „nie żałując substancji swoich (czyli własnych funduszy) i w pracach siebie nie oszczędzając”.

Gry dyplomatyczne

Udział Roncallego w rzymskiej misji Ossolińskiego okazał się przepustką do kariery dyplomatycznej w Rzeczypospolitej. W 1639 r. byłemu sekretarzowi nuncjatury została powierzona funkcja drugiego sekretarza poselstwa Aleksandra Gosiewskiego do Francji. Misja ta miała wielce delikatne zadanie oswobodzenia królewskiego brata, Jana Kazimierza, z niewoli, w jaką popadł na skutek swego zaangażowania w przedsięwzięcia polityczne i wojenne pełnione w służbie Habsburgów. Roncalli znalazł się w składzie misji nie tylko jako wieloletni już pracownik koronnej kancelarii, lecz zapewne także dzięki reputacji człowieka mającego cenne kontakty na dworze francuskim w związku z dawną studencką przyjaźnią z Giulio Mazarinim, bliskim współpracownikiem kardynała Richelieu, a już niebawem pierwszym ministrem Ludwika XIII i Ludwika XIV. W trakcie podróży do Francji, podczas pobytu w Hamburgu, doszło do konfliktu Roncallego z posłem. Włoch utrzymywał kontakt listowny ze swoim protektorem podkanclerzym koronnym Jerzym Ossolińskim. Gosiewski przeczytał jeden z listów Roncallego do podkanclerzego, zawierający wielce niepochlebną ocenę szefa misji. W efekcie Włoch musiał opuścić orszak poselski i powrócić >>

» do Polski. Stronnicy Gosiewskiego na dworze warszawskim oskarżali go o zdradzenie Francuzom sekretów legacji. Wydaje się jednak, że Roncalli brał jedynie udział w skomplikowanej grze dyplomatycznej, prowadzonej pod kierunkiem Ossolińskiego, której celem było przekonanie dworu paryskiego, że przetrzymywanie Jana Kazimierza w niewoli jest na rękę jedynie Habsburgom i blokuje możliwość przymierza polsko-francuskiego. Kolejnemu poselstwu Rzeczypospolitej wysłanemu w 1640 r. udało się uwolnić królewicza.

Francuskie sukcesy dyplomaty

Roncalli pozostał w łaskach Władysława IV i w 1643 r. został mianowany rezydentem króla w Paryżu. Mazarini był już wówczas kardynałem i pierwszym ministrem Francji, rządzonej przez regentkę Annę Austriaczkę w imieniu jej małoletniego syna Ludwika XIV. Studencka znajomość obu Włochów, służących teraz Rzeczypospolitej i Francji, stanowiła dla Roncallego nieoceniony kapitał, ale pozycje obu protagonistów tej relacji były skrajnie nierówne, co powodowało, że polski rezydent musiał się wzniesić na szczyty zręczności i wyrafinowania. Prowadził skomplikowaną grę, w której musiał podtrzymywać zaufanie kardynała, starając się jednocześnie realizować powierzone mu przez Władysława IV zadanie zawiązania przymierza polsko-francuskiego. Było to tym trudniejsze, że francuski poseł w Rzeczypospolitej, baron d'Avauour, przedstawiał go w swych relacjach jako „włoskiego intryganta i oszusta” oraz stronnika Habsburgów. Roncalli przebywał w Paryżu od listopada 1643 r. Jego pozycję umocniło to, że przybył do stolicy Bourbonów nie tylko jako rezydent króla polskiego, ale i poseł Rzeczypospolitej, który miał złożyć kondolencje z powodu śmierci Ludwika XIII. Udało mu się zdyskredytować wiarygodność doniesień barona d'Avauour i zdobyć sobie zaufanie Mazariniego. Doprowadził do wycofania się Francji z popierania wielce dla Polski niebezpiecznego planu małżeństwa królowej szwedzkiej Krystyny z elektorem brandenburskim Fryderykiem Wilhelmem.



Po śmierci żony Władysława IV Cecylii Renaty Habsburżanki (1644) przedłożył Mazariniemu własny projekt ponownego ożenienia króla polskiego z Krystyną szwedzką, który miał umieścić Rzeczpospolitą wśród sojuszników Francji. Kiedy się okazało, że ta inicjatywa Roncallego nie była uzgodniona z dworem warszawskim, misja Włocha została szybko zakończona i w lutym 1645 r. musiał on opuścić Paryż i wrócić do Polski.

Dyplomatyczną porażkę Roncalli zdołał jednak przekuć w sukces, zręcznie bowiem pochwylił okazję, jaką było uruchomienie przez kard. Mazariniego zaaranżowanie małżeństwa Władysława IV z Ludwiką Marią Gonzagą de Nevers, włoską księżniczką związaną od lat z francuskim dworem królewskim. Zdobył sobie zaufanie przyszłej polskiej królowej i do Warszawy wrócił jako jej sługa i poplecznik. Ludwika Maria przybyła do Polski w lutym 1646 r., a 10 marca odbył się jej ślub z Władysławem IV. Już w lipcu 1646 r. Roncalli został ponownie wysłany do Paryża z misją uzyskania pomocy Francji dla Rzeczypospolitej w planowanej przez króla wojnie z Turcją.

Ostatnie lata

Po powrocie z Francji Roncalli został w 1647 r. wysłany do Rzymu jako rezydent Władysława IV. Miał tu realizować zadania związane z protegowaniem przez króla polskiego różnych kandydatów do kapelusza kardynalskiego, co wynikało z uwarunkowań sojuszu polsko-francuskiego. W tym czasie odbył też misję do Wenecji. Pełnił wówczas w istocie funkcję szefa stałej misji Rzeczypospolitej i kolejnych królów Władysława IV oraz Jana Kazimierza przy Stolicy Apostolskiej, a w razie potrzeby w innych państwach włoskich. Przebywał w Rzymie do 1658 r.

Biografowie Roncallego sądzili dotąd, że umarł w Rzymie w 1658 r. Wydana ostatnio przez Wojciecha Tygielskiego korespondencja innego zasłużonego dla dworu polskiego Włocha Giovanniego Battisty Jacobellego świadczy jednak, że po rzymskiej misji nasz bohater wrócił do Rzeczypospolitej i ostatnie miesiące życia

spędził na Warmii, wykonując obowiązki kanonika tamtejszej kapituły katedralnej, na który to urząd został powołany jeszcze w 1642 r. Zgodnie ze świadectwem Jacobellego Roncalli zmarł w 1663 r. we Fromborku.

„Nostro italiano” czy polski szlachcic

Trudno dziś rozstrzygać, kim się czuł Domenico Roncalli i jakie poczucie lojalności dominowało w jego osobowości. Wspomniany wyżej Wojciech Tygielski zakłada, że liczni Włosi działający przy dworze polskich Wazów mieli przede wszystkim poczucie wzajemnej więzi. Jeden z nich określił Roncallego w którymś ze swoich listów jako *nostro italiano*. Doceniając opinię wybitnego badacza dziejów Włochów w Polsce, nie można jednocześnie ignorować świadectwa, jakim jest mowa Roncallego wygłoszona w Rzymie w listopadzie 1633 r. Jej tekst świadczy o tym, że były sekretarz nuncjatury mocno zintegrował się ze środowiskiem politycznym Rzeczypospolitej, w jakim funkcjonował i z którym silnie się zidentyfikował. Nie tylko entuzjastycznie wypowiadał się o „sarmackiej wolności” i „godności stanu szlacheckiego”, ale też opiewał wyższość monarchii elekcyjnej nad dziedziczną. „Władza królewska – dowodził Roncalli – mając mniej do czynienia z hałasem skarg sądowych, cała z pełną wielkodusznością i ścią królewskimi możliwościami oddaje się staraniom o dobro publiczne. [...] W ten sposób Władca, będąc z daleka od nienawiści, a pewny miłości poddanych, cieszy się w pełni uznaniem i dobrowolnie oddanym mu posłuszeństwem”. Powinniśmy rzecz jasna brać pod uwagę uwarunkowania wynikające z panegirycznej formy oracji wygłoszonej w Rzymie. Trudno jednak nie zauważyć, że cytowana wypowiedź wykorzystuje schematy myślowe charakterystyczne dla polskiej szlachty i umieszcza oratora w szeregu sarmackich krasomówców, takich jak jego polityczny patron Jerzy Ossoliński lub sławny wśród współczesnych Jakub Sobieski. Czyż nie godne polskiego szlachcica są słowa Roncallego: „Poczuwałem się ponadto do dobrze zasłużonego obowiązku wobec całego stanu szlacheckiego tak zacnego Narodu, abym całe piękno i godność tego stanu, którymi przyświeca chyba wszystkim innym narodom [...], pokazał rozentuzjazmowanemu Rzymowi”.

MIGRANCY W STAROŻYTNYM RZYMIE

JUŻ RZĄDZĄCY RZYMEM PODJĘLI SIĘ PRÓBY STWORZENIA PAŃSTWA
JEDNOCZĄCEGO RÓŻNE LUDY ZAMIESZKUJĄCE ÓWCZESNY ŚWIAT

Thomas Cole, „Upadek
Cesarstwa Rzymskiego”



**MAREK
BARAŃSKI**

Jednoczenie to zaczęło się od podporządkowania Miastu ludów Italii i narzucenia im języka łacińskiego. Potem, w późnej Republice i wczesnym Cesarstwie, podbita zostały Galia, Hiszpania, Azja Mniejsza,

Afryka. Zamieszkująca te ziemie ludność uległa na Zachodzie latynizacji, na Wschodzie dominował język grecki. W celu ujednolicenia państwa w 212 r. cesarz Karakalla nadał wszystkim wolnym mieszkańcom Cesarstwa rzymskie obywatelstwo. Wobec rozpowszechniania

się chrześcijaństwa cesarz Konstantyn w 313 r. zezwolił na legalne wyznawanie tej religii, która w IV w. stała się nawet religią panującą. Wydawać by się mogło, że proces tworzenia się jednolitego państwa dobiegł końca. Jednak było to tylko złudzenie. >>

Ludzie z zewnątrz

Cesarstwo Rzymskie nadal rozrywały liczne konflikty – zarówno religijne, jak i etniczne. Nie wszystkie podporządkowane cesarzom ludy chciały zrezygnować ze swej podmiotowości i ze swej wersji religii chrześcijańskiej. Do tego doszły problemy gospodarcze. Rządzący Rzymem cesarze musieli się zmierzyć z narastającą inflacją, brakiem rekrutów, pełnymi ludźmi miastami i niedoborem ludności na wsiach. Wydawało się, że nie ma wyjścia i trzeba skorzystać z ofert barbarzyńców – osadzić ich na rzymskiej ziemi, nimi uzupełnić braki żołnierzy w legionach.

Rzymianie niemal od początku istnienia swego państwa korzystali z pracy ludzi pochodzących spoza granic, byli to głównie zdobywani na wojnie niewolnicy. Początkowo nieliczni, pracowali w majątkach patrycjuszy. Nie zawsze wykorzystywano ich do najcięższych prac. Czasem pochodzący z Grecji niewolnicy byli wychowawcami potomków arystokratycznych rodów, czasami ciesząc się dobrymi warunkami życia, tworzyli dzieła artystyczne lub literackie. Wraz z upływem lat rosło zapotrzebowanie na niewolników, gdyż rzymscy rolnicy coraz częściej porzucali swe gospodarstwa i przenosili się do miast zmuszani pogarszającymi się warunkami życia. Niszczyły ich coraz większe podatki, spodziewali się, że w miastach będzie im łatwiej żyć. Istotnie można się było tam utrzymać, nawet nie pracując. W Cesarstwie lud Rzymu był zaopatrywany w darmowe zboże. Poza tym powszechne było codzienne rozdawnictwo żywności, dziś byśmy powiedzieli zasiłki dla bezrobotnych. Pustoszeniu wsi nie zapobiegło nawet przywiązanie rolników do ziemi. Skoro jednak rzymska ludność wiejska przenosiła się do miast, w opuszczonych gospodarstwach zaczęli się pojawiać obcy przybysze. Byli to na ogół Germanie szukający lepszych warunków życia w granicach Cesarstwa. Germańscy barbarzyńcy coraz częściej wstępowali do rzymskiego wojska. Początkowo, po wzbogaceniu się na cesarskiej służbie, wracali do siebie, później pozostawali na ziemiach Cesarstwa.

W późnym Cesarstwie całe oddziały Germanów pod swoimi wodzami służyły w rzymskim wojsku. Ich dowódcy niejednokrotnie osiągnęli wysokie stanowiska. Na przełomie IV i V w. Wandal Stylichon uzyskał godność patrycjusza i pełnił



Wandal Stylichon na tabliczce z kości słoniowej z IV w. n.e.

funkcję magistri militum. Podobnie jak wielu innych chciał być Rzymianinem, ożenił się z Rzymianką i dzieci wychował na Rzymian. Dzielnie też bronił granic Cesarstwa. Jednak wkrótce się okazało, że tak duże masy Germanów stały się niebezpieczne dla istnienia państwa.

Groźni sprzymierzeńcy

Na początku drugiej połowy IV w., w związku ze zmianami klimatu, środkową Azję zaczęły nawiedzać susze. Koczujący tam Hunowie, wobec braku paszy dla ich bydła, ruszyli na zachód na stepy nadczarnomorskie. Po przekroczeniu Donu zaatakowali i rozbili królestwo Ostrogotów, z których część poddała się Hunom, część uciekła na Krym, a pozostali ruszyli na zachód, na tereny zamieszkane przez Wizygotów. Prerażeni atakiem Hunów Wizygoci, wraz z chroniącymi się u nich Ostrogotami, skierowali się nad będącą granicą Cesarstwa Dunaj.

Germańscy uchodźcy zatrzymali się nad graniczną rzeką i zwrócili się do władz rzymskich o pozwolenie na przekroczenie granicy w celu ucieczki przed Hunami. Pozwolono im przekroczyć Dunaj i zatrzymać się w Mezji. Mieli tam zamieszkać jako sprzymierzeńcy Rzymian. Przyznano im zasiłki, czyli zaopatrzenie w żywność z magazynów rządowych. Prędko jednak doszło do wybuchu konfliktu z rzymską administracją. Germanie uważali, że są oszukiwani i dostają za mało. Zaatakowali prowincje bałkańskie, zaczęli je rabować i niszczyć. Cesarz wschodniej części Cesarstwa Walens, sądząc, że zagrożenie jest niewielkie, nie czekając na pomoc z Zachodu, wyruszył z wojskiem na Germanów. Do starcia doszło w 378 r. pod Adrianopolem, gdzie armia rzymska została rozgromiona, a cesarz zginął. W wyniku tej klęski granica na Dunaju stanęła otworem przed następnymi germańskimi uchodźcami, którzy masowo zaczęli wlewać się na ziemię Cesarstwa, łupić je i niszczyć. Sytuację uratował dopiero nowy cesarz Teodozjusz, który dzięki dyplomacji doprowadził do odosobnienia Gotów i do zawarcia z nimi układu (382 r.). Goci zgodzili się na powrót do Mezji, gdzie zagwarantowano im autonomię pod warunkiem niesienia pomocy zbrojnej w razie potrzeby.

Współlistnienie?

W 395 r. zmarł cesarz Teodozjusz, Cesarstwo zostało podzielone pomiędzy jego dwóch synów. Wraz z osłabieniem władzy centralnej znowu pojawiło się niebezpieczeństwo wizygockie. Uznani za sprzymierzeńców Goci uzyskali prawo do 1/3 ziem, na których mieszkali. Obejmując te ziemie, popadali w konflikty z mieszkającą w Mezji ludnością. Powodem konfliktów było też to, że Goci nie potrafili gospodarować i często rabowali to, co im było potrzebne do życia. Różnili się też od miejscowej ludności wyznaniem. Ludność Mezji wyznawała katolicyzm, Goci byli arianami. Wszystko to po śmierci cesarza Teodozjusza doprowadziło do wybuchu powstania dowodzonych przez Alaryka Gotów. Spustoszyli oni Grecję.

W 400 r. doszło do reakcji antygermańskiej we wschodnim Cesarstwie, w Konstantynopolu wymordowano 7 tys. służących w armii Germanów. Reakcja ta przstraszyła Alaryka, zawarł on ugodę z władzami wschodniego Cesarstwa. Następnie z inspiracji władz

w Konstantynopolu ruszył na Zachód i w 402 r. obległ Mediolan. W tym czasie Stylichon walczył nad Dunajem z Wandalami. Aby pokonać Alaryka, ściągnął wojska znad Renu i zwyciężył Gotów pod Pollentią, a w następnym roku zadał im klęskę pod Weroną. Nie rozbił do końca wojsk wizygockich, gdyż zapewne chciał pchnąć Alaryka do walk z Cesarstwem Wschodnim. Z planu tego nic nie wyszło, bo w 405 r. Germanie z różnych plemion pod wodzą Radagajsa przekroczyli granicę na Dunaju i ruszyli do Italii. Aby ich powstrzymać, Stylichon odwołał z Galii resztę rzymskich legionów, obronę granicy powierzając zaprzyjaźnionym Frankom. Na czele tych wojsk pokonał Radagajsa, jednak nie mógł już zapobiec katastrofie. Przez odsłoniętą granicę na Renie wlały się do Galii plemiona Wandalów, Swebów i Alanów, a nieco później Burgundów. Aby ratować Galię, legiony rzymskie opuściły Brytanię i po wylądowaniu na kontynencie jednego ze swych wodzów obwołały cesarzem. Sytuację próbował ratować Stylichon, lecz na fali reakcji antygermańskiej został zamordowany. Po jego śmierci do bezbronnej Italii ruszył Alaryk na czele Wizygotów. Początkowo chciał zająć miejsce Stylichona, jednak nie udało mu się porozumieć z cesarzem Honoriuszem ani z senatem. Wobec tego w 410 r. zdobył i obrabował Rzym. Nie mogąc się jednak utrzymać w Italii, ruszył na północ. Tam, w południowej Galii, jego następca porozumiał się z Rzymianami i Wizygoci osiedli jako sprzymierzeńcy w okolicach Tuluzy.

W wyniku tych wydarzeń w Galii zapanał chaos. Sytuację uratował jeden z wodzów rzymskich, Konstancjusz. Ożenił się on z siostrą Honoriusza, Gallą Placydią, i został współregentem. Wprawdzie prędko zmarł, ale dzięki niemu formalnie władza Rzymu została w Galii przywrócona.

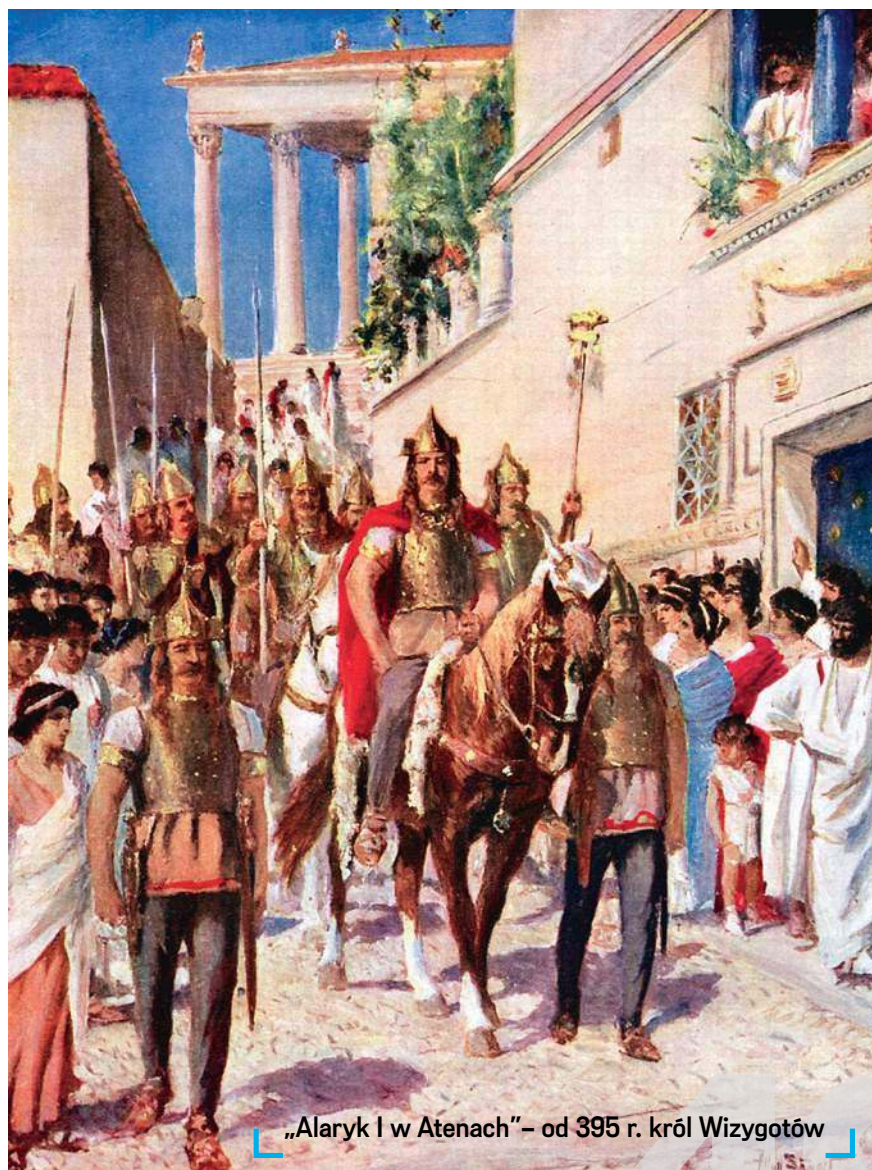
Goście czy gospodarze?

Cesarstwo Rzymskie na zachodzie istniało jeszcze kilkadziesiąt lat, do 454 r. obrońcą państwa był Aecjusz, jednak było ono coraz mniej rzymskie. W Galii zaczęli tworzyć swoje królestwa Frankowie, Wizygoci, Burgundowie, nad Kanalem – Brytowie. Na Półwyspie Pirenejskim osiedli Wandalowie, Alanowie i Swebowie, potem większość ziem hiszpańskich opanowali Wizygoci, a Wanda-

lowie przenieśli się do Afryki. Panonię zajęli Ostrogoci, lecz przesunęli się z niej do Italii, tworząc pod władzą Teodoryka silne królestwo. Początkowo królowie germańscy uznawali zwierzchnictwo rezydującego w Konstantynopolu cesarza, jednak w rzeczywistości byli od niego niezależni. Ale już w V w. wizygoccy królowie w Hiszpanii przestali uznawać cesarzy za swych zwierzchników, a w VI w. niezależne od Rzymu królestwa widzimy we frankijskiej Galii. Także Ostrogoci w Italii stworzyli państwo, choć król ich Teodoryk starał się zachować rzymskie zwyczaje. Z rzymską tradycją zerwali dopiero Longobardowie, którzy pojawili się w Italii w połowie VI w.

Na koniec trochę optymizmu. Na terenach Cesarstwa Germanie osiedlili

się i stworzyli swoje królestwa, jednak stanowili oni w nich mniejszość. Dlatego bardzo prędko przyjęli język podbitej ludności i zaczęli mówić w różnych dialektach łaciny, czyli po włosku, po hiszpańsku, po francusku. Prędko też porzucili swą wersję chrześcijaństwa, przyjmując katolicyzm. Zapaść kulturalna zachodniej Europy trwała kilka wieków, ale potem zaczęła się odradzać łacińska kultura. Niestety nie stało się tak w Cesarstwie Wschodnim. Wprawdzie trwało ono tysiąc lat dłużej, ale po podboju przez muzułmańskich Turków ludności dawnego Bizancjum daleko do antycznych tradycji. Tradycje te wraz z chrześcijaństwem zachowały się tylko na peryferiach państwa sułtanów, w Grecji i na Bałkanach.



„Alaryk I w Atenach” – od 395 r. król Wizygotów

FOT. WIKIPEDIA

Julian
Pilecki,
Stanisław
Kierbedź
(po prawej
u góry)
i Leon
Petrażycki
(po prawej
u dołu)

JAK POLACY ZMIENIALI CARSKĄ ROSJĘ?

POLACY, KTÓRZY STANOWILI W RDZENNEJ ROSJI ROMANOWÓW ZALEDWIE OK. 1 PROC. OGÓŁU MIESZKAŃCÓW, ODEGRALI W SCHYŁKOWYM OKRESIE IMPERIUM ZNACZĄCĄ ROLĘ. BYLI ELITĄ, KTÓRA DO TEJ POZYCJI DOSZŁA WŁASNYM WYSIŁKIEM, UPOREM I ZDOLNOŚCIAMI, Wbrew niełatwej historii i do pewnego momentu niesprzyjającej im polityce carskich władz



**ADAM
HLEBOWICZ**

Przez wiele lat zaboru rosyjskiego Polacy byli traktowani w imperium Romanowów jak obywatele drugiej kategorii. Czy to na ziemiach Rzeczypospolitej, na tzw. ziemiach zabranych, jak je nazywał Maurycy Mochnacki, czy inaczej Dalszych Kresach, czy w samej Rosji, gdzie wielu naszych rodaków znalazło się w wyniku represji, zsyłek i katorgi. Sytuacja zmieniła się w drugiej połowie XIX w., zwłaszcza w jego końcówce i na początku kolejnego stulecia. Na początku drugiej połowy XIX w. wystąpiło w Królestwie Polskim zjawisko tzw. nadprodukcji inteligencji humanistycznej, nasilone poprzez wzmożoną rusyfikację administracji Królestwa. W związku z tym od lat 70. obserwujemy większy niż wcześniej napływ Polaków na studia techniczne, medyczne i do różnego rodzaju szkół wojskowych w Rosji. Dobrą opinią cieszyły się Petersburski Instytut Technologiczny, Instytut Budowy Dróg i Mostów oraz Instytut Leśny. Polacy, nie mogąc się rozwijać w Warszawie, Lublinie czy Wilnie, częściej zdobywali odpowiednie wykształcenie, a potem intratne zawody na terenie Rosji i coraz lepiej radzili sobie w gospodarce państwa dynastii Romanowów. Tą nową elitą byli inżynierowie, lekarze, prawnicy, architekci, leśnicy. W drugiej połowie XIX w. wzrosła emigracja o podłożu ekonomicznym do Rosji, byli wśród niej także polscy chłopci i robotnicy. Spis powszechny z 1897 r. odnotował w Rosji 289 tys. Polaków. Do wybuchu I wojny światowej ich liczba wzrosła co najmniej do 400 tys.

Zaplanowana w tym okresie przez władze carskie kolonizacja ogromnych terenów syberyjskich przynosiła wymierne efekty. Rządowe statystyki podawały, że w 1901 r. ruch emigracyjny objął milion osób. Aż 800 tys. przesiedleńców osiadło w guberni tomskiej. Wśród nich co najmniej kilkunastotysięczna rzesza Polaków, którzy zakładali wsie, takie jak Białystok, Malinówka, Połozowo, 150 km na północ od Tomsku. Inni przesiedleńcy – z Zagłębia Dąbrowskiego do guberni irkuckiej – założyli słynną

Wierszynę. Dla bezrolnych lub małorolnych chłopów była to jedyna szansa na własną ziemię i usamodzielnienie swojej gospodarki. Wydawane w Petersburgu polskie czasopismo „Kraj” informowało w 1893 r. w korespondencji z Tobolska: „Polacy zajmują się drobnym handlem, pracują w fabrykach sukienniczych i gorzelniach, uprawiają ziemię, zarządzają interesami bogatszych kupców, służą jako subiektci, zajmują wreszcie posady rządowe. [...] Do handlu wnieśli sumiennosc i rozszerzyli go w rolnictwie, nauczyli innych lepiej uprawiać grunty, kosić, pierwsi sadzili kartofle, które na Syberii nie były uprawiane. Założyli też pierwszą fabrykę bulionu, ulepszyli niekóre gałęzie przemysłu, wyrób spirytusu, sukien itp.”.

Miłosz za Uralem

Jedną z gałęzi transportu, które się bardzo intensywnie w tym okresie rozwijały, była kolej. Rosja, posiadająca ogromne terytorium, potrzebowała połączeń nie tylko z Europą Zachodnią, tu dobrze funkcjonowała Kolej Warszawsko-Petersburska, ale i możliwości transportu towarów oraz ludzi we wschodnich guberniach, w tym za Uralem. Stąd najpierw budowa, potem rozbudowa, wreszcie tworzenie różnych nitek kolei transsyberyjskiej. Do jej powstania w dużym stopniu przyczynili się Polacy. Wspomniane wcześniej pismo „Kraj” w 1908 r. szacowało, że 18–20 proc. robotników pracujących wówczas przy budowie kolei stanowili właśnie nasi rodacy. Tylko w latach 1888–1898 wśród czołowego personelu budującego Kolej Zachodniosyberyjską na 65 pracowników 21 to byli Polacy. Na Kolei Środkowsyberyjskiej naczelnikiem oddziału, a potem naczelnikiem ruchu, był Ernest Bobieński. Stalowe konstrukcje mostów kratowych na rzekach Ingadzie i Nerczy wykonywała warszawska firma K. Rudzki i S-ka. Najwięcej Polaków jednak było zatrudnionych przy budowie Kolei Wschodniochińskiej, którą kierował Stanisław Kierbedź młodszy, pionier zastosowania elementów betonowych i żelbetowych w budownictwie, głównie w konstrukcji mostów i przepustów.

Maleńki, bo dwuletni Czesław Miłosz, pojechał w 1913 r. wraz z matką, przez pół świata, żeby spotkać się z ojcem, Aleksandrem, który w Krasnojarsku budował mosty. Podróż przez Petersburg, Ural, a potem

powrót, trwały kilka tygodni. Ojciec był absolwentem wydziału inżynierskiego Politechniki w Rydze, która miała swoją renomę w ówczesnym państwie carów. Miłosz utrwalił w wierszu „Za Uralem (1913)” kolejne fragmenty tej wyprawy.

Józef Gosławski, Władysław Horodecki, Henryk Hryniewski, Stanisław Mianowski, Stanisław Kierbedź, Stefan Kryczyński, Walerian Kulikowski, Aleksander Stanisław Rogojski, Ksawery Skórzyński, Aleksander Szymkiewicz, Paweł Zabłocki-Dziesiatowski, Narcyz Zborzewski – to tylko kilkanaście nazwisk z bardzo długiej listy polskich architektów, którzy pozostawili po sobie trwały ślad w projektach, gmachach, budowlach na Wschodzie, które można oglądać do dziś. Działali w Moskwie, Petersburgu, Tomsku, Odessie, Tbilisi, Kijowie i wielu mniejszych ośrodkach, wznosząc np. budynki stacyjne rozbudowywanej kolei żelaznej. Wszystkie wymienione miasta, choć dziś znajdują się w różnych państwach, wówczas stanowiły część imperium Romanowów.

I medycy, i leśnicy...

Jeśli chodzi o medycynę, to prym wśród uczelni kształcących Polaków wiódł Uniwersytet Kijowski. Absolwenci tej uczelni rozjeżdżali się po całym imperium, zdobywając niejednokrotnie sławę wybitnych medyków. Dla przykładu Teofil Wdowiakowski – urodził się na Podolu w Proskurowie, w 1858 r. ukończył wydział lekarski Uniwersytetu w Kijowie. Jego aktywność zawodowa była związana ze szpitalem miejskim w Odessie, gdzie od 1889 r. był głównym lekarzem. Pracował też w Paryżu w klinice urologicznej L'Hôpital du Midi. Był znanym urologiem, wenerologiem i świetnym operatorem. Osobiście wykonał około tysiąca zabiegów za pomocą uretrotomii. Innym ciekawym absolwentem uczelni kijowskiej był dr Marian Łążyński. Chirurg, działacz społeczny, doktorat obronił w 1901 r. w Petersburgu, kierownik polskiej lecznicy, bo i taka była, od 1913 r. w Kijowie. W wolnej Polsce prezes Towarzystwa Lekarzy Kresowych (1928–1936), w czasie II wojny światowej chirurg w czasie powstania warszawskiego, potem w obozie w Pruszkowie, zmarł w Warszawie w 1966 r. Pozostawił po sobie bezcenne wspomnienia – „Sto lat bez mała” – opisujące świat Kijowa, Petersburga, Ukrainy i Rosji. >>

» A co z leśnikami? Stolicą kształcenia kadr leśnych była ówczesna stolica Rosji Petersburg, główny i największy ośrodek życia akademickiego tego kraju przełomu XIX i XX w. Na stołecznych uczelniach podejmowano naukę głównie wielu Rosjan, jednak duży odsetek zarówno wśród studiujących, jak i kadry profesorskiej stanowili obcokrajowcy, w tym licznie zamieszkujący Petersburg Polacy. Miasto nad Newą było najważniejszym i największym polskim ośrodkiem mieskim w Rosji. W stolicy istniały liczne polskie organizacje religijne, społeczne i kulturalne, funkcjonowały polska prasa, wydawnictwa i miejsca kultu. Jak pisał badacz dziejów Rosji i obecności tam Polaków prof. Ludwik Bazylow: „Wyjazdy Polaków na studia do Rosji trwały nieprzerwanym ciągiem od powstania listopadowego do wojny światowej; kierunek wiodący na Petersburg był najbardziej uczęszczany i najchętniej wybierany”.

Ojciec Witolda Pileckiego

W ten sposób trafił też nad Newę ojciec Witolda Pileckiego, Julian, który podjął studia w Instytucie Leśnym. Oprócz podstawowej specjalności leśników w latach 1837–1864 kształcono tu mierzniczych (geometrów), a w latach 1869–1877 rolników. Pierwsi polscy studenci pojawiali się w instytucie już od pierwszych lat jego działania, czyli od 1803 r. W 1863 r. dołączono do uczelni istniejący od 1848 r. Instytut Rolny w Hory-Horkach, w guberni mohylewskiej. Był to przejaw represji za udział studentów i nauczycieli w powstaniu styczniowym. Po drobiazgowym śledztwie pozwolono się przenieść do stołecznej uczelni 33 słuchaczom, prawdopodobnie w większości Polakom. Ich przybycie spowodowało ożywienie polityczne wśród słuchaczy rosyjskich. W późniejszych latach liczba Polaków sukcesywnie wzrastała, osiągając w latach 80. XIX w. ok. 100 osób. Przy-

kładowo w 1887 r. studiowało ich tam 107, czyli ponad 1/3 całego grona studentów.

Spośród polskich pedagogów Instytutu Leśnego największym uznaniem cieszył się związany z tą uczelnią w latach 1876–1901 prof. Aleksander Rudzki, prekursor ochrony lasów w Rosji, a zarazem polski patriota, zawsze dbający o podległych mu studentów, osobną uwagę poświęcał swoim rodakom, redaktor specjalistycznych periodyków i autor kilku podręczników. Był jednym z profesorów Juliana.

Pilecki, jak wynika ze spisu absolwentów znajdującego się w Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym Petersburga, ukończył studia w 1886 r. Na jego roczniku liczącym ponad 40 absolwentów połowa to Polacy. Dodac mogę, że mój pradziadek Jan Hlebowicz (1868–1928) ukończył ten sam Instytut Leśny sześć lat później, w 1892 r. Ponieważ studia trwały cztery lata, obaj panowie, Pilecki i Hlebowicz, raczej się nie spotkali, ale ich losy zawodowe były bardzo podobne, jak zresztą losy innych Polaków. Absolwenci po ukończeniu studiów zwracali się do Ministerstwa Własności Państwowej Rosji z prośbą o przyjęcie do roli pomocnika leśniczego, najlepiej w jednej z guberni europejskiej Rosji, żeby nie znaleźć się zbyt daleko od ojczyzny. Zatrudnienie bezpośrednio po studiach na terenie dawnej Rzeczypospolitej było niemożliwe. Stąd oferta dla Pileckiego z Karelii, dla Hlebowicza, kilka lat później, z Baszkirii. Tym sposobem po ukończeniu Instytutu Leśnego w Petersburgu Julian Pilecki objął posadę pomocnika leśniczego w mieście Ołonec w Karelii, potem został leśniczym, a wreszcie inspektorem leśnym. Praca ta dawała godziwe zarobki, stabilizację życiową i zawodową.

Polska palestra

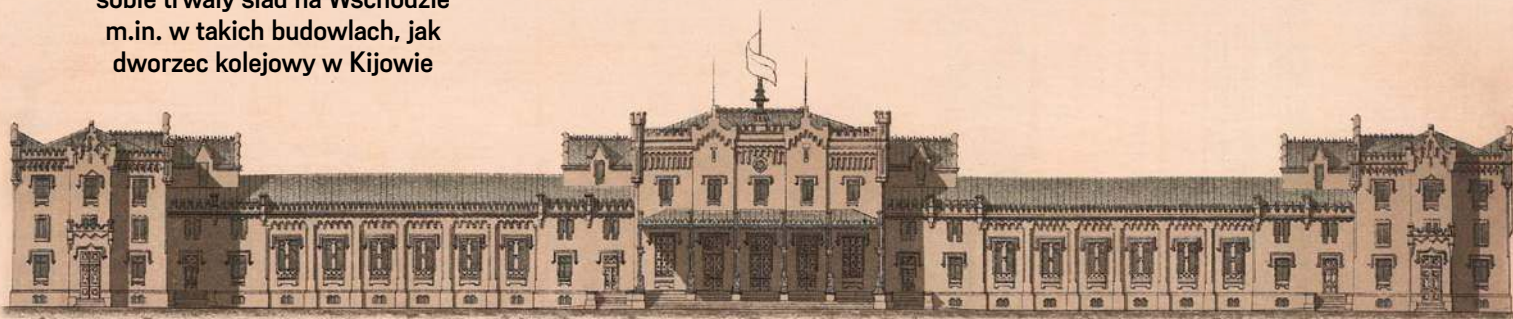
Na koniec wspomnieć trzeba polskich prawników, którzy wpłynęli na rosyjskie prawo, a zarazem praworządność w tym kraju. Z bogatej plejady wybitnych pol-

skich jurystów w Rosji wymienimy tylko dwie postacie: Włodzimierza Spasowicza i Leona Petrażyckiego. Spasowicz urodzony na Łotwie, szkoły kończył w Mińsku, a studia w Petersburgu. Był wydawcą przywoływanego tu już pisma „Kraj”, którego początki sięgają roku 1883. Z racji swej bogatej aktywności na niwie nauk prawnych, sukcesów w praktyce adwokackiej, twórczości historyczno-literackiej i wydawniczej oraz, co nie mniej istotne, przyjaźni z wieloma wybitnymi twórcami kultury i polityki rosyjskiej, np. filozofem Włodzimierzem Sołowiewem, jest postacią niezwykle zasłużoną, gdy chodzi o relacje polsko-rosyjskie. Pozostawił po sobie znaczący dorobek naukowy, w tym podręcznik prawa karnego, który za zbyt liberalne intencje został przez władze uczelni zdjęty z listy pomocy naukowych.

Leon Petrażycki pochodził z guberni witebskiej, absolwent Uniwersytetu Kijowskiego, a następnie rosyjskiego seminarium podyplomowego dla studentów Rosjan przy Uniwersytecie Berlińskim, w końcu profesor katedry Encyklopedii Prawa na Uniwersytecie Petersburskim. Cieszył się uznaniem i popularnością wśród kadry naukowej, czego wyrazem był dwukrotny wybór na stanowisko dziekana, a też i wśród młodzieży akademickiej, prowadzone przez niego koło naukowe studentów prawników zrzeszało 600 uczestników! Jak słusznie zauważył prof. Zbigniew Opacki, był jedynym w Petersburgu i jednym z nielicznych wśród rosyjskiej profesury prawa, który stworzył własną szkołę filozofii prawa, stając się jedną z głównych postaci nauk społecznych w ówczesnej Rosji. Walczył o zaszczerpiecie w Rosji kultury prawnej, praworządności, pierwszeństwa prawa przed państwem. Po wybuchu I wojny światowej działał w Polskim Towarzystwie Pomocy Ofiarom Wojny. W 1917 przez krótki okres był sędzią Sądu Najwyższego Rosji. ■

Autor jest dyrektorem
Biura Edukacji Narodowej IPN

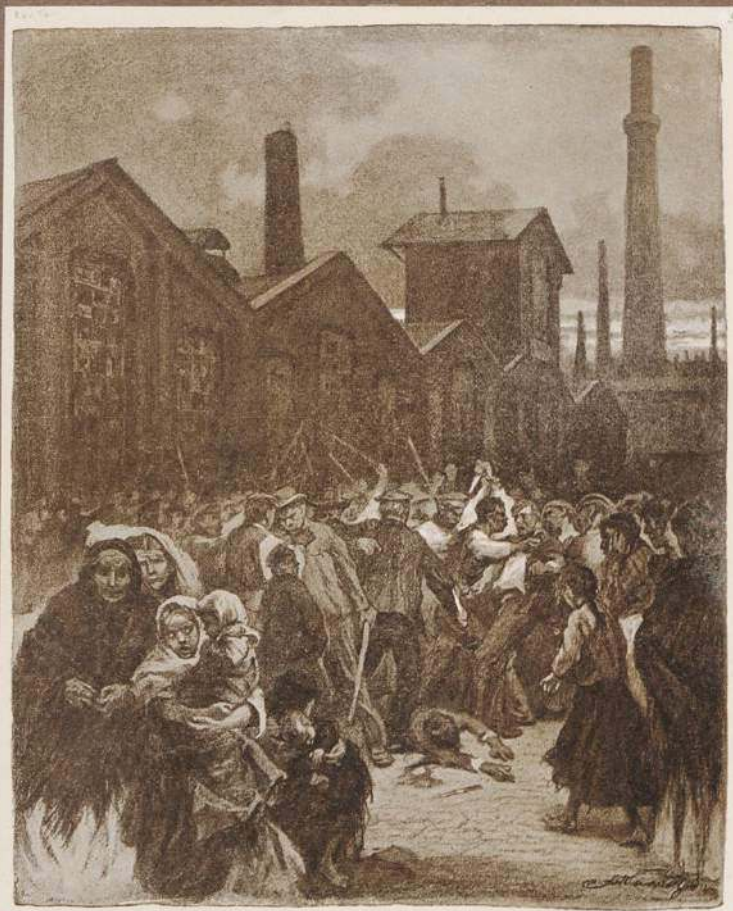
Polscy architekci pozostawili po sobie trwały ślad na Wschodzie m.in. w takich budowlach, jak dworzec kolejowy w Kijowie



MIĘDZY REWOLUCJĄ A POLITYKĄ REALNĄ

ZWIĄZEK IM. JANA KILIŃSKIEGO I NARODOWY ZWIĄZEK ROBOTNICZY W LATACH 1905–1908

Plansze z albumu „Duch-Rewolucjonista.
Szkice z lat minionych 1905–1907”, Antoni Kamiński



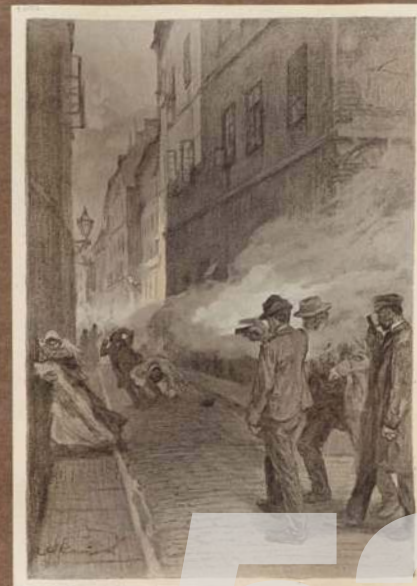
WALKI BRATOBÓJCZE

ANTONI KAMIŃSKI



WIEC DZIECI

ANTONI KAMIŃSKI



BRAUNINGI

ANTONI KAMIŃSKI

POLSKA HISTORIOGRAFIA MA NIEMAŁY PROBLEM
Z OKREŚLENIEM, CZYM BYŁY WYDARZENIA
W KRÓLESTWIE POLSKIM W LATACH 1905–1907 >>



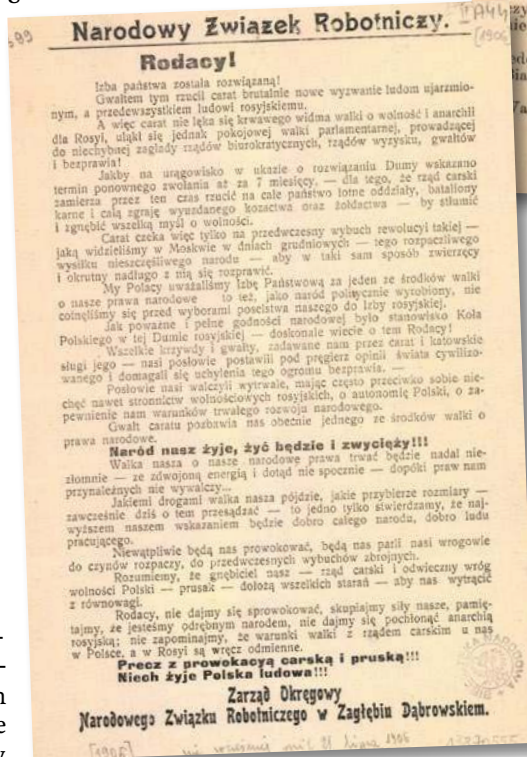
KAROL MAZUR

W czasach PRL forsowano pogląd, że doszło wówczas do rewolucji społecznej w całej Rosji. Miała ona stanowić prelude do „wielkiej” rewolucji bolszewickiej z 1917 r., która umożliwiła komunistom przejęcie władzy w państwie carów. Po 1989 r. uwaga historyków skupiła się głównie na postaci Józefa Piłsudskiego. Dla niego okres ten miał być poligonem doświadczalnym dla późniejszej akcji legionowej i odzyskania niepodległości w 1918 r. W znacznie mniejszym wymiarze przedstawiana jest polityka ruchu narodowego, który wystąpił wówczas z poważnymi hasłami walki o polskie interesy, odcinając się od internacjonalizmu socjalistów i radykalnych działań bojowców Piłsudskiego. Ukazanie tego dorobku jest o tyle ważne, że nadal w podręcznikach możemy znaleźć opinie, że narodowcy przynosili wówczas głównie szkody, gdyż poprzez swoje „reakcyjne” działania rozbijali ruch rewolucyjny.

TON, „Zet” i kilińczycy

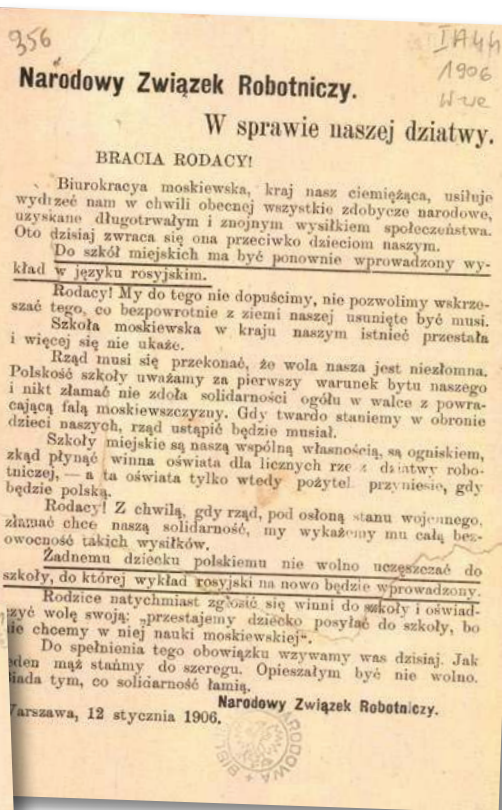
Powstała w 1893 r. Liga Narodowa dążyła do scalenia wszystkich grup polskiego społeczeństwa ze wszystkich zaborów w jeden naród. Jej działacze kładli nacisk na krzewienie oświaty. Uważali, że lepsza znajomość własnej historii i literatury przyczyni się do wzrostu świadomości narodowej Polaków. W Królestwie Polskim ich pierwsze działania skierowane były do inteligencji wiejskiej i małomiasteczkowej – zwłaszcza lekarzy, nauczycieli i księży. Wkrótce Liga Narodowa zaczęła też oddziaływać na środowiska robotnicze i rzemieślnicze w większych miastach, chcąc zneutralizować hasła walki klasowej wysuwane przez socjalistycznych działaczy rewolucyjnych spod znaku PPS i SDKPiL. W 1899 r. z inicjatywy Ligi powstało Towarzystwo Oświaty Narodowej, które zaczęło tworzyć tajne koła robotnicze. Na spotkaniach tych grup prowadzono

stosowne wykłady uświadamiające. Równolegle na tym polu uaktywnili się działacze Związku Młodzieży Polskiej „Zet”. Była to tajna organizacja studencka założona jeszcze w 1886 r. Jednakże w 1894 r. została rozbita aresztowaniami carskiej ochrony po ulicznych demonstracjach w rocznicę powstania kościuszkowskiego. W 1898 r. „Zet” został pod egidą Ligi Narodowej odbudowany i od razu włączył się w działania zmierzające do uświadamiania narodowego i odbudowy państwa polskiego. W tym celu zetowcy utworzyli komisję robotniczą i zaczęli się spotykać w ma-



łych grupach z młodzieżą pracującą w fabrykach i zakładach rzemieślniczych.

Działalność ta była na początku spontaniczna, ale szybko przejęła struktury organizacyjne w postaci powstałego w 1901 r. Związku im. Jana Kilińskiego. Najpierw kierowali nią studenci z Uniwersytetu Warszawskiego, ale potem wiodli w niej prym uczniowie stołecznej politechniki. Działalność kilińczyków opierała się na dwóch tajnych strukturach. Pierwszą tworzyli skupieni w dziesiątkach studenci zetowcy, którzy mieli kierować pracami związku. Do drugiej zaś należała młodzież robotnicza i rzemieślnicza, która gromadziła



się zazwyczaj pod przewodnictwem członka „Zetu” w kołach po 10–15 osób. Grupy te nie należały do właściwego Związku im. Kilińskiego, ale tworzyły jakby osobną organizację, która kilka razy zmieniała swoją nazwę – od 1904 r. była to Narodowa Młodzież Robotnicza. Liderzy kilińczyków zakładali, że dopiero z upływem czasu członkowie kółek po zdobyciu stosownego doświadczenia będą mogli być przyjęci do Związku. Własne, ale wzorowane na męskich, struktury związkowe utworzyły też młode kobiety, które w wielu przypadkach były rodzonymi siostrami kilińczyków. Związek im. Kilińskiego nie ograniczał się do zajęć oświatowych, ale także dbał o wyrobienie polityczne swoich członków w duchu programu Ligi Narodowej. W związku z tym wydawał własne konspiracyjne pisma („Kiliński” i „Czołem”), na których łamach przedstawiono założenia ideowe narodowego ruchu robotniczego. W celu uświadomienia politycznego związana z ruchem narodowym młodzież robotnicza przeprowadziła też wiele patriotycznych demonstracji w Warszawie. Na przykład 3 maja 1902 r., w rocznicę uchwalenia konstytucji, wywiesiła czerwono-białe chorągiewki na drutach telegraficznych. Intonowała też „Boże, coś Polskę” podczas kościelnych nabożeństw. Innym razem wybito szyby w rosyjskiej księgarni, w której reklamowano antypolskie broszury.

Niepodległość czy autonomia? Powstanie NZR

Wraz z rozpoczęciem wojny japońsko-rosyjskiej na początku 1904 r. i wybuchem rewolucji w Imperium Rosyjskim rok później odrodziły się nadzieje Polaków na zmianę ich położenia. Ugrupowania lewicowe spod znaku SDKPiL i PPS kładły głównie nacisk na poprawę losu robotników w całej Rosji poprzez wystąpienia rewolucyjne na ulicach i w fabrykach. W przeciwieństwie do internacjonalistycznego SDKPiL, PPS dążyła wprowadzić do odzyskania niepodległości Polski, ale zakładała, że walka ta będzie sprzężona z rewolucją w cesarstwie Rosji. Inaczej widzieli to „starzy” pepeesowcy z Józefem Piłsudskim na czele. Ci chcieli walczyć o niepodległość Polski z bronią w ręku poprzez starcia uliczne i akcje terrorystyczne. Z kolei ruch narodowy skupiony w Lidze Narodowej i Stronnictwie Narodowo-Demokratycznym promował tzw. politykę realną. Narodowcy pod przywództwem Romana Dmowskiego dystansowali się od polskiej tradycji insurrekcyjnej. Uważali, że kolejne powstanie zostanie szybko stłumione oraz przyniesie kolejne straty i rozgoryczenie Polaków. Postulowali działania polityczne, demonstracje i negocjacje, które zmusiłyby władze carskie do utworzenia autonomii w Królestwie Polskim. Nie miał być to cel sam w sobie, ale kolejny etap na drodze do odzyskania niepodległości.

Realizując te założenia, narodowi demokraci od początku rewolucji skupili się na walce o wprowadzenie języka polskiego do urzędów gminnych i szkół. Zdawali sobie sprawę, że ich polityka idzie w poprzek rewolucyjnym dążeniom socjalistów, które uznawali za szkodliwe dla sprawy polskiej. Podstawowym problemem było zneutralizowanie propagandy socjalistycznej w podatnych na nią środowiskach robotniczych. Kiedy w 1905 r. całe Królestwo Polskie ogarnęła fala strajków i walk ulicznych, narodowcy postanowili powołać własne ugrupowanie robotnicze. W czerwcu tego roku głównie na bazie kół robotniczych TON powstał Narodowy Związek Robotniczy (NZR). Do jego zarządu weszli też przedstawiciele Związku im. Kilińskiego, ale sam związek zachował odrębność organizacyjną jeszcze przez rok. Dopiero na zjeździe NZR w czerwcu 1906 r. kilińczycy weszli w szeregi nowej partii, obejmując kierownicze stanow-

iska. Program NZR był połączeniem idei ruchu narodowego i haseł społecznych. Jego liderzy uważali, że robotnicy mogą godzić starania o poprawę swego bytu z zasadami solidarności społecznej i narodowymi dążeniami do odzyskania niepodległości. Odrzucali przy tym koncepcje socjalistów, które ich zdaniem dzieliły polskie społeczeństwo i reprezentowały obce, a nie polskie, interesy. NZR rozwijał się błyskawicznie – pod koniec 1906 r. miał swoich przedstawicieli już we wszystkich miastach przemysłowych Królestwa Polskiego i liczył blisko 23 tys. członków.

„Endeckie bojówki”?

W literaturze przedmiotu nadal pokutuje przekonanie, że głównym celem Narodowego Związku Robotniczego była realizacja kontrrewolucyjnej polityki endecji poprzez siłowe rozbijanie rewolucji. Nie jest to zgodne z prawdą. Związana z ruchem narodowym młodzież włączała się w bieżące akcje przeciwko rosyjskiemu zaborcy, jeszcze zanim powstał NZR. Kiedy na początku 1905 r. Liga Narodowa poparła rozpoczęty oddolnie strajk szkolny, kilińczycy i ich podopieczni z Narodowej Młodzieży Robotniczej mieli za zadanie egzekwować bojkot szkół rosyjskich. Na początku były to działania z zakresu małego sabotażu, czyli wybijanie szyb w budynkach szkolnych oraz kolportaż ulotek agitacyjnych. Potem doszły też akcje terrorystyczne – zastraszanie, a jeśli to nie pomogło – fizyczna eliminacja realizujących politykę rusyfikacji kuratorów i nauczycieli. W tym celu kilińczycy utworzyli własną organizację bojową. Była ona złożona z pięcioosobowych grup konspiratorów, którzy przeszli szkolenie z władania bronią i pozostawali w gotowości do podjęcia stosownych akcji. Warto nadmienić, że jednym z komendantów tej organizacji był ówczesny student warszawskiej politechniki, a późniejszy delegat Rządu RP na Uchodźstwie podczas niemieckiej okupacji – wicepremier Jan Stanisław Jankowski.

Polska lewica (zarówno ta niepodległościowa, jak i internacjonalistyczna) odebrała powstanie NZR jako złamanie jej monopolu na agitację polityczną w środowisku robotniczym na ziemiach polskich. Chodziło nie tylko o spory ideowe, lecz przede wszystkim o strategię działania. Skupieni w NZR robotnicy uważali, że należy rozbudowywać związki zawodowe

i poprzez nie rozwiązywać bieżące spory o warunki pracy. Byli przeciwni zmasowanym akcjom strajkowym, do czego namawiali socjaliści. W tej sytuacji w fabrykach często dochodziło do konfliktów słownych, które przeradzały się w bijatyki. W końcu obie strony zaczęły stosować skrytobójstwa. Przemoc rodziła przemoc. W imię zasady „oko za oko” eliminowano najbardziej aktywnych działaczy robotniczych. Przez cały 1906 r. spirala zbrodni nakręcała się coraz bardziej, a co gorsza, carska ochrona stosowała prowokacje, aby te animozje podkręcać. Mimo kilku pojednawczych rozmów ta bratobójcza walka skończyła się dopiero wraz z wygasaniem rewolucji w połowie 1907 r.

Rozbrat z Narodową Demokracją

Liga Narodowa zareagowała na tę postępującą anarchizację życia społecznego w Kongresówce znaczącą zmianą strategii działania. Roman Dmowski uznał, że trzeba zarzucić nielegalne działania i próbować wymusić zmiany na korzyść Polaków w sposób demokratyczny poprzez własną reprezentację w powołanym podczas rewolucji rosyjskim parlamencie – Dumie. W 1908 r. ogłosił, że należy szukać porozumienia z Rosją, gdyż to nasz drugi zaborca – Niemcy zagrażają tożsamości narodowej Polaków bardziej niż Rosjanie. W tym roku wziął też udział w zjeździe panslawistycznym w Pradze, co zostało zinterpretowane jako zdrada ideowa. Postawa Dmowskiego nie znalazła zrozumienia wśród wielu narodowych działaczy, czego skutkiem była tzw. fronda, czyli opuszczenie przez nich Ligi Narodowej. W tym samym kierunku poszedł NZR. Na zjeździe związku we wrześniu 1908 r. jej członkowie przegłosowali wyjście z Ligi Narodowej, oskarżając ją o zbratanie z Rosją i odejście od niepodległościowego programu. Wkrótce czołowi działacze NZR przenieśli się do Galicji, by wraz z innymi ugrupowaniami stworzyć pod egidą Józefa Piłsudskiego szeroki blok tzw. irredenty, dążącej do odzyskania niepodległości Polski u boku Austro-Węgier. Mimo rozbratu z Narodową Demokracją dorobek Związku im. Kilińskiego i NZR był doceniany przez wiernych Dmowskiemu polityków. Jeden z nich, Stanisław Kozicki, napisał po latach, że bez aktywności tych ugrupowań nie byłoby narodowego ruchu robotniczego w Polsce.

ZDARZYŁO SIĘ



**MANUEL
FERRERAS-
TASCÓN**

80 LAT TEMU NA
LENINGRAD SPADŁA
MORDERCZA GŁODOWA
ZIMA. HISZPAŃSCY
OCHOTNICY
PRZYŁOŻYLI SIĘ DO
ZBRODNI WOJENNYCH
I UTRZYMANIA
REAKCYJNEGO
REŻIMU W KRAJU.
DO DZIŚ POZOSTAJĄ
NA PIEDESTALE

BŁĘKITNA DYWIZJA GŁODZIŁA LENINGRAD



Oddział Błękitnej Dywizji zimą na froncie wschodnim, 1942 r.

Błękitna Dywizja

45 482
żołnierzy przeszło
przez szeregi

4 954
poległych

8 700
rannych

2 137
trwale
okałeczonych

372
wziętych
do niewoli

Położenie beznadziejne. Jesteśmy całkowicie otoczeni od 10.30, walczę na wszystkich kierunkach. Nieprzyjacieli unieruchomił mnie, panując nad nasypem kolejowym. Odwrót w walce niemożliwy z braku broni automatycznej i konieczności wyniesienia wielu rannych. Kontynuuję obronę pozycji. Jak zawsze Viva España!” – meldował kapitan Teodoro Palacios dwie godziny po rozpoczęciu najkrwawszych zmagani Błękitnej Dywizji, bitwy pod Krasnym Borem, 16 km od serca Leningradu.

10 i 11 lutego 1943 r. Hiszpanie powstrzymywali napór pododdziałów 63. Gwardyjskiej Dywizji Piechoty wspieranych 45 czołgami z 1. Brygady Pancernej. Po flankach nacierały 43., 46. i 72. strzelkowe dywizje. Kompanie pierwszoliniowe w wyniku huraganowego przygotowania artyleryjskiego i falowych ataków piechoty straciły od 50 do 85 proc. stanów. Nawet weterani byli w szoku: cięższe kanonady nad Ebro angażowały czterokrotnie mniej dział. Gdy opadły gejzery ognia i błotnego śniegu, powietrze rozdarło gromkie: „Uraaa!”. Tyraliery

czerwonoarmistów rzuciły się do brawurowego ataku. Hiszpanie, wytargawszy z bunkrów okryte kocami MG-34, pruli do nacierających. Skrwawiona kompania gwardzistów cofnęła się, ciągnąc na saneczkach rannych. W jej miejsce wstąpiła 4. Kompania. Natarcie poderwał starszy lejtnant Kriwicki. Walka na kilka metrów, oczy wbite w oczy, zwierzęcy strach i determinacja. Ciskanie granatami. Krew krzepła na butach, na śniegu. Hiszpanie sarkali, że nieznośny mróz utrudnia walkę. Generał Siemion Nikołajewicz Borszczew wspomina: „Jak na złość nastąpiła odwilż. Narciarze stracili na manewrowości, czołgi grzęzły w mokradłach”. Sowieckie natarcie wyszło z wąskiego cypla, gdzie łokieć w łokieć przepychały się stłoczone cztery dywizje piechoty. Już podczas koncentracji padli ranni i zabici od ognia niemieckiej artylerii. Opadały fale stukasów, messerschmitty pruły z broni pokładowej. 60 narciarzy, brocząc krwią, nigdy nie doszło na pozycje wyjściowe. Gwardia w zaciekłym boju wymiotła z pepesz południowców usadowionych w lejach po nawale artyleryjskiej. Trzydziestoosobowa grupka hiszpańskich niedobitków rzuciła się do kontrataku na bagnety, na granaty. Bez wsparcia, dywizja musiała bowiem kryć 23 km frontu, gdzie w każdej chwili mogło nastąpić to samo. Musieli radzić sobie sami. Z flanki nadciągnęły czołgi T-34. Ppłk Aleksandr Sidorowicz Borodin nie czekał na fizylierów. Jak podsumuje go sztab, wdał się „w bezsensowny pojedynek z artylerią przeciwnika”, ponosząc ciężkie straty. Jeden z wozów w kurzawie spalin, śniegu i błota rwał wprost na punkt opatrunkowy. Kapral saperów Ponte Anido, chwyciwszy minę przeciwpancerną, zanurkował między stalowe gąsienice. Gigant przetoczył się nad chłopakiem. Ten w chmurze spalin wyłonił się zza wozu. Ciche „klang” i magnes miny przywarł do stalowego cielska. Ogłuszający huk i rozerwany czołg zmienił się w pochodnię. Nad trupowiskiem noc opadała całunem. Czerwonoarmiści, przełamawszy front na szerokości 10 km, okopali się na zdobytym terenie. Faszysci dali się zepchnąć pięć kilometrów, ale oparci o skraj lasu utrzymali front. Poległo 1 216 Hiszpanów, 1 036 odniosło rany, 200 dostało się do niewoli. Rosjanie notują: „Razgrom ispanców”. Dziennik operacji bojowych 50. Korpusu Wehrmachtu zaznacza, że Hiszpanie uciekali w popłochu. Skąd się tam wzięli? >>

Nie drażnić lwa

Generał Franco swoją wojnę już wygrał, a na cudze się nie wybierał. Z Anglią był poukładany od pierwszych chwil puczu. Buckingham Palace miał dwa oczekiwanie wobec Madrytu: konserwatywny ład za Pirenejami; swoboda żeglugi dla floty brytyjskiej po Morzu Śródziemnym. Problematiczny był impertynencki i małostkowy Hitler. Za wsparcie Legionu Condor III Rzesza dzierżawiła kopalnie wolframu w Rio Tinto, z beceremonialnością buchaltera odpisując kwoty astronomicznego długu wojennego. Po upadku Francji dyktatorzy Niemiec i Hiszpanii spotkali się w Pirenejach. Hitler namawiał Franco na wejście do wojny z Anglią. Caudillo stawiał niespełnialne żądania w materiale wojennym, by nie odmawiać wprost. „Jeśli znów miałbym przez to przechodzić, wolę, by wyrwano mi ze cztery zęby trzonowe” – podsumował Führer spotkanie na stacyjce kolejowej w Hendaye 23 października 1940 r.

Berlin oczekiwał zdobycia Gibraltaru i zamknięcia cieśniny dla floty brytyjskiej, która przez Morze Śródziemne zaopatrywała gen. Montgomery'ego w Egipcie, sprowadzała ropę z Bliskiego Wschodu, utrzymywała najkrótszą drogę do Indii. Franco wiedział, że półwysp odcięty blokadą morską od wymiany handlowej z Ameryką Łacińską, z wystawionymi na ogień brytyjskich pancerników Barceloną, drugim miastem kraju i 14 stolicami prowincji nie jest w stanie toczyć wojny z Royal Navy. Wojna z Imperium Brytyjskim kosztowałaby utratę władzy każdy rząd hiszpański.

Caudillo dawał III Rzeszy wymierne wsparcie: eksport węgla, rud, wełny, wymianę gospodarczą na warunkach Berlina; wsparcie Abwehry na terytoriach i morzach pod zwierzchnictwem Madrytu; przeszło 20 tys. robotników dla niemieckiego przemysłu, zastępujących zmobilizowanych do dwóch dywizji; zaopatrzenie u-bootów w słodką wodę, świeżą żywność, paliwo; obóz koncentracyjny w Miranda de Ebro zbudowany pod fachowym okiem gestapowca Paula Winzera, a przeznaczony dla pojmanych ochotników wędrujących w kierunku sił alianckich. Wszystko – poza wojną z Imperium Brytyjskim. Wojna niemiecko-sowiecka spadła Franco jak z nieba. Dysponując 25 dywizjami, a w planie mobilizacyjnym i prowadzonej już modernizacji armii nawet 50, nie

wysłał żadnej jednostki liniowej, tym bardziej kombinowanej z elitarnych pododdziałów. Pozwolił, by skrzyknęli się entuzjaści zmian społecznych, narodowo-syndykalistycznej rewolucji porządku z Falange Española. Rozsadzali kruchą równowagę w kraju, domagając się reformy rolnej i emancypacji robotników. NSDAP, stanąwszy po przejęciu władzy przed tym samym problemem, zdecydowała się na noc długich noży. Caudillo, zgodnie z tradycją śródziemnomorską, stosowaną od czasu Platona, Owidiusza, po Evo Moralesa w Boliwii –

FASZYŚCI DALI SIĘ ZEPCHNĄĆ PIĘĆ KILOMETRÓW, ALE OPARCI O SKRAJ LASU UTRZYMALI FRONT. POLEGŁO 1 216 HISZPANÓW, 1 036 ODNIOŚŁO RANY, 200 DOSTAŁO SIĘ DO NIEWOLI

sięgnął po usankcjonowane obyczajem rozwiązanie: banicję. Wyruszeni pełnymi pociągami jako ochotnicy do walki z komunizmem na antypodach. „Żegnając Was, chcemy wyrazić nasze szczęście i zazdrość, ponieważ to Wy będziecie bronić przyszłości naszej cywilizacji chrześcijańskiej, która nie może umrzeć, to Wy zniszczycie nieludzki, barbarzyński i zbrodniczy system rosyjskiego komunizmu” – żegnała ochotników okolicznościowa ulotka Falangi. Franco nie wypowiedział wojny nawet Związkowi Sowieckiemu.

Siarczysty mróz, gorące dziewczyny

Hiszpanie trafili do Bawarii, otrzymali mundury feldgrau i zostali sformowani w dywizję na etacie Wehrmachtu. „U drzwi kościołów ani na ulicach nie

widac żebraków. Oceniam to jako wielkie osiągnięcie, rządzący mają zakorzenione poczucie sprawiedliwości, zamiast zawsze poniżającej i biedniackiej filantropii” – zachwycił się III Rzeszą porucznik José Manuel Castañón. Doceniał sprawny system kartkowy i powszechną solidarność społeczną, gdzie nie było miejsca na czarny rynek. Wtórował mu Miguel Martínez-Mena: „Hitler w kilka lat potrafił wywołać prawdziwą synergę, łącząc siły robotnicze i narodowe. W nowych Niemczech zachwycił widok milionów zadowolonych robotników, silnej i ślicznej młodzieży, pełnej ideałów sięgających w przyszłość”. Gerardo Riera we frontowej gazecie „Hoja de Campaña” dzielił się wrażeniami z Niemiec: „Pola obsiane silną zielenią, ni spłachetka ziemi nieuprawnej, żadnych żebraków, zewsząd wyrastają kominy fabryczne, zdrowe i radujące się ogródkami osiedla wzniesione symetrycznie [...] błogosławimy Franco, by zdołał ponieść do końca naszą rewolucję narodowo-syndykalistyczną”.

W drodze na front maszerowali przez Kresy Wschodnie. „Stosunek do Polaków był zupełnie przyjazny, dużą sympatię okazywali również Żydom [...] pędzono jeńców sowieckich. Jakaś kobieta rzuciła im spoza parkanu kilka paczek. Gdy w odpowiedzi na to jeden z konwojentów Niemców strzelił do kobiety, a inny rzucił się z kolbą na podnoszących paczki jeńców, bijąc ich z całej siły, Hiszpanie złamali szeregi i wyciągnęszy sztylety, pospieszili bolszewikom na pomoc” – sprawozdawało utarczki w Grodnie, zakończone wprowadzeniem godziny policyjnej dla Hiszpanów, podziemne pismo polskich nacjonalistów „Szaniec”.

Ochotnicy trafili na front pod Leninogradem. Dziennik Działań Bojowych Dywizji brzmi jednostajnie jak werbel: „1 grudnia temperatura -28 stopni Celsjusza. Atak sowiecki na stanowiska 262. Pułku odparty. Wszystkie oddziały pod stałym ogniem artyleryjskim i ostrzałem z samolotów. 2 grudnia: temperatura -31 stopni. Atak sowiecki na stanowiska 3. Kompanii 269. Pułku odparty. 3 grudnia: temperatura -30 stopni. Rosjanie kontynuują ataki, straty rosna, osiągając liczbę 113 zabitych. 4 grudnia: temperatura -38 stopni. Oddziały pod silnym ostrzałem artyleryjskim od 4 rano, rozpoczęło się bombardowanie lotnicze, po którym na pozycje hiszpańskie ruszyły fale sowieckiej piechoty”.

Oficer łącznikowy kpt. Schmidt-Liedermann meldował o ciągłych nieporozumieniach prowadzących do niepotrzebnych strat, braku dostatecznego wyszkolenia ochotników i szwankującej aprowizacji, oficerom zarzucał zaś nadmierne zagładanie do kieliszka. Dochodziło do utarczek między żołnierzami hiszpańskimi i niemieckimi. Awantury i rękoczyn wywoływał spór o podział łupów. „Żołnierze hiszpańscy czy niemieccy, którzy narażają swe życie na pierwszej linii, nie zadają sobie pytania, czy muzyk głoduje zimą czy nie, po prostu wyrwają kartofle z zagonów” – pisał w liście porucznik P. Emerich. Jednak głównym obiektem zacieklej rywalizacji były wydadne dekoltu miejscowych dziewcząt. Hiszpanie jeszcze podczas przemarszu przez Kresy Wschodnie przyswoili sobie jedno polskie słowo: panienka. W okolicach Nowogrodu Wielkiego pierwszy raz w życiu zobaczyli takie mrowie blondynek. Kto mógł za konserwy, porąbanie drewna na opał, ochronę przed zakusami koleżków, starał się poderwać dziewczynę. Dowództwo bez pruderii prowadziło selekcję wojennych żon zaludniających kwaterę główną. „Porażało zatrzęsienie owych Kat’, Natasz i Oleczek, które w czerwonych beretach na złocistych lokach w pełni zaangażowały się w swoje role na wpół służących, na wpół odalisek” – ze zgorzaniem odnotował tłumacz dywizyjny Władimir Iwanowicz Kowaliewskij. Uznaniu dla wdzięku młodych Rosjanek towarzyszyła pogarda dla ich rodzin. Ochotnicy opisywali chaty jako prymitywne i brudne. Ludność postrzegali jako powolną ze swej azjatyckiej natury. Bierność i serwilizm wynikać miały z niższej cywilizacji, którą dodatkowo pograżył komunizm.

Smok siedmiogłowy

„To prawda, że czerwonoarmiści bez wahania wykonują powierzone im zadanie. Groźne jest nie tylko ich nowoczesne uzbrojenie, ale i dodatek w postaci wódki, który czyni z nich dzikich żołnierzy” – oceniał gen. Emilio Esteban-Infantes, dowódca Błękitnej Dywizji. 10 stycznia 1942 r. kompania narciarzy dostała rozkaz: po skutym lodem jeziorze Ilmien śmignąć w kierunku otoczonego oddziału Wehrmachtu, wyrwać kolegów z okrążenia. Operacja w pełni się udała. W 52-stopniowym mrozie, omijając spiętrzone zwały lodowe, z 70 saniami



Gen. Francisco Franco, 1938 r.

ciągniętymi przez konie, Hiszpanie pokonali 30 km w każdą stronę. Zamarzały kompas, radiostacja, nawet wódka w butelkach. Szturmem odblokowali osaczony garnizon Wzward, szczęśliwie powrócili na swoje pozycje. „Wyruszyliśmy w sile 206 żołnierzy. Zostało nas dwunastu. Arriba España!” – raportował kpt. José Manuel Ordás-Rodríguez.

W styczniu 1943 r. wzmocniony 2. Batalion 269. Pułku powstrzymywał natarcie sowieckiej piechoty na Posiołok. Teren otwarty, ni atakujący, ni obrońcy nie mieli się gdzie skryć. W skamieniałej zmarzlinie nie sposób się okopać, wszystko, co można, to umościć sobie możliwie głęboki dołek w kopnym śniegu. Ranni wychładzali się śmiertelnie w dwa kwadransy. Padł kapelan ks. Victoriano Freixa-Marsall do końca udzielający ostatniego namaszczenia.

Zwyciężyli śmierć? Na mapach sztabowych bez wątpienia. Utrzymali sztandar nad własnym grobem. W trzy dni spośród 800 obrońców pozostało 28 zdolnych do walki. Oto realia frontu wschodniego: oddział wchodzący do walki w ciągu dwóch dni przestaje istnieć. Czemu służył niewątpliwym heroizmem Hiszpanów?

„W styczniu Irina urodziła w siódmym miesiącu, po pięciu dniach dziecko zmarło. W szpitalu karmiono witaminami i wodą. Leżała tam niemal 20 dni, zdychając z głodu i gorączki połogowej. W stanie nieomal agonalnym przywieziono ją do domu. Tu przyszło ocalenie. Właśnie umarła babcia i zostawiła jej w spadku dwa kilogramy rybiego kleju i kartki” – notowała 26 lutego 1942 r. nauczycielka Jeliena I. Koczina w dzienniku blokady.

O to chodziło. Celem oblężenia Leningradu było zagłodzenie jego mieszkańców. Żelazna obręcz ściskająca miasto za gardło miała zmusić obrońców do kapitulacji. División Azul, w pełni świadoma celu, była ogniem łańcucha dławiącego przeżytek trzech milionów cywili. Przeszło 650 tys. mieszkańców zmarło z głodu. Dochodziło do aktów kanibalizmu. Blokada pochłonięła więcej ofiar cywilnych niż ludobójcze ataki lotnicze na Hamburg, Drezno, Tokio, Hiroszimę i Nagasaki razem wzięte. Ci, którzy przeżyli blokadę, długo zmagali się z dystrofią, cyngą, ślepotą, chorobami pustoszącymi wyniszczony organizm. Wstrząs psychiczny, moralność „Tratwy Meduzy” pozostały w nich na zawsze.

W sierpniu 1943 r. Anglosasi wylądowali na portugalskich Azorach, gwałcąc neutralność tego kraju, 8 września Włochy podpisały kapitulację. Błękitna Dywizja miesiąc później została wycofana z frontu. Do marca 1944 r. pozostanie Błękitny Legion – ledwie 2,2 tys. zdeklarowanych hitlerowców. Jaki jest bilans Dywizji 80 lat po jej wymarszu na front? Współudział w zbrodni wojennej 900 dni oblężenia Leningradu. Rozstrzelanie jeńców. 40 lat faszystowskiej dyktatury powołującej się na ofiarny antykomunizm w aplauzie i ze wsparciem Waszyngtonu. Próżno szukać ekspiacji za Pirenejami. Sojusznicy Hitlera są patronami ulic. Nawet demokratyczna Hiszpania w 1998 r. odznaczyła Medalla Militar Individual sierżanta Angela Salamanca, współautora hekatombi miasta nieujarzmionego. Nikt nie chce brutalnej prawdy.

ANTYSEMICKA GĘBA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO PODZIEMIA

JAK PO AUSCHWITZ PROSTO
I SKUTECZNIE ZDYSKREDYTOWAĆ
INSTYTUCJĘ, IDEĘ, CZŁOWIEKA?
PRZYPRAWIAJĄC MU GĘBĘ
ANTYSEMITYZMU



**MARIUSZ
SOLECKI**

Zpotencjału, który tkwi w tej technice niszczenia przeciwników światopoglądowych (praktykowanej również w naszej epoce), korzystali wysługujący się komunistycznemu reżimowi nadwiślańscy literaci.

Żyd zabity w drodze

W numerze 19/1946 z 20 maja tegoż roku, na pierwszej stronie indoktrynacyjnego marksistowskiego czasopisma „Kuźnica” ukazał się wiersz Adama Ważyka (1905–1982) „Kronika”. Autor utworu rozprawił się w nim z partyzantami drugiej konspiracji, sprowadzając ich aktywność do bandyckich ekscesów. Według Ważyka leśni powojnia mordują wojskowych, palą budynki użyteczności publicznej, destabilizują nową rzeczywistość w jej spektakularnym przejawie, jakim była realizowana przez komunistów tzw. reforma rolna – w istocie bezpardonowe wyrzucanie na bruk dotychczasowych właścicieli majątków ziemskich: „żołnierz, że bił się, jest zabity w lesie. / Młyn na resztówce

w ogniu jak niemowa / rozpaczający ramionami rusza, / chłop, że brał ziemię, jest zabity w domu”.

Żeby ciężar zarzutów pod adresem partyzantów wykłetych nie okazał się za lekki, resortowy poeta wzmacnia go o dorzynanie starozakonnych uratowanych z Zagłady: „Żyd, że ocalał, jest zabity w drodze”. Propagandysta aplikuje czytelnikowi same uogólnienia; ani śladu w tekście rzeczywistej inspiracji, zasygnalizowanej w dedykacji, motcie czy przypisie; absolutny brak konkretów, a jedynie sugestia prawdy zawarta w tytule (kronika). Formułuje wystarczająco mocne argumenty, by zamknąć niepodległościowców w kompromitującej formule: „łotrzyk się bawi w domową wojenkę – przeżyło wilka jego nocne wycie”.

Problem w tym, że powojenna walka, toczona w beznadziejnych warunkach pojałtańskiej Polski, w niczym nie przypominała zabawy. Gry operacyjne prowadzono wtedy – i owszem – ale w gabinetach UB. Trup podziemia stał się gęsto. No i nie było żadnej wojny domowej nad Wisłą po rozgromieniu III Rzeszy. Przedstawiciele tej samej nacji – Polacy, walczyli z komunistycznymi renegatami, za których bili się Sowieci. Bez ich wsparcia czerwoni nie mieli naj-



mniejszych szans na przejęcie władzy w naszym kraju.

„W ojczyźnie morduje zbrojnego najmity ręką”

Dziewięć tygodni później (28/1946, wydanie z 22 lipca, s. 3) w tym samym czasopiśmie co wiersz Adama Ważyka ogłoszony został utwór Mieczysława Jastruna (1903–1983) „Pamięci Józefa Oppenheima”. Tym razem w wierszu znajdziemy sprawdzalne dane, zachęcające do podróży w głąb faktografii. Kim był mężczyzna wymieniony przez poetę? Skrótową odpowiedź na to pytanie daje tytuł najnowszej książki Wojciecha Szatkowskiego: „Józef Oppenheim – przyjaciel Tatr i ludzi” (LTW, Łomianki 2021). Obszerną – treść przywołanej wyżej biografii kierownika Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w latach 1914–1939 (nikt inny nie sprawował tej funkcji tak długo), przedstawiciela zakopiańskiego panteonu, uczestnika po-

wstania warszawskiego, zasymilowanego polskiego Żyda ocalałego z Holocaustu, zastrzelonego w Polsce podarowanej przez Stalina komunistom.

Mieczysław Jastrun z jednostkowego tragicznego życiorysu Oppenheima – nieuszczerbowionego żadnym przypisem – wyprowadza uogólnienie komunikujące o ironii żydowskiego losu. Jak sam twierdzi, publikuje wiersz interwencyjny, odważny, „co przed nożem nie kłęka” – „O tych, co przetrwali obozy i uszli niemieckiej kaźni, / A dziś ich w ojczyźnie morduje zbrojnego najmity ręka”. Zarzeka się, że interesuje go stworzenie wiarygodnego przekazu dla potomnych, „bez fałszu”. Ta „gorzka [...] prawda” sprostada się do chwytliwej dziś niestety insynuacji, że niektórzy Polacy po klęsce Hitlera kontynuowali eksterminację narodu wybranego, Polacy z kategorii „zbrojnego najmity ręka”. Kogo poeta miał tu na myśli? Kogoś, kto działał w interesie pogrobowców nazizmu. A taką genealogię powojennemu podziemiui spreparowała reżimowa propaganda.

W postscriptum do wydanej w 1947 r. antologii wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką „Pieśń ujdzie cało...” Michał M. Borwicz przedrukował zarówno wiersz Ważyka, jak i dzieło Jastruna ze znamiennym, jednoznacznym mikrostępem: „Poniżej przytoczono kilka utworów, opublikowanych w r. 1946 i mówiących o mordach popełnianych m.in. na Żydach przez hitlerystów pogrobowców rodzimych”. Dodatkowo utwór „Pamięci Józefa Oppenheima” antologista opatrzył oskarżycielskim przypisem: „Znany taternik, długoletni kierownik Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, cieszący się powszechnym poważaniem i miłością, przeżywszy okupację hitlerowską, został zamordowany przez rodzimych faszystów z tego wyłącznie powodu, że był Żydem”.



Członkowie Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego podczas akcji ratunkowej w Tatrach. Józef Oppenheim (1. z lewej), 1935 r.

W świetle najnowszych ustaleń nie da się obronić tezy, że Oppenheim zginął ze względu na swoje żydostwo. Wątpliwe są również próby powiązania sprawców zbrodni z wyrokiem śmierci wydanym na taternika przez antykomunistyczną organizację zbrojną.

Józef Oppenheim poniósł śmierć 29 stycznia 1946 r., ok. godz. 23.00 w swoim domu na Krzeptówkach, skonfliktowany z dawnymi kolegami z TOPR: Zbigniewem Korosadowiczem i Witoldem H. Paryskim. Zabójstwa dokonał Andrzej Lasak, współdziałający ze swoimi krewnymi, bratem Karolem i szwagrem Tadeuszem Murańką. Mimo że biograf ofiary nie może się zdecydować, jakie motywy kierowały napastnikami: ideowe („Prawie nic ze sobą nie zabrali”, s. 9) czy kryminalne („A zginęło niemało”, s. 400), zgromadzone przezeń poszlaki wskazują na rabunkowy charakter mordu, nieudolnie maskowanego patriotycznymi pozorami. Bandyci wtargnęli do domu zakopiańczyka z okrzykiem: „Ręce do góry, jesteście z AK!” (Armii Krajowej rozwiązano ponad rok wcześniej, 19 stycznia 1945 r.). Po dokonaniu zbrodni i sterroryzowaniu dwóch obecnych w mieszkaniu kobiet (partnerki Oppenheima i jej leciwej matki) około dwóch godzin plądrowali dom, kradnąc z niego: „1 parę butów narciarskich, narty, spodnie damskie do nart, wełniany sweter, jedwabną suknię, parę pantofli, 1 ubranie męskie, lornetkę »Zeissa«, aparat fotograficzny, 200 [...]prześcieradeł, należących do Wczasów Pracowniczych, 10 kg cukru, (...) inne produkty żywnościowe [...] 1000 zł”. Przed wyniesieniem łupów,

i rozdzieleniem ich w prywatnej chacie wtajemniczonego w występki górala lider sprawców Andrzej Lasak ponownie zamarkował niepodległościowy wymiar czynu, wypisując na drzwiach zdanie: „Każdy zdrajca komunista tak zginie”. Tymczasem pracownik krakowskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej dr Marcin Kasprzycki nie potrafi wskazać żadnego dokumentu potwierdzającego członkostwo Oppenheima w strukturach renegackiej PPR. Wymienia też inne okoliczności, np.

brak przy denacie kartki ze sformułowanym wyrokiem śmierci, próbę zastrzeżenia jego ukochanej, kradzież jej garderoby, skromnych oszczędności matki jego partnerki i in. Wszystko to pozwala widzieć wydarzenia z 29 stycznia 1946 r. jako dokonaną na własną rękę grabież połączoną z zabójstwem; efekt pazerności chłopów z Podhala, którym naopowiadano o rzekomych bogactwach napadniętego.

Nieskuteczny zarzut antysemityzmu

Kartą antysemityzmu próbowano zagrać w literaturze przeciwko żołnierzom wyklętym w kolejnych latach „ludowej” Polski. A to Tadeusz Konwicki w „Rojstach” (1956) smagnął wileńską AK insynuacją: „Na dniówkę zatrzymaliśmy się w starych bunkrach żydowskich. Tu [w Puszczy Rudnickiej – przyp. M.S.] około tysiąca Żydów przetrzymało niemieckie oblavy. [...] pomagali im widocznie partyzanci sowieccy, gdyż od naszych mogli oczekiwać tylko jednego: kuli w kołnier”. A to Zbigniew Nienacki w paszkwilu na KWP – „Worek Judaszów” (1961) – przypisał ludziom powieściowego „Rokity” dokonanie mordu na trzech rodzinach żydowskich z dziećmi; a to Sylwester Banaś w „Ostatnim posterunku” (1961) wykreował na moralne monstrum Kiełbasinę – kobietę współdowodzącą z małżonkiem (sic!) antykomunistycznym oddziałem NSZ, ukazany jako banda zapijanych sadyistów: „Za hitlerowców wymordowała wraz z nim [mężem – przyp. M.S.] żydowską rodzinę. Siekierami porąbali”; a to Józef Morton w czterotomowym „Całopaleniu” (1980–1987) żołnierzom założonej przez por. „Brodnego”, byłego eneszetowca, fikcyjnej organizacji Wolni i Niezależni (nazwa aluzyjnie – poprzez odwołanie do skrótowca – godząca w dobre imię pięknie zasłużonego zrzeszenia WiN), wytyczył zbrodniczy program działania: „Będą rozważać swoich wrogów jak i Żydów – obojga płci, a podpadnie im żydowskie dziecko, to i ono pójdzie!”.

Szkicowo ukazane w poprzednim akapicie przejawy antysemityzmu, przypisywane członkom drugiej konspiracji, to wątki uboczne wyszczególnionych narracji, zignorowane przez pamięć zbiorową, cuchnące propagandą na śmietniku kultury. Trudno brać poważnie przekaz o kontynuowaniu dzieła Holocaustu przez leśnych zbrojnie przeciwstawiających się „utrwalaniu władzy ludowej”.

OKRUCHY PAMIĘCI

MÓJ OJCIEC TO PRZYSTOJNY FACET. NORMALNIE COŚ PIĘKNEGO: WYSOKI, ZGRABNY, ŁADNIE UBRANY, BROŃ PRZY PASIE – JAK CACKO BYŁO WSZYSTKO – ZE ZBIGNIEWEM STRYJEWSKIM, SYNEM WIKTORA STRYJEWSKIEGO PS. CACKO, ROZMAWIA MARCIN WIŚNIARSKI

Jakim ojcem był pański tata?

Zbigniew Stryjewski: Ojciec był wysokiego wzrostu. Jeśli chodzi o imponowalność, był patriotą. Był również praktykującym katolikiem. Chodził do kościoła w Koziębrodach koło Raciąża. Gdy mieszkaliśmy w Młotkowie koło Sierpca, to na msze św. chodziliśmy do Jeżewa. Tam cała rodzina mamy jest pochowana. Mama pochodzi z rodziny Grzegorzewskich, a tata ze Stryjewskich z Żychowa. Tam mieliśmy ziemię, w sumie 36 hektarów, z lasem. Wszystko to UB zniszczyło i nie mamy tego do dziś. Mogę tylko pokazać, gdzie to było, bo pamiętam.

Ojciec mnie strasznie kochał. Raz koniecznie chciał się spotkać ze mną. Byłem u niego na torfach w Żychowie, gdzie się ukrywał. Prosił o to przez sąsiadów, żebym przyszedł, bo koniecznie chce mnie zobaczyć. Ojciec pożegnał się ze mną i dał mi 100 złotych. Pamiętam to, bo na drugi dzień wzięli mnie na przesłuchanie. Wtedy widziałem ojca żywego po raz ostatni. Miał brodę, był uśmiechnięty. Nikt mi tego nie odmówi – to, co widziałem, to pamiętam.

Nie wiem, czy sobie to ubzdurałem, czy nie, bo jak mnie UB wypytywało, powiedziałem, że ojciec pojechał na Warszawę ze swoimi partyzantami. Całą naszą rodzinę męczyli ubecy, py-



tali: Gdzie pojechał? Na Warszawę. Co ci dał? Stówę. A dziadek co robił w domu? Toczek robi. To były moje słowa. I mama wtedy chciała mi wlać za to, że to wymyśliłem. Taki mały, a dlaczego ty kłamiesz? Nie wiem. I na to nie odpowiedziałem. Myślałem, że dobrze powiedziałem.

Pamiętam też inne spotkanie z ojcem, jak raz mi pokazał, jak się z broni strzela. Stodoła stała 50 metrów od domu. Ułęgątkę jeszcze pamiętam z prawej strony. I słupek był; miałem kawał browninga. Tarcza była na stodole. I musiałem strzelać. Nie pamiętam, czy strzeliłem dobrze czy źle. I na tym wszystko się urywa.

Pamiętam jeszcze inny obrazek, jak przyjechało UB i wzięli trupa mojego brata Szczepana, też partyzanta, na samochód; w Żychowie jest krzyż i figurka, jak się na Raciąż jedzie w stronę Żychowa. Zanim go tam dowieźli, to ubecy zrzucili go przy tej figurce jak worek. Trzeba go było stamtąd samemu nieść.

Pamiętam też, jak mnie strasznie bolała noga. Groziła mi jej amputacja. Koniecznie trzeba było ze mną jechać do szpitala. W tym czasie jak jechałem do szpitala, wieźli też rannych partyzantów razem ze mną na furmance. Nie wiem, gdzie ich zawieźli. Ja znalazłem się w szpitalu. Tam leżałem dziewięć miesięcy.

Jak aresztowali ojca, to pamiętam, że i mamę co i rusz aresztowali, przetrzymywali i przesłuchiwali. Było tak, że ubecy ubrani po wojskowemu wy-

prowadzili mamę na dwór. Strzelili do góry i przyszli, żebym mówił gdzie tata. Męczyli, żebym powiedział. Myślę, że wiedzieli gdzie ojciec, tylko jeszcze upokarzali rodzinę, sąsiadów i wszystkich dookoła. Ojciec już siedział w więzieniu. A oni obstawili cały dom. Kto wszedł, już nie wyszedł. Zrobili oblławę, taki „kocioł”.

Skąd pseudonimy: „Cacko”, „Wyrwicz”, „Zbyszko”? Głównie mam na myśli pierwszy z nich.

Mój ojciec to przystojny facet. I poszła w świat taka opinia. Normalnie coś pięknego: wysoki, zgrabny, ładnie ubrany, broń przy pasie – jak cacko było wszystko. „Zbyszko” z kolei to moje imię – Zbyszek. Ojciec strasznie mnie kochał. „Wyrwicz” zaś miał z wcześniejszej partyzantki, chyba z czasów wojny.

Jakby wyrwał się. Tak?

Tak jakby się od tamtego oderwał. Skąd ten pseudonim, to dokładnie nie wiem.

W jaki sposób działalność w AK w Obwodzie Sierpc pomogła pańskiemu ojcu już w powojennej konspiracji?

Nie wiem konkretnie. Jednak myślę, że sporo mądrych ludzi go otaczało. Do dziś chciałem się o tym dowiedzieć. Pewnego razu wyjechałem z synem pod Ornetę w pobliżu Lidzbarka. Załatwiałem tam swoje sprawy. Nieznajomy leśniczy zapytał mnie, czy jestem synem „Cacki”. Zdębiałem i chciałem coś się dowiedzieć. Zdziwiłem się, że tu go znają. Za Ornetą koło nadleśnictwa jest pełno śladów po tacie. Jednak nic o tym nie wiem. Było z nim wielu ludzi; jak to się mówi – ludzie normalnie szli za ojcem i tyle.

Jak rozpoczęła się działalność pańskiego taty w powojennym podziemiu?

Po wojnie Sowietci wracali z frontu. Ojciec zobaczył, jak gwałci Rusek pewną kobietę. Podobno jeszcze ona była w ciąży. I jak ojciec mu zwrócił uwagę, to on się rzucił. I w nerwach musiał go mocno uderzyć, że zginął dosłownie ów Rusek na miejscu. Nie było ratunku. Jakby się dowiedzieli o tym, to ojca na miejscu by zabili. I zaczął uciekać. Tak wstąpił do partyzantów.

Jakim dowódcą był pański ojciec – mam na myśli np. akcję zbrojną rozbicia oddziałów resortu bezpieczeństwa pod Okalewem w powiecie Rypin?



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE ZBIGNIEWA STRYJEWSKIEGO

Wiem, że tam ojciec ich rozbił. Ojciec ich dowódcę nazywanego „Rypa” rozwalili. Za to ojca strasznie ścigali, bo to jakaś szucha była. On na wszystkich donosił. Podam jeden z przykładów działania tamtejszego resortu. Przyszli np. do Młotkowa. Brata mamy Stanisława Grzegorzewskiego tłukli w stodole. Musiał wskutek bicia powiedzieć, co chcieli.

W jaki sposób pańskiego ojca aresztowali?

Ostatni raz widziałem go, jak po aresztowaniu wieźli go na wozie. I od tamtego czasu nic nie pamiętam. My ostatecznie

uciekliśmy do Elbląga. Tam jednak UB również nas strasznie męczyło. Potrafili nawet tam przyjeżdżać. Mnie męczyli już jako dorosłego.

Co pan wie o śledztwie przeciwko tacie?

Jeden facet siedział razem z ojcem. Opowiadał, że strasznie ojca męczyli. Jak szedł na rozstrzelanie, to cały oddział więźniów grał na miskach, że prowadzą ojca na śmierć.

Dlaczego pański tata otrzymał aż 38 wyroków śmierci?

Wszystko brał na siebie. To był dowódca, a nie jakiś frajer. Co to za dowódca, >>

>> który by powiedział: „To nie ja, tylko tamten zastrzelił. Ja mu nie kazałem”.

Czyli za każdą akcję dostał osobno wyrok śmierci?

Tak. On to wszystko brał na siebie. To nie tak, że on to wszystko zrobił.

Jak ojciec i pańska rodzina zareagowaliście na niesprawiedliwy wyrok? Jak państwo żyli po śmierci ojca? Mam tu na myśli głównie szykany ze strony państwa.

Nie było lepiej, a jeszcze gorzej. Nawet w rodzinie mówili, że jestem bandytą i synem bandyty. Przykładowo przyjechałem do ciotki mieszkającej w Zawidzu. Wchodzę, a tam sobie siedzą i rozmawiają we trójkę: wujek, Grzegorz i Stasiak z Młotkowa. I wujek mówi, że Wiktora syn przyjechał. W odpowiedzi słyszę od tego Staśka: „To syn tego bandyty”. Ubliżył mi. Nie wiedziałem, co zrobić. Wujek mnie zabrał do pokoju, mówiąc: „Zbychu, zostaw, to jest barachło”. Doskonale pamiętam te słowa.

Druga sytuacja zdarzyła się na milicji w Elblągu. Gdziekolwiek bym mieszkał, to jak się dowiedzieli, że jestem synem Wiktora, to nie przyjmowali mnie np. do lepszej pracy. Działo się tak także dlatego, że byłem karany za rzekome pobicie gliniarza – paragrafy 132 i 133. A to oni mnie bili pięściami. Wyrwałem się im i uciekłem do środka na milicję. I dalej mnie bili. Siedziałem pół roku do sprawy na samym dole w piwnicy. Nie wiem dlaczego ani po co. Słyszałem tylko słowa – bandyta i bandyta. Tak nas męczyli. Do czasu rozprawy nie dopuścili do mnie ani mamy, ani nikogo. I ja się nie przyznałem, bo jak ja mogłem pięciu gliniarzy pobić, ja, chłopak 19-letni. Adwokat mówił do mnie: „Przyznaj się do winy. Powiedz, że ci alkohol zaszkodził. Znaczą, że byłeś pijany. I ja będę bronił i może wyjdiesz z tej sprawy”. Ja cały czas się nie przyznałem, bo nic nie zrobiłem.

W jakich to latach było?

To był przełom 1959 na 1960 r. To było akurat przed świętami. Na same święta wsadzili mnie do piwnicy. To była taka pojedyńka. W celi były tylko kłapa, pryczka, stół i krzeselko – wszystko w ścianie. A w rogu był kibel. Do jedzenia dostawałem czarny chleb i czarną kawę. Ja to wszystko przechodziłem w tak młodym wieku, mimo że nic nie robiłem. Jak się w końcu przyznałem, że ich

Zbigniew Stryjewski, syn „Cacki”

Wiktor Stryjewski ps. Cacko, Wyrwicz, Zbyszko (1916–1951) – żołnierz AK, ROAK i NZW, dowódca oddziału bojowego 11. Grupy Operacyjnej NSZ.

Walczył w wojnie obronnej 1939 r. w szeregach 32. Pułku Piechoty. W okresie okupacji niemieckiej był żołnierzem AK w Obwodzie Sierpc. Po wkroczeniu Sowieców został skierowany przez swoje dowództwo do Służby Ochrony Kolei w Sierpcu. W lutym 1946 r. zabił sowieckiego żołnierza, stając w obronie gwałconej przez niego Polki. Został aresztowany przez UB. Dzięki pomocy współpracującego z podziemiem funkcjonariusza resortu bezpieczeństwa zbiegł z aresztu. Ukrywał się na terenie powiatu sierpeckiego. Tam też wstąpił do oddziału Ruchu Oporu Armii Krajowej Obwodu krypt. Mewa, dowodzonego przez Leona Ziółkowskiego „Lisa”. Wyróżnił się w wielu akcjach zbrojnych, m.in. zlikwidował posterunki MO i urzędy gminne w Zawidzu, Strzegowie, Rościszewie, Łęgu, Skrwilnie, Lidzbarku, Gralewie. Podczas amnestii w 1947 r., wspólnie z por. Franciszkiem Majewskim „Stonym”, nie ujawnił się. Brał udział w rozbiciu oblawy UB i MO 12 lipca 1947 r. pod Okalewem w powiecie rypińskim (poległo wówczas 16 funkcjonariuszy resortu bezpieczeństwa). 11 października 1947 r. we wsi Chudzynek, gm. Drobin, pow. Płock dokonał zamachu na Władysława Rypińskiego „Rype” (dowódcę pepeerowskiego „szwadronu śmierci” skrytobójczo mordującego członków PSL i byłych żołnierzy AK). W październiku 1947 r. wszedł w skład 11. Grupy Operacyjnej NSZ. Objął dowództwo patrolu bojowego, który działał na terenie powiatów płockiego, płockiego i sierpeckiego. Został ujęty przez UB 8 lutego 1949 r. po walce z 262-osobową grupą operacyjną KBW, UB i MO we wsi Gałki, gm. Mała Wieś, pow. Płock. Został skazany „...trzydziestoosmiokrotnie na karę śmierci [...]” przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie. Wyrok wykonano 18 stycznia 1951 r. w więzieniu mokotowskim. Miejsce pochówku zostaje do dziś nieznane.

(na podstawie biogramu w opracowaniu Jacka Pawłowicza)

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE ZBIGNIEWA STRYJEWSKIEGO



rzekomo pobiłem, to odbyła się sprawa. Adwokat kazał mi okazać skruchę. I ja to zrobiłem. Mówiłem, że więcej tego robić nie będę. A prezes sądu powiedział: „To jak teraz płaczesz, udajesz skruchę?” – zaczął mi na ambicję wchodzić. I dostałem rok więzienia. Z tego już wcześniej przesiedziałem pół roku. Po wyjściu z więzienia w Czarnem chciałem iść do pracy. Miałem zawód szewca. Pracowałem kiedyś na taśmie jako szewc. Kadrowa powiedziała, że dla kryminalistów nie ma pracy. W końcu dostałem się do garbarni. Nie mogłem jednak tam pracować ze względu na bardzo dużą wrażliwość na smród. Wykonywałem tę robotę, ale po powrocie do domu mało mi głowa nie pękła. Przepracowałem tam jednak całą zimę. Chciałem zrezygnować z tej roboty. I wtedy zginęło ponad 30 garbowanych skór. Przyszła do mnie kontrola. Patrzyli, czy ich nie ukradłem. A ja, broń Boże, nikomu złotówki w życiu nie ukradłem. Obeszli, popatrzyli i dali spokój.

Te wszystkie szykany miały związek z pana ojcem?

Tak. Na przykład mama poszła, żeby mnie warunkowo zwolnili po moim aresztowaniu. Usłyszała: „Co? Tego bandytę. Niech siedzi”.

MARIA KAZIMIERA – MARYSIEŃKA

HISTORIA MARYSIEŃKI NADAWAŁABY SIĘ NA LITERACKI ROMANS. CÓRKA ZUBOŻAŁEGO ARYSTOKRATY, DAMA DWORU MARII LUDWIKI, ZDOBYŁA SERCE POLSKIEGO MAGNATA WYNIESIONEGO NA TRON RZECZYPOSPOLITEJ



**MAREK
BARAŃSKI**

Przyszła królowa Polski i Wielka Księżna Litewska urodziła się w 1641 r. w okolicach Nevers we Francji. Była córką Henryka markiza de la Grange d'Arquien i Franciszki de la Chartre de Brillebant. Pochodziła ze starego zubożałego rodu arystokratycznego. Wychowywała się na dworze Marii Ludwiki Gonzagi, gdzie ochmistrzynią była jej matka. Gdy księżna wyjechała do Polski, aby poślubić polskiego króla Władysława IV, zabrała ze sobą fraucymer. W ten sposób Marysienka udała się w podróż do kraju, który stał się jej ojczyzną. Złośliwcy rozsiewali plotki, że panna jest nieślubną córką królowej. Nie miało to jednak żadnego oparcia w faktach.

Pierwszy pobyt Marysienki w Polsce był krótki. W 1648 r., po śmierci króla Władysława IV, Maria Ludwika odesłała ją do szkoły w Nevers we Francji, gdzie młoda panienka pobierała nauki. Edukacja nie trwała długo, już w 1653 r. powróciła ona na dwór królowej Marii Ludwiki, teraz żony króla Jana Kazimierza. Będąc dwórką królowej, nauczyła się mówić po polsku, przesiąkła też polską kulturą.

W roku 1655, podczas balu, spotkała Jana Sobieskiego. Istnieje powszechne przekonanie, że to właśnie wtedy obudziło się między nimi uczucie. Wydaje się jednak, że Sobieski zwrócił uwagę na Marysienkę rok później, gdy ponownie pojawił się na królewskim dworze. Pewnie wtedy narodziło się uczucie,

ale jeszcze nie było im dane połączyć się ślubem.

Królowa Maria Ludwika umacniała królewskie stronnictwo, wydając panny ze swojego dworu za polskich magnatów. Dla najpotężniejszego z nich, Jana Zamoyskiego, przeznaczyła najpiękniejszą swą dwórkę, Marysienkę. Jan Zamoyski w czasie szwedzkiego potopu był wiernym stronnikiem króla Jana Kazimierza, piastował też wysokie godności. W 1658 r. był wojewodą kijowskim, rok później został wojewodą sandomierskim. Posiadał największy w Polsce majątek, wydawał się więc wspaniałym kandydatem do ręki Marysienki. Ona natomiast, choć już kochała Sobieskiego, musiała się zgodzić na propozycję swej protektorki i pani, Marii Ludwiki.

Ślub Marysienki z Zamoyskim odbył się w 1658 r. Choć Marysienka była wierna swemu mężowi, choć urodziła mu czworo dzieci, z których tylko jedno przeżyło dwa lata, cały czas kochała Sobieskiego. Zakochani w sobie prowadzili miłą korespondencję.

7 kwietnia 1665 r. zmarł dzielny i wierny królowi, ale rozpustny Jan Zamoyski, a już 14 maja Marysienka i Jan Sobieski zawarli potajemny ślub. Potajemny, bo Marysienka była przecież w żałobie po mężu. Oficjalny ślub nastąpił w lipcu 1665 r., potem zakochani w sobie małżonkowie przeżyli wiele szczęśliwych lat. Gdy nie mogli być razem, wymieniali miłą korespondencję. Doczekali się liczного potomstwa, z którego wiek dojrzały osiągnęli Jakub, Teresa Kunegunda, Aleksander i Konstanty.

W 1674 r. Jan Sobieski został królem Polski i Wielkim Księciem Litewskim, w roku 1676 odbyła się w katedrze wawelskiej koronacja obojga. Maria Kazimiera jako



królowa dążyła do nawiązania sojuszu polsko-francuskiego, jednak jej wpływ na politykę męża nie był zbyt wielki. Sprowadziła do Polski swego ojca, markiza d'Arquien, i chciała, aby Ludwik XIV mianował go parem Francji. Król Francji nie był przeciwny królowej Polski, jednak uznał, że markiz d'Arquien nie jest na tyle poważny, aby osiąść taki zaszczyt.

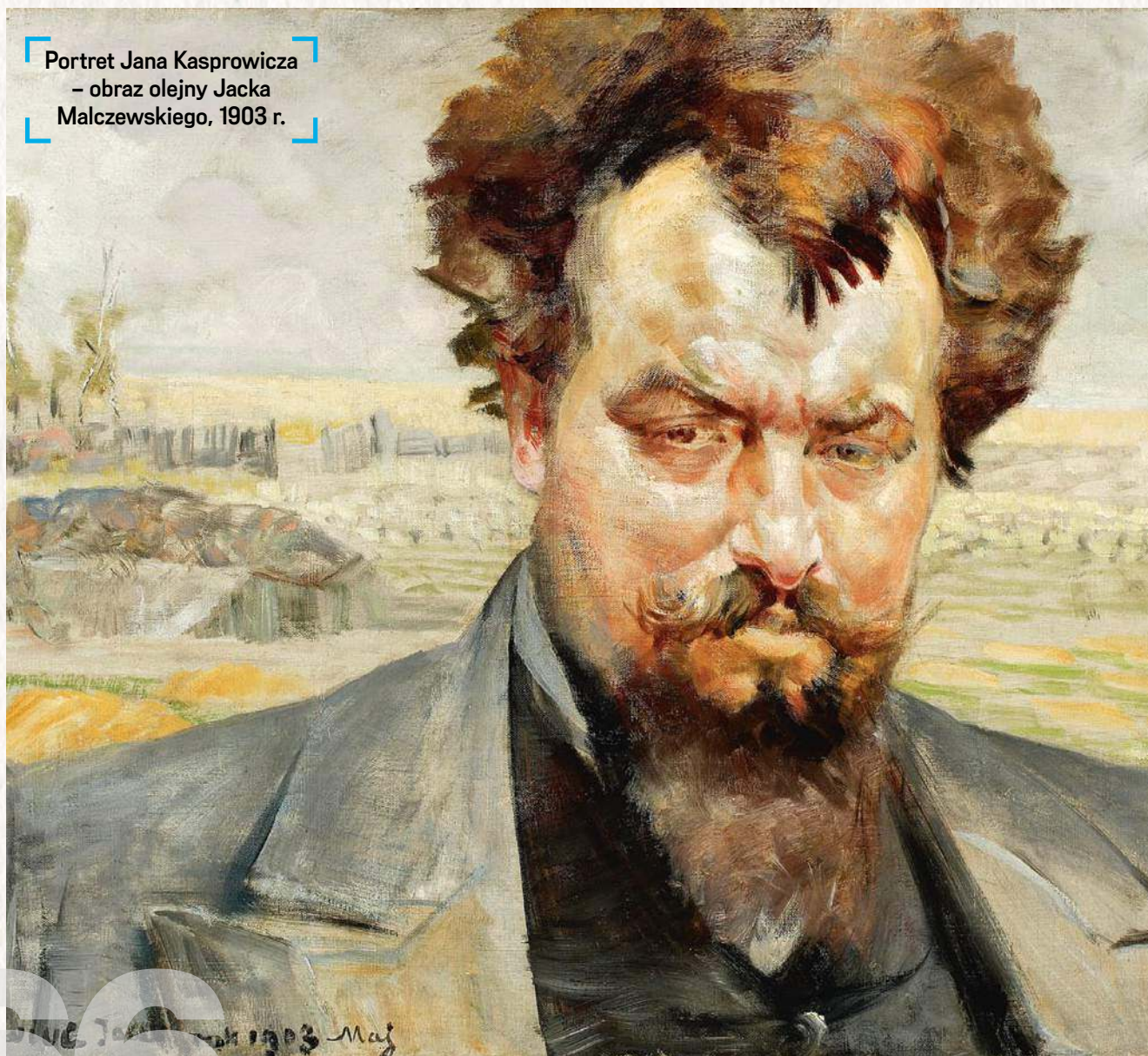
Marysienka przeżyła z Janem III ponad 30 szczęśliwych lat. Jej mąż gromił Turków i Tatarów, prowadził politykę zagraniczną i wewnętrzną, ale zawsze znajdował czas na towarzyszenie żonie i na życie rodzinne. Wielki miłośnik i znawca sztuki Jan III sprowadzał do Polski zagranicznych artystów, wysyłał zdolnych młodych Polaków na studia za granicę, Marysienka natomiast organizowała występy teatralne, wspierała muzyków uświetniających dwór królewski.

Po śmierci Jana III nie udało się królowej osadzić na tronie Rzeczypospolitej swego syna Jakuba. Nie mogąc się porozumieć z Augustem II, w 1699 r. wyjechała do Rzymu. Tam prowadziła dwór i bogate życie kulturalne, bywała gościem papieża. W 1714 r. opuściła Rzym i wyjechała do Francji, gdzie zmarła w 1716 r.

W ZBIORACH MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE ZNAJDUJE SIĘ PEWIEN NIEZWYKŁY PORTRET MĘŻCZYZNY STANOWCZEGO, ZAMYŚLONEGO – BA! – NAWET NIEOBECNEGO DUCHEM, NA TLE PÓŁ SPOWITYCH MGŁĄ. DZIEŁO JACKA MAŁCZEWSKIEGO Z 1903 r. PRZEDSTAWIA POETĘ, DRAMATURGA, KRYTYKA LITERACKIEGO, TŁUMACZA I DZIAŁACZA LIGII NARODOWEJ ORAZ JEDNEGO Z MOICH ULUBIONYCH POETÓW MŁODOPOLSKICH



Portret Jana Kasprówicza
– obraz olejny Jacka
Małczewskiego, 1903 r.



FOT. KRZYSZTOF WILCZYŃSKI/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

KASPROWICZ

ZNANY I NIEZNANY



MARTA
CYWIŃSKA

Jan Kasprowicz, polski poeta, dramaturg, krytyk literacki i tłumacz – bo o nim mowa – urodził się 12 grudnia 1860 r. w Szymborzu (obecnie część Inowrocławia).

O umiłowanej Ojczyźnie pisał tak:

*Rzadko na moich wargach –
Niech dziś to warga ma wyzna
Jawi się krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: Ojczyzna.*

*Widziałem, jak się na rynkach
Gromadzą kupczykowię,
Licytujący się wzajem,
Kto Ją najgłośniej wypowie.*

*Widziałem, jak między ludźmi
Ten się urządza najtaniej,
Jak poklask zdobywa i rentę,
Kto krzyczy, iż żyje dla Niej.*

(J. Kasprowicz, „Rzadko na moich wargach”)

„Lubię, gdy siedząc przy stole/ Sięgasz po kromkę chleba”

Ojciec był niepiśmiennym chłopem, a matka – Józefa z Kloftów – chętnie opowiadała małemu Jasiowi o różnych zjawiskach przyrody, stosując przy tym wykładnię religijną, silnie oddziałującą na wyobraźnię dziecka.

Legenda głosi, iż podobnie jak Mickiewicz jako dziecko został cudownie uzdrowiony z Bożą pomocą za przyczyną

pobożności matki oraz łask otrzymanych od św. Walentego.

Pierwszą miłością Janka była Pelasia – koleżanka ze szkoły w Szymborzy, której Janek dedykował utwór „Bądź Polką”. Najwcześniejszy wiersz o znanej potomnym dacie powstania pochodzi z 1877 r. („Do Gopła”).

Nauki pobierał w pruskich gimnazjach w Inowrocławiu, Poznaniu, Opolu oraz Raciborzu. Wtedy też wstąpił do Towarzystwa Tomasza Zana z siedzibą w Poznaniu. Już wówczas zaangażowany był w działalność konspiracyjną i patriotyczną. W 1884 r. zdał maturę w Gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu, a progi szkoły opuścił z wysokimi notami z większości przedmiotów. 8 maja 1844 r. rozpoczął studia filozoficzne oraz literaturoznawcze na uniwersytecie w Lipsku. Zdążył przez jeden semestr słuchać wykładów m.in. Wilhelma Wundta.

Już wtedy aktywnie angażował się w prace Towarzystwa Naukowego Akademików Polaków, przez krótki czas pełnił nawet funkcję jego sekretarza. Debiutował w 1889 r. zbiorem zatytułowanym „Poezja”, choć podczas studiów pasjonowała go także publicystyka oraz recenzowanie debiutów. Po opuszczeniu Lipska Kasprowicz udał się do Wrocławia, gdzie 17 listopada 1884 r. został wpisany do rejestru studentów Wydziału Filozoficznego jako słuchacz wykładów z historii. Uczył się w bardzo trudnych warunkach materialnych, jednak uczęszczał na wykłady Richarda Roepella, Jacoba Caro i Władysława Nehringa. Należał też podówczas już do Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego we Wrocławiu. Początkowo związał się z ruchem socjalistycznym, a za działalność był dwukrotnie aresztowany przez władze pruskie. Z Wrocławia wrócił do rodzinnej wsi, by

na przełomie roku 1888/1889 udać się do stolicy Galicji.

Pseudonim Omikron

We Lwowie spędził kolejne 35 lat życia. Tam też w 1900 r. został przyjęty do tajnej Ligi Narodowej i uczestniczył w tworzeniu dzieł kulturalno-społecznych przez nią inspirowanych. Zajmował się przede wszystkim dziennikarstwem, publicystyką społeczną, krytycznoliteracką i teatralną, a praca w redakcji „Kurieria Polskiego” i następnie w redakcji „Słowa Polskiego” – czyli w kolejnych organach prasowych obozu narodowego w Galicji – przysporzyła mu tyleż przyjaciół, ilu wrogów. W 1894 r. wraz z Medardem Kozłowskim i Stefanem Żeromskim stworzył Organizację Narodową, a zaangażowanie w jej działalność w niczym nie spowalniało nabierającej coraz większego tempa działalności naukowej i popularyzatorskiej. Od 1896 r. był członkiem korespondentem Towarzystwa Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu. W 1898 r. został wiceprezesa Związku Naukowo-Literackiego, kierowanego przez innego pisarza narodowca Jana Gwalberta Pawlikowskiego, a sam wydawał swe prace w powołanym z inspiracji Jana L. Popławskiego w 1897 r. Towarzystwie Wydawniczym we Lwowie. Ważnym wydarzeniem w dziejach Ligi Narodowej w Galicji było zorganizowanie wiecu narodowego we Lwowie, który odbył się 31 maja i 1 czerwca 1903 r. Wystąpili na nim m.in. przywódca Ligi Narodowej Roman Dmowski i Jan L. Popławski oraz Jan Kasprowicz z referatem dotyczącym położenia Polaków w zaborze pruskim. Efektem tego wiecu było utworzenie jawnego Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego w Galicji.

>>

Pseudonim Piotr Szyba

Ożenił się, ale nie ustatkował. Bywał na salonach, ale i w mocno zakrapianym towarzystwie lwowskiej bohemy artystycznej. Jego pierwsze małżeństwo rozpadło się po dwóch miesiącach, ale Jan zdążył utopić wszystkie smutki w winiarni Stadtmuellera w Rynku pod numerem 34. Już wówczas fascynowała go modernité poétique. Naśladował dekadentów i melancholików – chłopski syn zmienił się w fircykowatego elegancika. Wówczas to w twórczości Kasprowicza społeczny aktywizm ustąpił miejsca fa-

teratury porównawczej, specjalnie dla niego utworzoną, w roku akademickim 1921/1922 Kasprowicz zaś pełnił funkcję rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. 29 grudnia 1921 r. otrzymał Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. W tym samym roku, podobnie jak Roman Dmowski, został filistrem honoris causa i protektorem Korporacji Studentów Uniwersytetu Poznańskiego Baltia. Uczestniczył m.in. w Komerszu Baltii w czerwcu 1923 r. wyprawianym z okazji przyjęcia doktoratu honoris causa Uniwersytetu Poznańskiego przez Romana Dmowskiego. Na komerszu pojawiło się

Trzy żony – dwa rozczarowania

W 1911 r. poeta ożenił się ponownie ze znacznie młodszą, poznaną we Włoszech Marią Bunin, pieśzcotliwie nazywaną Marusią, która na nowo rozpałała ognisko domowe w domu artysty. Coraz silniejsze stawały się jego więzi z Tatrami. Czerpał z opowieści góralskich gawędziarzy i folkloru. W tym samym roku ukazał się nowy tom poezji, zatytułowany „Chwile”. Dwa lata później Kasprowicz zakończył prace nad dramatem „Marchońt gruby a sprośny, jego narodzin, życia i śmierci misterium tragikomiczne”, wydanym dopiero w roku 1920. W dniu wybuchu I wojny światowej poeta znajdował się w Poroninie. Interweniował w sprawie Lenina, internowanego jako poddany Imperium Rosyjskiego, uwięzionego w Nowym Targu.

Kasprowicz nie potrafił się pogodzić z upływem czasu i ograniczeniami wynikającymi z niezdrowego trybu życia. W 1924 r. nastąpił atak choroby. Rozwinięła się miażdżycza mózgu, a wraz z nią porażenie ośrodkowego układu nerwowego. Dodatkowym obciążeniem była trwająca od wielu lat cukrzyca. Leczenie w lwowskiej klinice umożliwiło artyście powrót do działalności poetyckiej i translatorskiej, natomiast wycofywał się stopniowo z działalności społecznej. Jesienią 1924 r. Kasprowicz zakończył cykl poezji „Mój świat”, wydany w 1925 r., ale datowany na rok 1926.

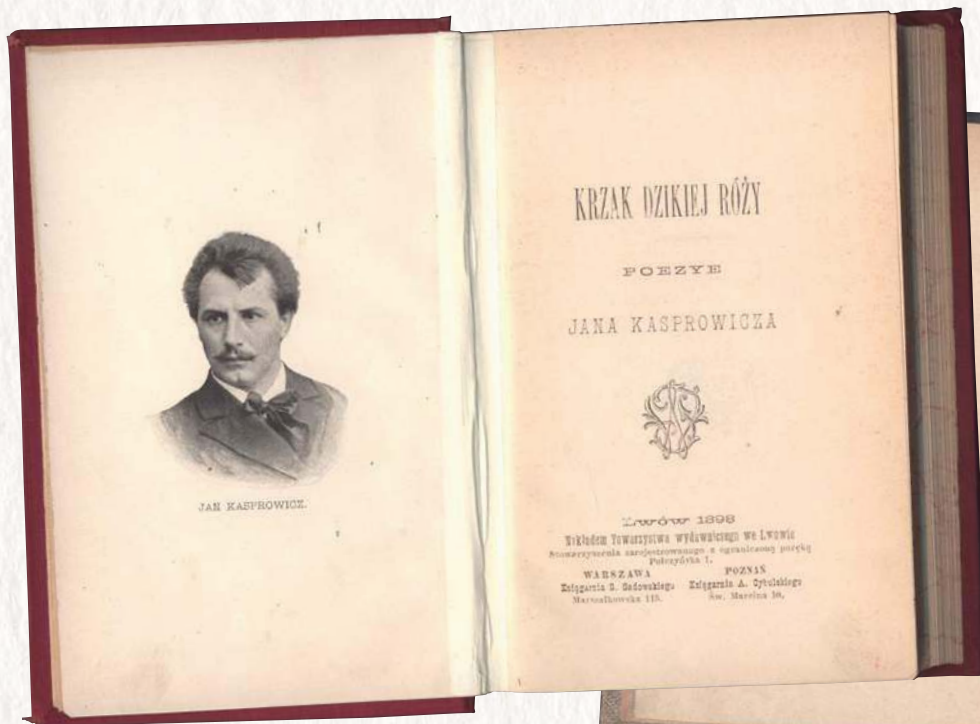
BYWAŁ NA SALONACH, ALE I W MOCNO ZAKRAPIANYM TOWARZYSTWIE LWOWSKIEJ BOHEMY ARTYSTYCZNEJ. JEGO MAŁŻEŃSTWO ROZPADŁO SIĘ PO DWÓCH MIESIĄCACH, ALE JAN ZDĄŻYŁ UTOPIĆ WSZYSTKIE SMUTKI W WINIARNI

talizmowi ludzkiego losu. Poeta coraz silniej podkreślał walkę dobra ze złem, niewinności z grzesznością, miłości zmysłowej – amor despero z miłością czystą, świętą – amor vincens. Wabiły go dalekie podróże, urodzive artystki i uroki lwowskich restauracji. Jego druga żona – Jadwiga z Gąsowskich – uległa uwodzicielskiej sile Stanisława Przybyszewskiego, na oślep, w amoku i opuszczając poetę, pozostawiła dwie córki: Annę i Janinę.

wielu filistrów honoris causa Korporacji Akademickiej Baltia: senatorowie Władysław Jabłonowski, Stanisław Kozicki i Zygmunt Wasilewski. W styczniu 1924 r. Kasprowicz został wybrany na przewodniczącego Ligi Polsko-Jugosłowiańskiej.

„Cokolwiek o tym powiecie”

Kasprowicz utracił dotychczasowe ideały, runęło poetyckie teoretyzowanie na temat cierpienia. Rozpacz artysty została utrwalona w dwóch zbiorach hymnów: „Ginącemu światu” (1901) i „Salve Regina” (1902), które – jak sam autor przyznaje – były wyrazem jego ówczesnej postawy kontestacyjnej. Ówczesna poezja Kasprowicza, inkrustowana licznymi kryptocytatami i biblijnymi parafrazami, była jakby zaprzeczeniem jego dotychczasowej twórczości. W 1904 r. na Uniwersytecie Lwowskim Kasprowicz obronił pracę doktorską poświęconą twórczości Teofila Lenartowicza. W 1909 r. objął katedrę li-



w Krakowie opublikowano „Dzieła” w 22 tomach. Wydanie zostało uzupełnione „Przekładami”, które zawierały jedynie tragedie Ajschylosa i Eurypidesa.

„Swobodna jest moja dusza”

Potomnym pozostawił bogatą spuściznę literacką, inspirowaną m.in. dziełami Percy’ego Shelleya, Arthura Rimbauda, Aloysiusa Bertranda: „Z chałupy” (1887), „Z więzienia” (1887), „Poezje” (1889), „Chrystus” (1890), „Z chłopskiego zagonu” (1891), „Świat się kończy” (1891), „Anima lachrymans” (1894), „Miłość” (1895), „Krzak dzikiej róży w Ciemnych Smreczynach” (1898), „Ginącemu światu” (1901), „Salve Regina” (1902), „Ballada o słoneczniku” (1908), „Chwile” (1911), „Księga ubogich” (1916), „Hymny” (1921), „O bohaterskim koniu i walącym się domu” (1930).

Gdzie szukać śladów obecności Kasprowicza? Ma on swój pomnik w Inowrocławiu i Muzeum na Harendzie w Zakopanem. Park jego imienia znajduje się w Poznaniu oraz w Szczecinie. Jest patronem Szkoły Podstawowej nr 9 w Zakopanem, Szkoły Podstawowej nr 54 w Poznaniu, Szkoły Podstawowej nr 298 w Warszawie. Jego imię noszą również I Liceum Ogólnokształcące w Inowrocławiu, II Liceum Ogólnokształcące w Kutnie, I Liceum Ogólnokształcące w Świdnicy, XV Liceum Ogólnokształcące w Łodzi, I Liceum Ogólnokształcące w Raciborzu, Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych w Nietążkowie w województwie wielkopolskim, Zespół Szkół w Sztumie, Szkoła Podstawowa nr 54 w Poznaniu, Szkoła Podstawowa nr 83 we Wrocławiu. Imieniem Jana Kasprowicza szczeni się też mogą: zespół koszykarski SKS Kasprowicz Inowrocław, Biblioteka Miejska w Inowrocławiu, Muzeum w Inowrocławiu, Hufiec ZHP Poznań-Wilda.

Kasprowicz przetrwał. Jego dzieło sytuujące się między dwiema epokami – drugą połową wieku XIX nasyconą pozytywizmem i rozedrganiem duchowym oraz „programową” melancholią początków wieku XX – przygotowało nas do recepcji literatury niedookreślonej i zbuntowanej, w konwencji drugiej połowy wieku XX i skrajnie emocjonalnej, ekstrawertycznej, jaką czyni ją trzecia dekada wieku XXI.

Śródtytuły uwzględniają pseudonimy literackie Jana Kasprowicza i cytaty z jego wierszy

FOT. NAC

Willi Harenda
Jana Kasprowicza
w Zakopanem, 1926 r.

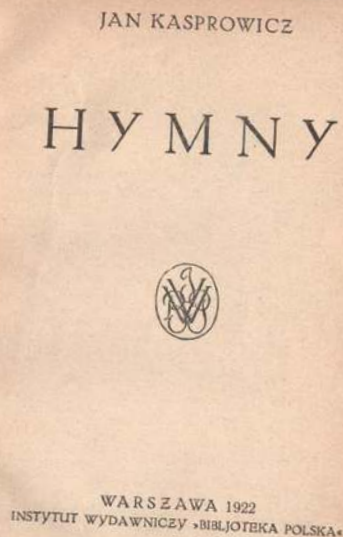
Jeszcze w 1923 r. zamieszkał w willi Harenda, położonej między Poroninem a Zakopanem. Była ona też jego ostatnim domem. Kasprowicz zmarł w Harendzie 1 sierpnia 1926 r. W 1933 r. przeniesiono trumnę ze szczątkami wielkiego poety ze starego cmentarza w Zakopanem do mauzoleum obok willi.

Pseudonim Piotr Huta

Był nie tylko erudyta, ale szczególnie uzdolnionym, pracowitym lingwistą

samoukiem. Biegle władał klasyczną łaciną i greką, a także językami francuskim oraz angielskim. Z greckiego przełożył niektóre dzieła Ajschylosa i Eurypidesa, z angielskiego Szekspira, Marlowe’a, Byrona, Shelleya, Keatsa, Tagore’a, Swinburne’a, Coleridge’a; z niemieckiego – dzieła Goethego i Schillera, z francuskiego – Vauvenarguesa, Bertranda, Rimbauda, Maeterlincka; włoskiego – D’Annunzia, z norweskiego – Ibsena, z holenderskiego – utwory Heijermansa. W roku 1907 ukazała się antologia jego przekładów „Poeci angielscy”, w rozbudowanej formie wydana post mortem – w roku 1931, pod tytułem „Obraz poezji angielskiej”.

W 1902 r. Karol Szymanowski skomponował muzykę do trzech poematów Kasprowicza („Święty Boże”, „Jestem i płaczę”, „Błogosławiona niech będzie ta chwila”), w roku 1907 zaś stworzył muzykę do „Salome”. Potomnym znane są portrety Kasprowicza nie tylko pędzla Jacka Malczewskiego, lecz także Stanisława Ignacego Witkiewicza, Władysława Jarockiego, Leona Wyczółkowskiego. W muzeach w Zakopanem i Inowrocławiu znajdują się bogate archiwa fotograficzne. Jeszcze w roku 1912 we Lwowie ukazało się sześć tomów „Dzieł”, natomiast w roku 1930



PIŁSUDCZYCY NA EMIGRACJI WOBEC KWESTII NIEMIECKIEJ

**SPADKOBIERCY MARSZAŁKA, UZNAJĄC W PRZYSZŁOŚCI
PRAWO NIEMIEC DO ZJEDNOCZENIA, KONSEKWENTNIE
DOMAGALI SIĘ BEZWARUNKOWEGO POTWIERDZENIA
PRZEZ NICH GRANICY NA ODRZE I NYSIE ŁUŻYCKIEJ**



**KRZYSZTOF
TARKA**

Kwestia niemiecka była jednym z najważniejszych zagadnień w myśli politycznej i publicystyce różnych środowisk emigracyjnych. Zaprzątała uwagę polityków i publicystów emigracyjnych przede wszystkim w kontekście zagadnień terytorialnych oraz przyszłości i bezpieczeństwa Polski.

Problematyką tą żywo interesowali się również spadkobiercy Marszałka na wychodźstwie. Najwybitniejszym znawcą tej tematyki w ich szeregach był Michał Grażyński, były wieloletni wojewoda śląski (1926–1939), a na emigracji prezes Ligi Niepodległości Polski, politycznej reprezentacji piłsudczyków.

Po zakończeniu II wojny światowej piłsudczycy opowiadali się za całkowitym rozbrojeniem i kontrolą międzynarodową Niemiec, aby w przyszłości ponownie nie stały się one źródłem niebezpieczeństw i wojen. Po latach okupacji nowe Niemcy miały być na trwałe zakotwiczone w Europie, opartej na dobrowolnej współpracy równoprawnych narodów. Politycy LNP mieli też nadzieję, że przegrana Niemiec niejako przybliży Zachód do Polski, przełamać jej wcześniejszą izolację. Silne Niemcy postrzegali jako zaporę oddzielającą Polskę od Zachodu: „Kłęska Niemiec obaliła ogromny, samoistny i nieprzenikalny dla Zachodu blok siły, który geograficznie i wojskowo dzielił Polskę od Zachodu i zamykał wszelki skuteczny do niej dostęp”.

Zachód a Kreml w Niemczech

Już w końcu 1945 r. wytykali jednak rządowi zachodnim chwiejne i niezdecydowane stanowisko w tej sprawie. W ich

ocenie: „Państwa zachodnie nie mogą zdecydować się na żaden określony program wobec Niemiec, ani jeśli chodzi o ich przyszły statut terytorialny, ani o ich przyszły ustrój polityczny, społeczny i gospodarczy”. Piłsudczykowski analityk twierdził, iż na odcinku niemieckim polityka Zachodu „prowadzona jest od wypadku do wypadku”. Niepokoiły go natomiast konsekwentne działania Kremla, który „ma określony program w sprawie niemieckiej”. Obawiał się, że Moskwa będzie dążyć do odbudowy władz centralnych w Niemczech o komunistycznym charakterze oraz włączenia Niemiec w sowiecki system polityczny i gospodarczy.

Politycy LNP konsekwentnie opowiadali się za podjęciem działań, które w przyszłości uniemożliwiłyby lub co najmniej utrudniły Niemcom ponowne uzbrojenie się. Na naczelnym miejscu wysuwała się sprawa kształtu terytorialnego Niemiec. Podobnie jak pozostałe środowiska emigracyjne piłsudczycy wskazywali na konieczność międzynarodowego

uznania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Argumentowali, że Polsce należą się nabytki terytorialne na zachodzie i północy ze względów historycznych, politycznych, ale przede wszystkim gospodarczych i bezpieczeństwa.

Jak podkreślono, nową granicę popierał ogół Polaków w kraju i na emigracji. Piłsudscy opowiadali się również za integracją Zagłębia Saary z Francją i międzynarodową kontrolą nad Zagłębiem Ruhry. Okrojenie terytorialne Niemiec miało ograniczyć ich potencjał przemysłowy, żywnościowy i demograficzny, a w rezultacie prowadzić do trwałego rozbrojnia i osłabienia.

Ziemie Zachodnie i Północne

Piłsudczykowski ekspert w sprawach niemieckich, Michał Grażyński, uważał poszerzenie Polski na zachodzie i ustalenie granicy „na odwiecznych rzekach polskich” – Odrze i Nysie Łużyckiej za jeden z kluczowych punktów programu niepodległościowego. Jak zaznaczył, w przeszłości Polacy byli „bezsprawnymi gospodarzami” na tych terenach. Niemcy zrabowali je przy użyciu siły, a mieszkających tam Polaków wymordowali bądź poddali wieki całej trwającej germanizacji.

Wcielenie ziem po Odrę i Nysę Łużycką do Polski było jego zdaniem nie tylko wyrazem historycznej sprawiedliwości, lecz także polityczną rekompensatą za wojenne straty demograficzne i materialne. Polityk LNP przypominał: „Niemcy nie tylko na nas napadły, ale podjęły próbę fizycznego wytępienia narodu. Chcieli nas po prostu unicestwić w znaczeniu biologicznym”. Za przyłączeniem Ziemi Zachodnich przemawiały również względy ekonomiczne i bezpieczeństwo. Jak zaznaczył Grażyński, nabytki terytorialne na zachodzie znacząco wzmocniły potencjał gospodarczy Polski. Argumentem za definitywnym zatwierdzeniem linii granicznej na Odrze i Nysie Łużyckiej było wysiedlenie z tych ziem Niemców i zasiedlenie ich przez kilka milionów Polaków. Jak podkreślił Grażyński: „Cały naród polski jest w obronie tych granic solidarny”. Poszerzenie granic Polski na zachodzie stało się sprawą narodową i nie było tematem sporów między Polakami w kraju i na emigracji.

Po zakończeniu II wojny światowej Niemcy szybko stały się obiektem zabiegów i rywalizacji między Zachodem i Związkiem Sowieckim, a problem nie-

miecki wyrósł do jednego z kluczowych zagadnień w polityce międzynarodowej. Grażyńskiego niepokoiło stawianie Białego Domu na Niemcy. Jak zaznaczył: „Amerykanie wykazują więcej troski o gospodarczą odbudowę Niemiec niż o potencjalne niebezpieczeństwo, jakie w tej odbudowie może tkwić”. Ostrzegał, że nie wiadomo, po której stronie staną odbudowane gospodarczo Niemcy i jaką rolę odegrają w nadciągającym konflikcie. Powołując się na tradycję współpracy niemiecko-rosyjskiej, Grażyński podkreślił, że „jakiegokolwiek rachuby na Niemcy, jako czynnego partnera przeciw Rosji, są szkodliwym złudzeniem”.

Jednym z zadań emigracji stało się przekonanie opinii publicznej na Zachodzie o słuszności polskich postulatów terytorialnych. Politycy LNP konsekwentnie opowiadali się za ostatecznym utrwaleniem granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Na gospodarcze i polityczne znaczenie nabytków terytorialnych na zachodzie i północy wskazywał Tytus Komarnicki. Jak zaznaczył, pozwalały one na szybszą odbudowę gospodarczą zniszczonego wojną kraju, wchłonięcie milionów przesiedleńców z Ziemi Wschodnich oraz nadmiaru ludności rolniczej ze środkowej i południowej Polski. Krytykował natomiast kraje anglosaskie za podniecanie rewizjonizmu niemieckiego. Jak nie bez racji stwierdził: „Propaganda Zachodu oddała wielką przysługę narzuconemu Polsce rządowi warszawskiemu, który raz jeszcze mógł wystąpić wobec polskiej opinii publicznej z tezą, że jedynie Rosja może być gwarantką zachodniej granicy Polski”. Wytykając politykom zachodnim instrumentalne traktowanie sprawy granicy

na Odrze i Nysie Łużyckiej, twierdził, że „istnieją w pewnych kołach tendencje zmierzające do poświęcenia żywotnych interesów narodu polskiego dla wątpliwych kombinacji politycznych”. Utrzymanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej piłsudscy uznawali za jeden z priorytetów polskiej polityki niepodległościowej.

Wobec rewizjonizmu

Odradzanie się nacjonalizmu niemieckiego i jawne głoszenie haseł rewizjonistycznych przez środowiska wypędzonych oraz władze w Bonn coraz bardziej niepokoiły polityków LNP. W ocenie piłsudczyków postępująca rewizja polityki mocarstw zachodnich wobec Niemiec „przybrała kierunek niezmiernie niebezpieczny”. Zagrożenie ze strony RFN piłsudscy uważali za bardzo realne. Nasuwało się również pytanie, >>



Wśród założycieli Ligi Niepodległości Polski byli: były premier i twórca reformy oświaty Janusz Jędrzejewicz (1), były ambasador RP we Francji Juliusz Łukasiewicz (2), były wojewoda śląski i przewodniczący Związku Harcerstwa Polskiego Michał Grażyński (3)

» jak pogodzić prozachodnie, antykomunistyczne stanowisko wychodźstwa polskiego z niemieckim rewizjonizmem, wspieranym przez Zachód.

Prezes LNP Michał Grażyński, przemawiając w grudniu 1951 r. w Radzie Narodowej, ponownie podkreślił, że w odpowiedzi na hasła rewizjonistyczne czy plan remilitaryzacji RFN władze na uchodźstwie muszą dotrzeć z polskimi argumentami do opinii publicznej na Zachodzie. Za konieczne uważał organizowanie odczytów, pisanie artykułów do prasy amerykańskiej czy brytyjskiej oraz wydawanie na ten temat poważnych opracowań. Wytykał emigracyjnemu MSZ, że nie prowadzi żadnej skoordynowanej akcji w obronie polskich interesów. Izolacja polityczna władz RP na uchodźstwie, coraz bardziej kurczące się środki materialne i postępujące rozbięcie wewnętrzne wychodźstwa sprawiały, że te słuszne postulaty pozostawały w sferze projektów.

Delegaci na odbywający się w 1954 r. VI zjazd LNP niejako tradycyjnie wskazywali na odżywianie nad Renem „nieokiełzanego nacjonalizmu i imperializmu”. Starając się podważyć wiarygodność RFN w oczach Zachodu (zwłaszcza Stanów Zjednoczonych), przestrzegali też przed tendencjami prorosyjskimi w polityce niemieckiej. W Waszyngtonie nikt jednak nie czytał uchwał emigracyjnych ugrupowań.

Grażyński konsekwentnie wskazywał na kluczowe znaczenie kwestii niemieckiej dla Polski. W połowie lat 50. pisał: „Sprawa niemiecka jest dla nas olbrzymiej wagi”. Ponownie ostrzegał też przed remilitaryzacją RFN. Przekonywał, że Zachód powinien postawić na wyzwolenie krajów Europy Środkowo-Wschodniej spod dominacji Moskwy i na armie narodowe za żelazną kurtyną, a nie na dozbrajanie Niemiec przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

Wobec negatywnego stanowiska władz w Bonn w sprawie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej piłsudczycy konsekwentnie odżegnywali się od rozmów politycznych z Niemcami. Tytus Komarnicki za pożądane uważał jednak wszelkie kontakty o charakterze kulturalnym. W październiku 1956 r. jako przewodniczący grupy polskich (emigracyjnych) historyków wziął udział w spotkaniu z historykami zachodnoniemieckimi w Tybindze. Rozmowy miały charakter dyskusji naukowej, Komarnicki miał jednak nadzieję, że spotkanie stanie się jaskółką zapowiadającą zmianę klimatu w stosunkach polsko-niemieckich. Do kolejnego spotkania

historyków doszło jednak dopiero osiem lat później.

Najważniejsza: granica zachodnia

W dyskusjach emigrantów raz po raz wracała sprawa granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Na początku listopada 1956 r., podczas debaty w Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej poświęconej wydarzeniom w Polsce i na Węgrzech, Grażyński podkreślił, że sytuacja, w której jedynym gwarantem tej granicy pozostawał Związek Sowiecki, była bardzo niedogodna. Takie rozwiązanie uzależniało Polskę od Kremla. Dawało również Moskwie możliwość gry kartą polską. W tej sytuacji kolejno raz apelował, aby władze na emigracji dołożyły wszelkich starań, by mocarstwa zachodnie uznały granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej za ostateczną i nienaruszalną. Apele emigrantów ciągle nie przynosiły jednak skutku.

Prezes LNP konsekwentnie wskazywał na związek między kwestią niemiecką a wyzwoleniem spod dominacji sowieckiej narodów Europy Środkowo-Wschodniej. W jednym z artykułów na łamach „Przeglądu Zachodniego”, organu Związku Polskich Ziem Zachodnich w Londynie, z końca 1961 r. pisał: „W Europie istnieją nie tylko sprawa Niemiec, ale i całej środkowo-wschodniej Europy, znajdującej się w niewoli”. Jak dodał: „Idea wolności, wyprowadzona z zasady swobodnego samostanowienia narodów, mogłaby się stać w rękach mocarstw zachodnich najważniejszym elementem zwycięstwa w toczącej się dzisiaj walce ideowo-politycznej. To bowiem dopiero nadałoby samej walce znamiona walki o wielkie cele”.

Wobec listu biskupów

Szerokim echem w „polskim” Londynie odbił się list biskupów polskich do biskupów niemieckich z końca 1965 r. Autorem jednego z pierwszych obszernych artykułów w prasie emigracyjnej na temat orędzia był Tytus Komarnicki. Ten były dyplomata i historyk emigracyjny dostrzegł religijną wagę oraz polityczne i historyczne znaczenie dokumentu. Oceniając w ostatnich dniach grudnia 1965 r. na łamach „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza” list („odezwę” – jak pisał) biskupów polskich, nie miał wątpliwości co do tego, że był on „wydarzeniem o ogromnej doniosłości i takim zapewne pozostanie w perspektywie historycznej”. Wskazując na ewan-

geliczne przesłanie orędzia, podkreślił, że było ono naturalną konsekwencją Soboru Watykańskiego II. Najbardziej wymownym świadectwem tego był „wspaniały gest” biskupów polskich, którzy nie tylko apelowali o wzajemne przebaczenie, lecz także zwrócili się z prośbą o wybaczenie „do episkopatu narodu, który tyle razy i tak głęboko Polskę pokrzywdził”. To ostatnie – tłumaczył Komarnicki – „nie dlatego, aby można było położyć znak równania między tym, co jeden naród od drugiego doznał”, ale „dlatego, że już samo uczucie nienawiści wypacza duszę i jest grzechem, z którego należy się oczyścić”. Ten „wielki akt miłosierdzia” – przypominał Komarnicki – nie był pomyślany jako wystąpienie o charakterze politycznym, choć i on oczekiwano, że list będzie miał również „pewne następstwa i w sferze politycznej”.

Historyczne związki Polski z Zachodem, zaakcentowane w orędziu, musiały wywołać krytykę ze strony czynników komunistycznych. Jak pisał publicysta emigracyjny: „Z drugiej strony dla niejednego Niemca ten piękny wykład o wielkich tradycjach kultury polskiej i o jej osiągnięciach w ciągu milenium musi być prawdziwą rewelacją”. Przekonywał też, że dla komunistów utrzymywanie stanu permanentnej wrogości między Polakami a Niemcami jest użyteczne, „bo to nas na stałe przykuwa do Moskwy”. Jako rzecznik dialogu polsko-niemieckiego Komarnicki pozytywnie ocenił wystąpienie biskupów polskich.

W drugiej połowie lat 60. nadzieje na normalizację stosunków między Polską i Niemcami politycy LNP wiązali z nową polityką wschodnią rządu RFN. Według Kazimierza Trębieckiego nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Bonn i Warszawą wkroczyło „w dziedzinę realnych możliwości”. Minimalnym warunkiem przezwyciężenia tragicznej przeszłości było uznanie przez stronę niemiecką „wyniku wojny”, czyli granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Piłsudczycy, podobnie jak zdecydowana większość emigrantów, pozytywnie oceniali podpisanie w grudniu 1970 r. układu między władzami PRL i RFN. Uznanie przez rząd w Bonn zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej było wydarzeniem przełomowym. Jan Starzewski, kierownik Działu Zagranicznego Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego i prominentny polityk LNP, podkreślił, że układ jest ważnym krokiem w kierunku normalizacji i stabilizacji stosunków polsko-niemieckich. ■

JAK PIŁKARZE ZWOLNILI TRENERA KULESZĘ, CZYLI AFERA NA OKĘCIU

NIEDAWNE ODEJŚCIE PAULO SOUSY ZE STANOWISKA SELEKCJONERA POLSKIEJ REPREZENTACJI ODBYWAŁO SIĘ W ATMOSFERZE SKANDALU. W PODOBNYCH OKOLICZNOŚCIACH ŻEGNAŁ SIĘ Z KADRĄ RYSZARD KULESZA 31 LAT WCZEŚNIEJ. W PRZECIWIENSTWIE JEDNAK DO PORTUGALCZYKA NIE PORZUCIŁ SWOICH PIŁKARZY, A WRĘCZ PRZECIWNIE – ZAPŁAĆ IŁ WYSOKĄ CENĘ ZA ICH OBRONĘ...

FOT. LESZEK PIJUSIEWICZ/REPORTER



Reprezentacja
Polski, 1982 r.
Na zdjęciu od lewej:
Zbigniew Boniek,
Józef Młynarczyk,
Roman Wójcicki,
Władysław Żmuda

Reprezentacja Polski wylatywała 29 listopada 1980 r. do Włoch na zgrupowanie przed meczem eliminacyjnym mistrzostw świata 1982 z Maltą. Dzień wcześniej

nasi futboliści – co nie było zresztą niczym nadzwyczajnym – „poszli w miasto”. Niektórzy z nich balowali (pili) do godzin porannych. Tak było m.in. w przypadku znakomitego bramkarza Józefa Młynarczyka, który trafił (wraz >>



**GRZEGORZ
MAJCHRZAK**

Biurowa Badań
Historycznych IPN

>> z napastnikiem Włodzimierzem Smolarkiem) do Adrii. Tam spotkali za-przyjaźnionego z nimi redaktora Wojciecha Zielińskiego. W efekcie Młynarczyk do hotelu, w którym była zakwaterowana reprezentacja, dotarł około siódmej rano. Tu już czekał na niego kierownik reprezentacji płk Roman Lisiewicz. O zaistniałej sytuacji poinformował on (wraz z drugim trenerem Bernardem Blautem) selekcjonera Ryszarda Kuleszę. Ten pod ich naciskiem, głównie Lisiewicza, podjął decyzję o pozostawieniu reprezentacyjnego bramkarza w kraju, o czym piłkarze dowiedzieli się przy wsiadaniu do autokaru, który miał ich zawieźć na lotnisko. W obronie kolegi wystąpili Zbigniew Boniek, Stanisław Terlecki i Władysław Żmuda, którzy bezskutecznie próbowali przekonać do zmiany decyzji Blauta. W tej sytuacji zaproponowali, aby decyzję na lotnisku podjął sam Kulesza, a nawet zagrozili, że bez Młynarczyka nie polecą. Bez skutku, wobec czego Terlecki swym prywatnym samochodem zawiózł bramkarza na lotnisko.

Rada drużyny

Tam spór był kontynuowany przy obecności dziennikarzy – Bogdana Chruścickiego (z Polskiego Radia) i Jacka Gucwy (z TVP) – oraz fotoreportera „Piłki Nożnej” Remigiusza Hetmana. Trener Kulesza przekonywany przez Bońka, Terleckiego i Żmudę zmieknął i do samolotu – mimo interwencji kierownika ekipy Zbigniewa Należytego i sekretarza generalnego PZPN Zbigniewa Kalińskiego – wsiedli wszyscy piłkarze. Nie bez znaczenia było to, że utworzona dzień wcześniej rada drużyny (Boniek, Terlecki, Paweł Janas, Marek Dziuba i Wojciech Rudy) podjęła decyzję, że „jedziemy wszyscy z Młynarczykiem albo nie jedziemy wcale”. Tę potyczkę piłkarze wygrali.

Tymczasem w kraju wokół „gorszących wydarzeń” na Okęciu rozpętała się prawdziwa afera. Do zmasowanego – wręcz trudno się oprzeć wrażeniu, że zorganizowanego – ataku na buntowników ruszyli dziennikarze. Chruścicki na łamach „Tempa” nazwał Bońka, Terleckiego i Żmudę „złymi duchami reprezentacji”. Później całą czwórkę ochrzczono mianem „bandy czworga”. W prasie sportowej pojawiły się żądania przykładowego ukarania piłkarzy. Szczególnie aktywny w tej nagonce był „Przegląd Sportowy”, który wzywał na pierwszej stronie: „Bez

pobłażania dla winnych skandalu na lotnisku”, a nawet zamieścił głosy „zbulwersowanych czytelników”. W tej atmosferze prezes PZPN gen. Marian Ryba oraz sekretarz generalny związku Kaliński udali się po buntowników do Italii i przywieźli ich do kraju.

To oczywiście nie był koniec – 1 grudnia PZPN postanowił zawiesić w prawach zawodników Józefa Młynarczyka, Zbigniewa Bońka, Stanisława Terleckiego i Władysława Żmudę. Ostateczny werdykt w ich sprawie miał zostać podjęty po powrocie reszty ekipy z Malty. Piłkarze również nie pozostali bezczynni. Odbyli naradę (z udziałem kierownika Widzewa Łódź Stefana Wrońskiego) w sprawie dalszych działań. W jej trakcie rozważali nawet zwrócenie się o pomoc do Solidarności i jej przewodniczącego, ale z tego pomysłu zrezygnowali, gdyż związek walczył w tym czasie z lewymi etatami w sporcie, zwłaszcza w futbolu. Ostatecznie postanowili się udać do Zbigniewa Orłowskiego, kierowcy przewodniczącego Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu Mariana Renkego. Doprowadził on nawet do audycji ze swym szefem, ale Renke miał oświadczyć: „Panowie, ale co ja mogę?”. Również kolejne narady z działaczami Widzewa i ŁKS Łódź (zawodnikiem tego drugiego klubu był Terlecki, jego koledzy grali u rywala zza miedzy) nie przyniosły efektów, choć w ich trakcie wódatarze obu klubów mieli rozważać nawet wystąpienie ze struktur PZPN i utworzenie (po namówieniu kilku kolejnych) nowej federacji oraz zorganizowanie własnych rozgrywek...

„Proces” w PZPN

15 grudnia Wydział Dyscypliny PZPN zorganizował przesłuchania wyjaśniające. Odbywały się one publicznie, w obecności prasy, radia i telewizji w sali, która mogła pomieścić 500 osób – wszystkie miejsca były zajęte. Przed jego oblicze wezwano piłkarzy, trenerów, pozostałych członków kadry oraz działaczy. Przesłuchania trwały ok. 10 godzin. W ich trakcie próbowano odtworzyć rzeczywisty przebieg zdarzeń, co nie było łatwe wobec rozbieżności w wyjaśnieniach – zwłaszcza piłkarzy i działaczy. I tak np. ci pierwsi mieli widzieć Młynarczyka pijanego, podczas gdy sam zainteresowany twierdził, iż rzekomo wypił jedynie trzy lampki szampana oraz łyk piwa... Poza

tym kadrowiczów bronił trener Kulesza, który zeznał, że żadnego szantażu z ich strony nie było. Tak na marginesie przesłuchania były nagrywane. Jak relacjonował po latach Terlecki: „I tak siedząc na korytarzu, czekając na swoją kolej, udałem się na poszukiwanie toalety. Ale korytarze przypominały labirynt, więc... zabłądziłem. Zamiast do ubikacji wszedłem do pomieszczenia, w którym siedział facet otoczony aparaturą nagrywającą wszystko, co mówili na sali przesłuchań [...]. Dzień dobry – przywitałem się. Zapytałem, czy można się przysiąść i popatrzeć, na czym polega taka praca. Facet był znudzony, więc zgodził się nawet, gdy przyprowadziłem na miejsce Zbyszka Bońka. No i śledząc na bieżąco przebieg przesłuchania, mogliśmy instruuować kolejnych zawodników przed wejściem na salę”.

Mimo to piłkarzy jednak ukarano. Nie dano wiary wyjaśnieniom nie tylko samych oskarżonych i trenera Kuleszy, lecz również doktora Janusza Garlickiego i psychologa Marka Piłkiewicza. Za wiarygodne uznano natomiast wszystkie zeznania, które świadczyły na ich niekorzyść. Trudno zatem oprzeć się wrażeniu, że wyrok zapadł wcześniej. Boniek i Terlecki zostali zdyskwalifikowani na 12 miesięcy, Żmuda i Młynarczyk na 8, a Smolarek na 2. W przypadku dwóch pierwszych miano – jak stwierdzano – na uwadze „szczególną aktywność [...] w sprowokowaniu i eskalacji kompromitującego incydentu, a także wielokrotną karalność dyscyplinarną za różnego rodzaju wybryki i wysoce niesportowe zachowanie” (obaj zostali wcześniej ukarani za rzekome „szczekanie” na dziennikarzy podczas powrotu z wyjazdowego meczu z Holandią). W reakcji na zbyt wysokie jego zdaniem kary dla piłkarzy Ryszard Kulesza podał się do dymisji, którą władze związku skwapliwie przyjęły. Za swoimi kolegami ujęła się też reprezentacyjna rada drużyny, a za swoimi zawodnikami Widzew. Nie przyniosło to oczywiście żadnego efektu. Wszystko zmieniło się kilka miesięcy później, kiedy Boniek i Żmuda ukorzyli się przed GKKFiS, o czym zresztą zapomnieli poinformować Terleckiego, który dowiedział się o tym z telewizji. W efekcie temu pierwszemu karę obniżono do pół roku (jednocześnie zawieszając jej wykonanie na dwa lata), a drugiemu do ośmiu miesięcy. Ostatecznie zatem jedynie ich kolega z ŁKS nie pojechał na

mundial do Hiszpanii – jego odwołanie odrzucił Wydział Dyscypliny PZPN. Nie był mu w stanie nawet pomóc płk Maciej Makowski, który dzielił i rządził w milicyjnej Gwardii Warszawa i „mógł wówczas załatwić wiele”, ale zagadnięty przez Terleckiego (formalnie wypożyczonego z tego klubu do Łodzi) o możliwość pomocy ponoć „tylko się przestraszył” i stwierdził: „Słuchaj, Stasiu, tej rozmowy nie było, w ogóle się nie widzieliśmy”...

Bezpiecniackie tropy

Zresztą według Stanisława Terleckiego afera miała zostać zorganizowana przez Służbę Bezpieczeństwa, ponieważ utworzona tuż przed feralnymi zdarzeniami rada drużyny (w jej skład wchodził m.in. zawieszony piłkarz) domagała się zorganizowania związku zawodowego piłkarzy. Ponadto zawodnicy reprezentacji zaproponowali spotkanie z papieżem Janem Pawłem II podczas wyjazdu do Włoch – ostatecznie zresztą do niego (po raz pierwszy w historii) doszło. Oczywiście oba te pomysły nie zostały dobrze przyjęte, nie tylko zresztą przez działaczy PZPN. Jako głównego sprawcę całej afery piłkarz wskazywał (podobnie zresztą jak Smolarek) Lisiewicza, który miał wykorzystać w tym celu podległe mu służby. Na pierwszy rzut oka twier-

Henrykowi Celakowi, który w grudniu 1981 r. nadzorował akcję odblokowania Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej. Podczas wyjazdu do Brazylii w 1980 r. – jak wspomina Andrzej Iwan – pozwolił sobie podczas jednego z postojów na mało wyszukany żart z tego funkcjonariusza. Otóż „zerwał dwa duże liście i przyłożył sobie do głowy w ten sposób, że wyglądał jak osioł z wielkimi uszami”, po czym powiedział do wspomnianego działacza: „Taki jest model dzisiejszego milicjanta”. Co prawda Terlecki próbował później udobruchać Celaka, ale miał usłyszeć: „Nie rozmawiam z panem. Policzmy się w Polsce”. Na jego niekorzyść przemawiało też coś innego – jego zaangażowanie opozycyjne. Otóż na początku 1981 r. podczas strajku na Uniwersytecie Łódzkim pełnił on funkcję intendenta – załatwiał dzięki swoim znajomościom żywność dla strajkujących, a następnie został członkiem Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

To nie aniołki

Niezależnie od podejrzeń o zaangażowanie służb w aferze na Okęciu miała się do nich przyczynić – przynajmniej według Iwana – kobieta. Jak twierdzi były reprezentacyjny napastnik, wspomniany wcześniej redaktor Zieliński ożenił się z „kobietą z przeszłością”, czyli z „pro-

cicho. Nigdy te wydarzenia nie wypływały na światło dzienne”. Zresztą nie był to ani pierwszy, ani też ostatni raz, kiedy Młynarczyk miał nadużyć alkoholu, a raczej niestety smutna norma w jego przypadku w tym czasie. Również w trakcie mundialu w Hiszpanii nasz reprezentacyjny bramkarz nie stronił od kieliszka. Mało tego, był tak zajęty grą w karty z Iwanem, że zaniedbywał treningi, a kiedy próbował interweniować zaniepokojony selekcjoner Antoni Piechniczek (objął on kadrę po rezygnacji Kuleszy) zdenerwowany tym, że przegrywał, miał ponoć wyrzucić go z pokoju. Przestał grać dopiero, kiedy Iwan – jak sam twierdzi – celowo dał mu się odegrać. A działą się to przed meczem ze Związkiem Radzieckim decydującym o awansie do półfinału... Zresztą pił nie tylko Młynarczyk. I tak np. podczas nieudanego dla polskiej reprezentacji mundialu w Meksyku w 1986 r. dwaj piłkarze warszawskiej Legii Jacek Kazimierski i Dariusz Dziekanowski mieli wielokrotnie znajdować się w stanie nietrzeźwym. Co więcej, ten pierwszy – rezerwowy bramkarz – ponoć być wręcz „z nielicznymi wyjątkami” pijany. Podobnie zresztą było w przypadku piłkarza innego wojskowego klubu Śląska Wrocław – Ryszarda Tarasiewicza, który podobno „trzeźwieć zaczął dopiero w samolocie”, w drodze powrotnej do kraju. Zresztą w czasie lotu powrotnego zachowanie naszych reprezentantów było na tyle złe, że spowodowało nawet interwencję znajdującego się wśród członków ekipy funkcjonariusza SB, który zabezpieczał wyjazd naszych futbolistów do Meksyku. W obu tych przypadkach nie wybuchła jednak afera. I to mimo że w tym drugim przypadku świadków było wielu, na czele z załogą samolotu...

Inna sprawa, że gdyby nie afera na Okęciu, to trenerem polskiej reprezentacji nie zostałby Piechniczek, a Polska być może nie zajęłaby trzeciego miejsca na mundialu w Hiszpanii w 1982 r. Z pewnością piłkarscy kibice nie mieliby nic przeciwko temu, aby historia się powtórzyła, a nasza reprezentacja po skandalu z odejściem Sousy pojechała na mundial do Kataru i wróciła z niego z medalem. Co prawda nic się nie zdarza dwa razy, ale skoro zamiast stanu wojennego, jak wtedy, w całym kraju mamy stan wyjątkowy na granicy z Białorusią, to tym razem niech będzie złoto albo przynajmniej srebro, a nie brąz...

TERLECKI PODPADŁ WICEPREZESOWI PZPN, A ZARAZEM ZASTĘPCY KOMENDANTA STOŁECZNEGO MILICJI OBYWATELSKIEJ

dzenia Terleckiego mogą się wydawać nieuzasadnione, ale jak np. twierdził ceniony dziennikarz sportowy Stefan Szczepłek, piłkarski związek „niezależnie od zmian w kraju” miał być sterowany „przez MSW”. Jeśli jeszcze się przypomni, że przypadki współpracy z SB wśród dziennikarzy sportowych, zwłaszcza tych wyjeżdżających za granicę, nie należały do rzadkości, to opinia łódzkiego piłkarza nie wydaje się już taka bezpodstawna. Tym bardziej że nie ulega wątpliwości, iż podpadł on wieloletniemu wiceprezesowi PZPN nadzorującemu kadry narodowe, a zarazem zastępcy komendanta stołecznego Milicji Obywatelskiej

stytutką znaną na mieście, wśród piłkarzy również”, i ta „pewnego dnia zwała mu do Włoch i kontakt się urwał”. A ponieważ miesiąc wcześniej Widzew grał w 1/16 Pucharu UEFA z Juventusem w Turynie, dziennikarz uznał, że Młynarczyk może coś na jej temat wiedzieć i w celu wyciągnięcia od niego potrzebnych mu informacji raczył go alkoholem.

Jak wspominał z kolei po latach Smolarek: „Nie powiem, że wszystko było okay z naszej strony, bo nie było, ale niejednokrotnie wcześniej czy później działały się dużo gorsze rzeczy na zgrupowaniach czy to z udziałem piłkarzy, czy działaczy i było jakoś o tym zawsze

STANISŁAW STASZIC

W OCZACH WSPÓŁCZESNYCH



**JERZY
MIZIOŁEK**

**WYKSZTAŁCONY
WE FRANCJI
I W NIEMCZACH
POSIADAŁ OGROMNĄ
WIEDZĘ, KTÓRĄ
KRZEWIŁ I ANIMOWAŁ
PRZEZ CAŁE ŻYCIE.
JEGO POGRZEB
W LUTYM 1826 r.
STAŁ SIĘ NARODOWĄ
MANIFESTACJĄ**

Stanisław Staszic (1755–1826), wyświęcony na księdza w 1779 r., zaczynał swą karierę jako wychowawca synów byłego kanclerza Andrzeja Zamoyskiego, z którymi udał się m.in. do Wiednia i Italii. W celach naukowych podróżował w latach 1798–1799 po Polsce, prowadząc badania geologiczne i geograficzne. Doszedł do znacznego majątku; w roku 1801 kupił na Starym Mieście w Warszawie domy dla założonego rok wcześniej Towarzystwa Przyjaciół Nauk (TPN). Dwadzieścia lat później ufundował jego siedzibę w sercu Warszawy, znaną dziś jako Pałac Staszica. Odegrał ważną rolę w rozwoju przemysłu, działając jako geolog i badacz natury. Był też animatorem

kultury, od roku 1808 współtworząc ze Stanisławem Kostką Potockim Uniwersytet Warszawski, którego Wydział Nauk i Sztuk Pięknych był pierwszą Akademią Sztuk Pięknych w Warszawie.

Staszycowi, który w czasach Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego był ministrem stanu, podlegały także inicjatywy budowlane. To właśnie jemu zawdzięczamy sprowadzenie do Warszawy w 1818 r. Antonia Corazziego. Włoski architekt niemal natychmiast znalazł się w Radzie Budowniczej przy Komisji Spraw Wewnętrznych Królestwa Polskiego, a w 1820 r. został mianowany generalnym budowniczym rządowym. Dzięki tej funkcji miał bezpośredni wpływ na formowanie języka architektury warszawskiej tamtego czasu. Wzniósł w Warszawie 45 gmachów, m.in. Teatr Narodowy (nazwany potem Wielkim) i Pałac Staszica, który w swojej pierwotnej formie posiadał imponujące audytorium wzorowane na słynnym Teatrze Olimpico w Vicenzy; audytorium to było miejscem licznych wykładów i prelekcji organizowanych przez TPN.

TPN i Uniwersytet Warszawski

W „Planie edukacji publicznej w Księstwie Warszawskim z 1810 roku” Staszic zakładał utworzenie w Warszawie Szkoły Głównej z pięcioma wydziałami: prawa, administracji, filozofii, literatury i medycyny. Nauka na każdym z nich miała trwać trzy lata. Wydział literatury miał zawierać także „wydział sztuk nadobnych pod 1 dziekanem”. W plany utworzenia takiego wydziału wpisuje się najprawdopodobniej wysłanie Antoniego Brodowskiego, dobrze się zapowiadającego malarza, na studia do Paryża. Stypendium na ten kilkuletni wyjazd ufundowała, zapewne za sprawą Staszica, Izba Edukacyjna Księstwa. Gazety warszawskie z polecenia tejsze Izby donosiły w październiku 1809 r., że wśród stypendystów rządowych różnych specjalności „Imci Pan Brodowski wyjeżdża na doskonalenie się w rysunkach do Paryża”. Kilkanaście lat później Staszic pisał: „Na koniec zbiory obrazów cesarskich, Lichtensteinów, Harrachów, Czernina, Esterhazego i kilku innych dobrze w Wiedniu znanych zwiedzi p. Piwarski. Albowiem wszystko się łączy i spaja, a jedno drugiemu służy za pomoc. Rekomendacje, którymi p. Piwarski opatrzonym będzie, ułatwią mu

wszelką względem tego trudność, on zaś sam, jak nie wątpię, przyłoży wszelkiego starania, by zaufaniu Komisji i mojemu zadość uczynił i dopełnił, mianowicie co do części kopiersztychów tej znajomości, do której ma już dobre początki, zdatność i skłonność”.

Marzenia elit polskiego oświecenia z końca XVIII w. o wspomnianej wcześniej „superinstytucji naukowej” – akademii i uniwersytecie jednocześnie – zo-

W swoich pamiętnikach Fryderyk Skarbek wspomina o ścisłej i niezwykle owocnej współpracy Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Uniwersytetu. Już to, że na posiedzenia Towarzystwa, podczas których czytano rozprawy naukowe, zapraszano nie tylko jego członków, ale wszystkich zainteresowanych pracowników uniwersytetu, Liceum Warszawskiego, a także studentów, świadczy o nowatorskim powiązaniu osiągnięć

**„BARBARZYNIĘ TEN [KONSTANTY],
JAK DRUGI KALIF OMAR PRZEZ CAŁĄ
ZIMĘ INNEGO NA KOMINKU SWYM NIE
MIAŁ OPAŁU, JAK EGZEMPLARZE DZIEŁA
STASZYCA. NA HONOR MÓJ – PISAŁ
NIEMCEWICZ – ZA PRAWDĘ TĘ RĘCZĘ”**

stały w znacznym stopniu zrealizowane przez powołanie TPN, a także kilka lat później szkoły prawa i lekarskiej oraz utworzenie w latach 1808–1818 uniwersytetu. Większość jego profesorów to członkowie Towarzystwa, które od 1823 r., po ukończeniu budowy i wyposażeniu Pałacu Staszica, znajdowało się w sąsiedztwie. Sprawa ufundowania w Warszawie szkoły wyższej, choć planowana od dawna, miała w tym czasie zasadnicze znaczenie wobec tego, że Kraków ze swoim uniwersytetem znajdował się w granicach innego organizmu państwowego.

W lutym 1818 r. prace organizacyjne na uczelni nazwanej Uniwersytetem Królewsko-Warszawskim dobiegały końca (w 1829 r., kilka lat po śmierci Aleksandra I, przemianowano ją na Uniwersytet Aleksandrowski). Kończyła się tym samym rola Rady Ogólnej pod przewodnictwem Staszica (koncentrował się on później głównie na działalności w TPN, którego od 1808 r. był prezesem, nadal jednak odgrywał ważną rolę na uniwersytecie, m.in. w kwestii stypendiów zagranicznych). Wielokrotnie to właśnie Staszic wpływał na obsadzanie poszczególnych katedr uniwersyteckich. Dzięki niemu uzyskali stanowiska m.in. Ludwik Osiński w 1818 r. i Antoni Brodowski w roku 1820.

naukowych z dydaktyką, w myśl koncepcji Schellinga głoszącej jedność nauki i nauczania. Aleksander Kraushar, wychowanek Szkoły Głównej, znawca dzieł Towarzystwa, podkreśla w tym przedsięwzięciu rolę Staszica, który: „pracując nad wszystkim i zachęcając do pracy wszystkich, coraz nowe tworzył projekta i sam do urzeczywistnienia ich czynną przykładał rękę”. Popierał poniekąd tę inicjatywę jako próbę odciążenia młodzieży uniwersyteckiej od spraw politycznych, bo tymi „zbyt gorliwie, a nie właściwie, się zajmowała i dawała hałaśliwy wyraz swoim przekonaniom na galeriach arbirów, podczas posiedzeń sejmowych”. Wprawdzie Kraushar podkreśla, że Staszic chciał w ten sposób zapobiec restrykcjom władz, ale w istocie jego intencją było, jak mówi autor: „naprowadzić młodzież na drogę odpowiedniejszą – interesowania się sprawami nauki czystej. W tym duchu na posiedzeniu Wydziału Umiejętności z 18 października 1820 r. wysunął Staszic wniosek, „aby pozwolono było młodzieży uniwersyteckiej, gorliwie i z korzyścią przykładającej się do nauk, bywać na posiedzeniach wydziałowych Towarzystwa, a nawet przedstawiać na nich do dyskusji prace oryginalne naukowe”. Że inicjatywa ta nie była odosobniona, świadczyło jej poparcie >>

» przez Potockiego, Niemcewicza i Skarbka.

Towarzystwo, poza zbiorami druków i dzieł przesyłanych także przez wybitne osobistości świata nauki z całej Europy, w tym prace uczonych niemieckich, np. utwory Goethego, Aleksandra Humboldta, encyklopedię Karla Rottecka, posiadało też własne zbiory artystyczne, w tym obrazy, grafiki i rzeźby. W czasach Królestwa wielokrotnie prezentowano na jego posiedzeniach problematykę kultury artystycznej. Wielką zasługą Towarzystwa było nawiązanie kontaktu z najślynniejszym wówczas rzeźbiarzem Europy, Bertelem Thorvaldsenem (1770–1844), w związku z kontraktem na pomniki Kopernika i księcia Józefa Poniatowskiego. Artysta, który złożył dłuższą wizytę w Warszawie na jesieni 1820 r. w celu podpisania umowy, udzielił wielu lekcji studentom rzeźby Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego. Jego uczniami w Rzymie zostali niebawem m.in. Paweł Maliński (1790–1853) i Jakub Tatarkiewicz (1798–1854). Wzajemne stosunki uczelni z Towarzystwem widać w tym, że najznakomitsi uniwersyteccy profesorowie artyści, m.in. Brodowski, portretowali wybitnych członków Towarzystwa, np. Niemcewicza, a Maliński wykonał dekorację rzeźbiarską nowej siedziby Towarzystwa przy Krakowskim Przedmieściu.

Zdarzało się jednak, że niektóre publikacje były konfiskowane przez policję księcia Konstantego i niszczone. Tak było w przypadku „Rodu ludzkiego” Stanisława Staszica, „ozdobione[go] rycinami z niesłychanym przepychem. [...] Barbarzyńc ten [Konstanty], jak drugi kalif Omar przez całą zimę innego na kominku swym nie miał opału, jak egzemplarze dzieła Staszycza. Na honor mój – pisał Niemcewicz – za prawdę tę rękę”.

Jednakże nieco egzemplarzy pierwszego wydania książki Staszica udało się uratować. Píše o tym Wiktor Szokalski w swych bezcennych „Wspomnieniach z przeszłości”. Pewnego dnia zakradł się on wraz z kolegą na posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Pałacu Staszica. W kryjówce pod estradą zostali w pewnym momencie przysypani stośm książek; ponieważ o wydostaniu się na zewnątrz nie mogło być mowy, zaczęli książki oglądać i natrafili na kilkadziesiąt egzemplarzy wspomnianego dzieła Staszica. „Wyszliliśmy nareszcie – kończy swoją opowieść Szokalski – z naszego

więzienia, ale publiczność, zobaczywszy książki, chciwie się na nie rzuciła i zaczęła je rozbić, dopóki woźni ją nie przytrzymali. Tym sposobem rozeszło się między publicznością warszawską kilkadziesiąt egzemplarzy zakazanego, prześlicznie wydrukowanego i rycinami ozdobionego dzieła”.

Wielki luminarz i uczoney w Teatrze Narodowym

Staszic był stałym bywalcem Teatru Narodowego, który znajdował się wówczas na placu Krasińskich, mimo że osobom duchownym ówczesne prawo tego zakazywało. Jeden z najbardziej aktywnych donosicieli policyjnych tak to opisał pod datą 28 kwietnia 1821 r.: „Ksiądz Staszic, członek Komisji Wyznań i Oświaty, ma od dłuższego czasu zwyczaj przebiegania się niemal co wieczór i przychodzenia incognito do teatru na najwyższą galerię zwaną Paradyz. Kładzie wówczas na głowę perukę i okrywa się obszernym płaszczem, co czyni jego wygląd bardzo śmiesznym, zwłaszcza dla tych, którzy wiedzą, że to jest ksiądz. Wczoraj w teatrze dwaj młodzi dowcipnisie zbliżyli się do niego i rozmawiali między sobą tak głośno, że Staszic mógł ich słyszeć. Mówili między innymi, że to nie wypada dla księdza i zwłaszcza dla członka Komisji Wyznań i Edukacji Publicznej robić z siebie śmieszną karykaturę po to, by udawać się do miejsc uznanych przez władze duchowne za miejsce występku i grzechu”. Staszic nie doczekał się ukończenia budowy nowego teatru, o którego wznoszenie tak bardzo się troszczył. To w znacznym stopniu właśnie dzięki niemu Warszawa ma jeden z najbardziej okazałych teatrów Europy, którego imponująca fasada szczęśliwie przetrwała tragedię II wojny światowej.

Pogrzeb Staszica

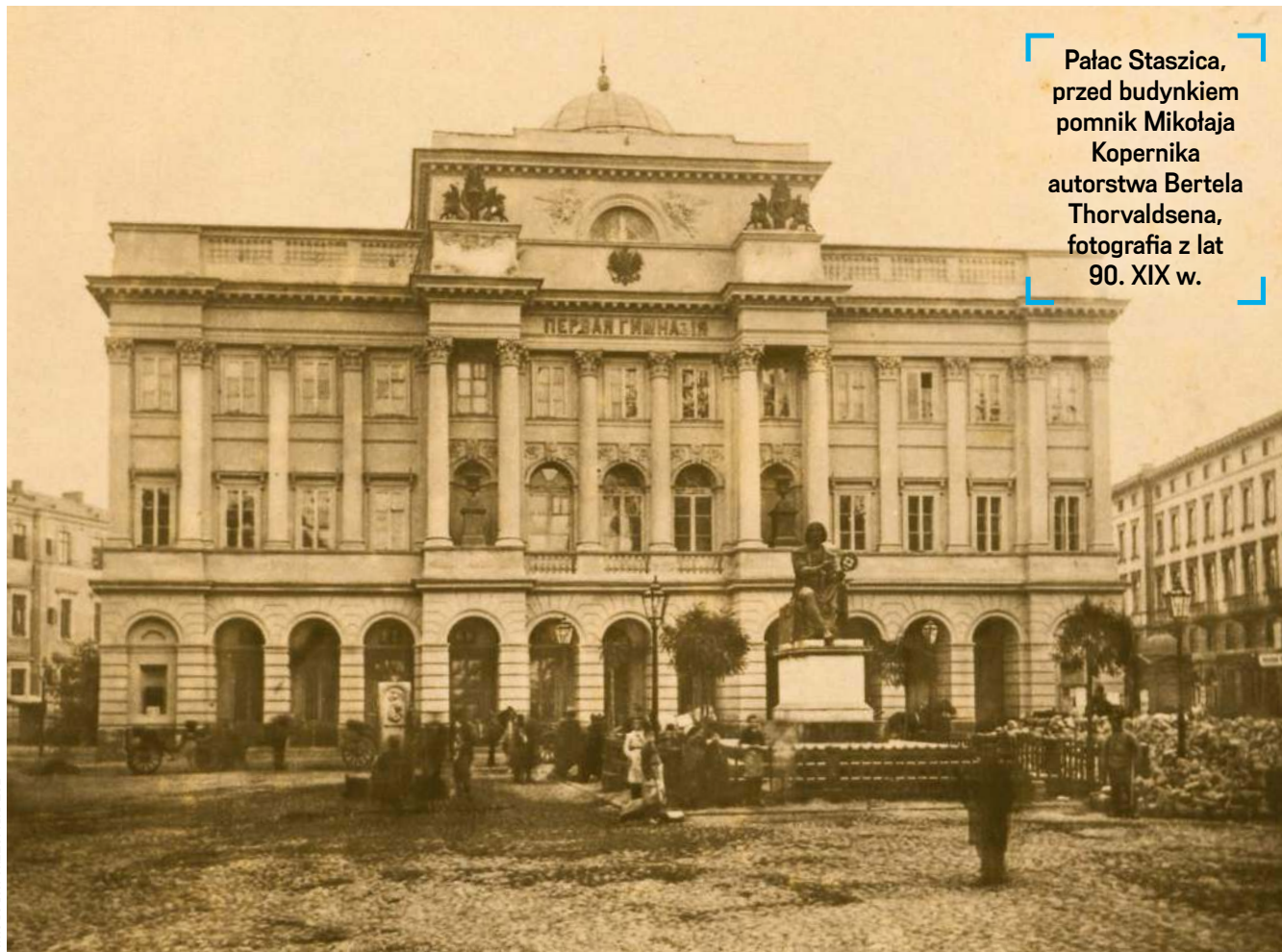
O stosunku studentów Uniwersytetu Warszawskiego do Staszica dobre wyobrażenie dają słowa Jana Nepomucena Janowskiego, który po studiach prawniczych na uniwersytecie został bibliotekarzem w TPN: „Staszic – píše – umarł 20 stycznia owego roku [1826]. Można by powiedzieć, że cała Warszawa przywdziała po nim żałobę [...], wszyscy ubolewali nad jego skonem [...], pogrzeb był wspaniały, bardzo wspaniały. Członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk,

z domu tegoż Towarzystwa, zwanego także, przynajmniej wówczas, Pałacem Staszica – wynieśli zwłoki do pobliskiego kościoła św. Krzyża, a po odprawionym tamże żałobnym nabożeństwie i odśpiewaniu egzekwii, wzięli je na barki uczniowie uniwersytetu i zmieniając się po sześciu co pół godziny, nieśli je aż do samych Bielan, gdzie nieboszczyk życzył sobie być pochowanym. Pochowanym został pod klasztorem Kamedułów, w grobie przykrytym ciosowym kamieniem, z tym prostym, krótkim napisem: »Stanisław Staszic«. Parę, a może kilka tysięcy ludu składało orszak pogrzebowy. Po pogrzebie uczniowie uniwersytetu jakby na wyścigi zaczęli pisać i drukować wiersze na cześć przyjaciela ludzi”.

Pogrzeb Staszica 12 lutego 1826 r. dostarczył również okazji do manifestacji nastrojów patriotycznych. Wzięli w nim udział Fryderyk Chopin i przywoływany już Wiktor Szokalski; obydwojgo opisali. Oto słowa Chopina z listu do przyjaciela: „Nie piszę ci o Staszycu, bo wiem, że [z] wszelkimi szczegółami o jego suto-ubogim pogrzebie z gazet i kurierów dostateczne masz wiadomości. To tylko Ci wspomnę, że akademicy nieśli go od Ś-go Krzyża aż do samych Bielan, gdzie chciał być pochowanym, że Skarbek miał mowę przy grobie, że trumnę jego obdarli z miłości i entuzjazmu i że na pamiątkę i ja mam kawałek kiru, którym były pokryte mary, na koniec, że 20 tysięcy ludzi aż do miejsca ciało odprowadzało. Kilka walnych przez drogę odbyło się pyskowych potyczek, już to z kupcami, którzy się dobijali nieść zwłoki Szanownego Męża, już to z innymi cywilnymi osobami, które również mężnie opierającym się Akademikom trumnę odebrać chciały”.

Oprócz „pyskowych potyczek” zdarzyło się na tym pogrzebie coś, co uzmysławia nam z całą siłą atmosferę tamtych czasów, w których donosiciele carscy byli obecni niemal na każdym kroku. Tragikomiczną przygodę jednego z nich opisał Szokalski: „Ponieważ w życiu, tak jak w dramatach Szekspira, poważne i komiczne miesza się w jeden zupełny obraz, a więc i na pogrzebie Staszica przytrafiło się zdarzenie, które nam potem śmiać się pozwalało. Uwijał się wówczas łotr wielki, szpieg, podlec, agent policji tajnej Szymanowski, który, ufny wyższej protekcji, beczelnie wszędzie się wkręcał. Otóż i on przyszedł na pogrzeb i wmieszał się między młodzież

Pałac Staszica,
przed budynkiem
pomnik Mikołaja
Kopernika
autorstwa Bertela
Thorvaldsena,
fotografia z lat
90. XIX w.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

w pochodzie do Bielan. Wtedy, jakby dla rozgrzania się przy końcu bardzo wydłużonego orszaku, zaczęto śniegiem na siebie rzucać, chociaż jemu najwięcej dostawały się kule, a gdy, niby niechcący przyparty do brzegu wyniosłej drogi, runął do rowu, zasypano go śniegiem; a co mu się kijów przytem dostało, to Bogu tylko wiadomo. Wylazł na ostatek, jak z budy, a gdy się otrząsał i skarżył, powiedziano mu, że się nie zna na żartach i pytano naiwnie, czy mu teraz ciepło. Wkrótce potem w nagrodę za jego gorliwość książę dał mu order Ś-go Stanisława III klasy, z ogromnem oburzeniem całego miasta. Akademicy postarali się o dużego psa, umyślnie ze wsi przywiezionego i, przemocowawszy mu do karku tekturowy order, napisali pod nim, że kiedy go Szymanowski otrzymał, to i on, Azor, może go nosić. Policja goniła psa po mieście z wielką uciechą patrzących się na to, nareszcie złapano go i głodzono w nadziei, że do domu powróci i że się tym sposobem na

ślad winowajcy natrafi. Pies, jako zamiejski, omylił wszelkie nadzieje”.

Niedługo po tych wydarzeniach powstał wiersz, który nie pozostawia wątpliwości co do tego, jak bardzo ów donosiciel był znienawidzony w Warszawie:

*Szymanosiu, cny człowieku,
Coś wszystkie zwiędziały ulice,
Jeszcze jesteś w sile wieku,
Żwawo, marsz na szubienicę.*

Nieszczęsny Hieronim Szymanowski, „zakął całego rodu Szymanowskich”, rzeczywiście zakończył żywot na szubienicy; powieszono go 15 sierpnia 1831 r. Także później, po powstaniu listopadowym, wszyscy donosiciele i kolaboranci byli okrutnie piętnowani, również przez wielkich poetów. Juliusz Słowacki w „Poemacie Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle” umieścił w tymże piekle, razem z imperatorką Katarzyną, Paskiewiczem, Suworowem i wielkim księciem Konstantym, Józefa Kalasantego

Szaniawskiego, bezdusznego cenzora i serwilistę carskiego.

* * *

To właśnie Staszic wypowiedział znamiennie słowa: „Paść może i Naród wielki; zniszczyć może tylko nikczemny!”. Robił wszystko, by uskrzydlać polską naukę i kulturę. Przez niemal 20 ostatnich lat życia nie sprawował posługi duszpasterskiej i nie nosił sutanny, a tylko rodzaj koloratki – do końca pozostał wielkim społecznikiem i przyjacielem młodzieży, która tak spontanicznie wyraziła wdzięczność, udając się tłumnie na jego pogrzeb. W swoim testamencie ten wielki uczonec i animator nauki zapisał znaczne sumy na działalność ośrodków społecznych i instytucji charytatywnych. Wśród jego spadkobierców znalazły się takie instytucje jak warszawski Instytut Głuchoniemych, wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego, stołeczne szpitale i przytułki dla ubogich.


**RAFAŁ
ŁATKA**

 Biuro Badań
Historycznych
IPN

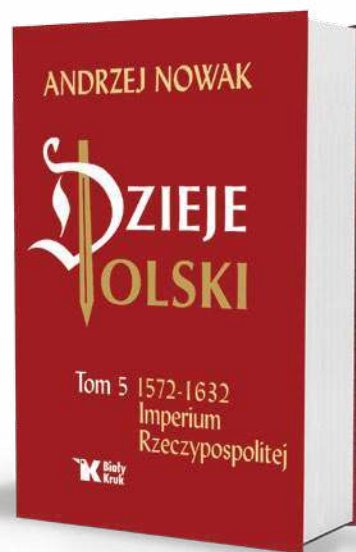
W KRĘGU KLIO

**Andrzej Nowak, „Dzieje Polski, tom V: 1572–1632. Imperium Rzeczypospolitej”,
Kraków 2021, Biały Kruk**

Wydawnictwo Biały Kruk niedawno wypuściło na rynek wydawniczy kolejny, już piąty tom „Dziejów Polski” autorstwa Andrzeja Nowaka. Podobnie jak w przypadku poprzednich tomów serii do lektury przystąpiłem z dużym zaciekawieniem. I tym razem, jak w tamtych czterech przypadkach, się nie zawiodłem. Krakowski historyk nie tylko stara się możliwie precyzyjnie opisywać koleje historii naszej ojczyzny, lecz również proponuje własne interesujące interpretacje (oparte, co warto dodać, na najnowszych ustaleniach innych badaczy). Polemizuje częstokroć także z zastanymi, utrwalonymi w historiografii poglądami, nieraz udowadniając, że niekoniecznie są one słuszne. Obie te zalety pisarstwa Nowaka widać szczególnie mocno w przypadku tomu V i próby przedstawienia odpowiedzi na pytanie: czy I Rzeczpospolita u szczytu potęgi była imperium? Autor pokazuje, jak dalece nieuczciwe jest mówienie o tym, że Polacy byli na wschodnich kresach Rzeczypospolitej kolonizatorami, gnębiącymi narody ukraiński i białoruski (pomijając, że one wówczas nie istniały, a najpotężniejsi magnaci Rusini czuli się obywatelami wspólnego polsko-litewskiego państwa i w pełni korzystali ze „złotej wolności szlacheckiej”).

Nowak interesująco omawia także dorobek trzech panujących w opisywanym przez niego okresie monarchów wybranych na polach elekcyjnych: Henryka Walezego, Stefana Batorego i Zygmunta III. Stara się oddać sprawiedliwość temu pierwszemu i temu trzeciemu, pokazując, że nie powinno się

ich oceniać zbyt łatwo jako mizernych rządzących. Pokazuje także, że panowanie Batorego niekoniecznie powinno być oceniane jako obfitujące w same sukcesy, gdyż zdarzały mu się porażki dość mocno wpływające na późniejszą rzeczywistość naszych dziejów (exemplum sytuacja w Prusach). Jednym z najciekawszych bohaterów tego tomu, oprócz monarchów, jest hetman Jan Zamoyski – krakowski badacz pokazuje go w całym skomplikowaniu, oddaje zarówno zasługi, jak i nikczemności wynikające z jego daleko idących ambicji. Wśród tych drugich, szczególnie destrukcyjnych, można wymienić to, że dla wielu rodów szlacheckich w Koronie stał się wzorem do naśladowania – co powodowało, że w kolejnych dziesięcioleciach wysuwali oni na plan pierwszy interes własny, zapominając niemal zupełnie o wspólnym interesie Rzeczypospolitej. Paradoksem jest to, że wzorem dla Zamoyskiego były rody litewskie: Radziwiłłów i Ostrogskich, które wcześniej zdobyły taką pozycję w Wielkim Księstwie Litewskim. ■



Tomasz Frasik, „Historia Kościoła katolickiego w Polsce”, Kraków 2021, Wydawnictwo AA

Dzieje Kościoła katolickiego w Polsce należą do najciekawszych, a jednocześnie najbardziej skomplikowanych zagadnień badawczych w naszej historiografii. Wynika to z prostego faktu, że niemal od początku historii naszego narodu Kościół w taki czy inny sposób towarzyszył Polakom w chwilach zarówno chwalebnych, jak i tragicznych (nie zawsze zresztą jego hierarchia stała po stronie narodu). Bez wątpienia ukazanie tysiącletniego funkcjonowania tej instytucji na pol-

skich ziemiach było konieczne i potrzebne. Przygotowania tego typu dzieła podjął się Tomasz Frasik i generalnie jego wysiłek należy ocenić pozytywnie. Dość rzetelnie, na blisko 800 stronach, opisał historię Kościoła w Polsce od X do XX w. Wielką zaletą jego pracy są także bogata ikonografia, imponujący format oraz właściwie dobrana konstrukcja. Dodatkowym atutem jest lekkie pióro autora, które sprawia, że kolejne części książki czyta się z przyjemnością.

Nie oznacza to jednak, że Frasik nie ustrzegł się pewnych błędów. Wśród nich należy wymienić często zdarzające się powtórzenia i przypominanie kwestii, które autor opisał kilkanaście stron wcześniej. Drugim kluczowym problemem jest bazowanie w niektórych częściach książki na dość przestarzałej już literaturze przedmiotu. Jest to widoczne szczególnie w przypadku dziejów Kościoła w XX w., czyli zagadnienia mocno eksploatowanego przez polskich badaczy (gdzie postęp wiedzy jest ogromny, a w książce Frasika zupełnie niewidoczny). Autor niestety nie nadąża w tym

przypadku za najnowszymi opracowaniami, pomijając nawet tak kluczowe dzieła, jak wydawany od 2017 r. dziennik „Pro memoria” kardynała Stefana Wyszyńskiego. Najślabszą częścią recenzowanej książki jest jednak ostatni rozdział dotyczący okresu po 1989 r. Ta część jest nie tylko bardzo powierzchowna (zajmuje kilkanaście stron), autor nie odniósł się również do wielu kluczowych problemów z zakresu działalności Kościoła. Trudno znaleźć tam także odbicie trendów niekorzystnych dla tej instytucji, takich jak laicyzacja czy brak lustracji w szeregach duchowieństwa. ■



Andrzej Paczkowski, „Wojna polsko-jaruzelska. Stan wojenny w Polsce, czyli kontrrewolucja generałów”, Warszawa 2021, Wielka Litera

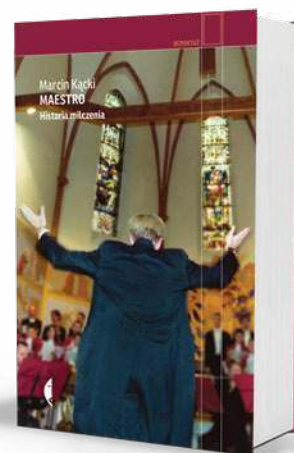
A ndrzej Paczkowski należy bez wątpienia do ścisłego grona najwybitniejszych historyków zajmujących się dziejami Polski w XX w., ze szczególnym uwzględnieniem PRL. Wiele jego prac, takich jak „Pół wieku dziejów Polski”, weszło do kanonu klasycznych dzieł polskiej historiografii. Analogicznie było z pierwszym wydaniem książki „Wojna polsko-jaruzelska”, które ukazało się ponad 15 lat temu – w 2006 r. Pozostaje zatem zadać pytanie: czy warto sięgnąć do wydania, które pojawiało się na rynku książki w okolicach 40. rocznicy wprowadzenia

w Polsce stanu wojennego? Odpowiedź niestety nie jest jednoznacznie pozytywna. Kupując książkę, spodziewałem się przede wszystkim, że będzie to dzieło niejako sumujące wiedzę na temat wydarzeń mających miejsce w PRL od 13 grudnia 1981 r. aż do zniesienia stanu wojennego. Zamiast tego otrzymaliśmy wersję książki, jaka ukazała się na rynku amerykańskim (w niewiele tylko zmienionej wersji), która tłumaczy wiele zagadnień dla Polaków oczywistych (takich jak przebieg rewolucji Solidarność), a brakuje w niej oddania aktualnego stanu badań. ■



Marcin Kącki, „Maestro. Historia milczenia”, Wołowiec 2022, Wydawnictwo Czarne

W iele już lat temu Polska żyła skandalem pedofilskim z udziałem Wojciecha Krowoppa, słynnego dyrygenta chóru Polskie Słowiki. Opublikowanie przez Marcina Kąckiego historii „tajnego życia” tego człowieka spowodowało wielki wstrząs w opinii publicznej. Okazało się bowiem, że ten obrzydliwy proceder trwał ponad 30 lat, a wielu ludzi z poznańskiej elity dobrze o tym wiedziało, ale wolało milczeć, czy to ze względu na własne interesy, czy też z powodu braku odwagi. Ich podejście dobrze oddaje fragment jednego z wywiadów, jakiego autor udzielił: „Zbierając materiały do książki, rozmawiałem np. z dyrektorem wydziału kultury w urzędzie wojewódzkim z czasów PRL-u. Jego obowiązkiem było m.in. sprawowanie nadzoru nad Polskimi Słowikami. Mówił: »Wszyscy wiedzieli«. A kiedy pytałem, dlaczego milczał, usłyszałem: »Najważniejszy był poziom i występy. Im więcej było wyjazdów, tym lepsza była prasa, telewizja, a ja byłem z tego rozliczany, bo taka była moja praca. Te sprawy trzymało się pod kocem, bo były inne priorytety. Gdyby to wszystko wyszło na jaw, miałbym duże kłopoty, dlatego jedna czy druga dupa chłopaka mnie nie interesowały, ja wolałem mieć poziom chóru«. Książka „Maestro” ukazała się po raz pierwszy w 2013 r. Najnowsze wydanie, które pojawiło się na rynku w styczniu tego roku, to wersja znacznie rozszerzona. Kącki zdobył wiele nowych informacji, m.in. wyjaśnił, dlaczego niektórzy z molestowanych przez Krowoppa po latach wysyłali do chóru swoje dzieci. Autor skonfrontował swoje ustalenia także z samym dyrygentem pedofilem i pokazał, że nie miał on żadnego poczucia winy oraz twierdził, iż nikogo do niczego nie zmuszał... Szokujący jest także opisany w książce stosunek niektórych ludzi Kościoła do Krowoppa. Przywołać można w tym zakresie wizytę w więzieniu u dyrygenta abp. Stanisława Gądeckiego czy listy, jakie wymieniał z nim kard. Henryk Gulbinowicz... Książka Kąckiego pokazuje, jak wiele zła może się stać, gdy prawdę zamyka się pod dywan, dla rzekomo „wyższych korzyści”. ■



REKLAMA

POLECAMY KSIĘGARNIĘ
 W-wa ul. Marszałkowska 7
 tel. (22) 405 66 30, 501 037 074
 e-mail. ksiazkicomax@op.pl

Rafał Łatka rozmawia z...

...dr. GRZEGORZEM MAJCHRZAKIEM, autorem książki
„Rozpracowanie organów kierowniczych NSZZ
»Solidarność« przez Służbę Bezpieczeństwa 1980–1982”



Panie doktorze, jaka jest główna teza pańskiej nowej książki?

Grzegorz Majchrzak: Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w walce z legalnie działającą Solidarnością, a konkretnie jej kierownictwem – bo o tym jest książka – Służba Bezpieczeństwa poniosła porażkę. Owszem, SB sporo o związku wiedziało, bo przecież działał on jawnie, ale nie była w stanie wpłynąć znacząco na jego funkcjonowanie ani tym bardziej – co było do pewnego momentu pomysłem decydentów politycznych – przejąć nad nim kontroli. W tym kontekście stan wojenny był sukcesem, bo cała operacja – wbrew obawom jej autorów – została przeprowadzona, ale też porażką, wręcz klęską, że sięgnięcie po takie rozwiązanie okazało się konieczne.

Jak głęboko komunistom udało się rozpracować i zinfiltrować organy kierownicze S?

Bezpieka miała agenturę we wszystkich gremiach kierowniczych związku, na czele z władzami krajowymi Solidarności. Inna sprawa to jakość, przydatność dla SB tej agentury. A z tym bywało różnie. Tu przykład dotyczący I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” z września i października 1981 r. Na blisko 900 delegatów bezpieczeństwa przed pierwszą turą dysponowała kilkudziesięcioma tajnymi współpracownikami, a przed drugą turą znacznie zwiększyła ich liczbę. Ale w czasie pierwszej tury tylko kilku z nich

pozwoliło sobie na wypowiedzi zgodne z wytycznymi „smutnych panów”. A po latach analizujący tę sprawę funkcjonariusze stwierdzili, że cenniejsze okazały się podsłuchy zamontowane w każdym możliwym miejscu (w tym w katedrze oliwskiej, gdzie przemawiał prymas Józef Glemp) niż agentura...

Kogo zaliczyłby pan do najlepszych tajnych współpracowników poszerzających wiedzę SB w tym zakresie?

To trudne pytanie. Na pewno szefowie regionów związku – w Słupsku Wojciech Zierke (TW „Jola”) i Pile – Eligiusz Naszkowski (TW „Grażyna”) oraz Andrzej Cierniewski (TW „Cierń”, „Dorn”) stojący na czele bytomskiej Solidarności. Wszyscy oni byli też członkami władz krajowych związku, a dwaj pierwsi nagrali posiedzenie radomskie Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących Zarządów Regionów z początku grudnia 1981 r., co było chyba największym sukcesem Służby Bezpieczeństwa w walce z legalną Solidarnością. Nie wiem, czy paradoksalnie jednak nie cenniejszy był – z punktu widzenia władz – ks. Henryk Jankowski. To zresztą podwójny paradoks, bo z punktu widzenia SB nie był on agentem (precyzyjnie: osobowym źródłem informacji), a używając języka potocznego, można go uznać za typowego agenta wpływu, który mógł wpływać zarówno na szefa Solidarności Lecha Wałęsę, jak i prymasa Stefana Wyszyńskiego... Pytanie tylko, czyje pomysły realizował w tym przypadku? Czy SB, czy Prymasa, czy

swoje? Ja na to pytanie nie podejmuję się odpowiedzieć.

Czy zabezpieczenie I Krajowego Zjazdu Solidarności było sukcesem SB?

„Zabezpieczenie” zjazdu było największą operacją SB między wrześniem 1980 r. a grudniem 1981 r. To w przypadku spraw przeciwko legalnie działającemu związkowi zresztą sprawa wyjątkowa, gdyż nie były to działania defensywne, ale ofensywne, w celu wpłynięcia na program związku i kształt jego władz. I była to największa porażka Służby Bezpieczeństwa w walce ze związkiem. O jej rozmiarach świadczy to, że po pierwszej turze MSW zaproponowało niedopuszczenie do kolejnej i wprowadzenie stanu wojennego. I była to najpoważniejsza przed 13 grudnia przymiarka do niego. O desperacji SB świadczy również to, że zastanawiano się nawet nad poparciem związkowych radykałów, których przecież Służba Bezpieczeństwa tak zacięcie dotychczas zwalczała.

Co dla pana pozostaje największą zagadką?

Nieformalne, ale z pewnością nieagenturalne, kontakty Wałęsy z Adamem Krzysztoperskim. Ten pierwszy to przewodniczący Solidarności, drugi to wiceminister spraw wewnętrznych, resortowy „gołąb” odpowiedzialny za działania wobec związku.



Grzegorz Majchrzak,
„Rozpracowanie organów
kierowniczych NSZZ
»Solidarność« przez Służbę
Bezpieczeństwa 1980–1982”,
IPN, Warszawa 2021

LOSY TUŁACZYCH DZIECI

PYTANIE – W JAKI SPOSÓB PRZEKAZAĆ WIEDZĘ HISTORYCZNĄ DZIECIOM I MŁODZIEŻY – OD DAWNA ZAPRZĄTA UMYSŁY DYDAKTYKÓW. NIE JEST TO BOWIEM ZAGADNIENIE ZWIĄZANE WYŁĄCZNIE Z NAUKĄ. JEGO NAJWIĘKSZE ZNACZENIE POLEGA NA FORMACJI TEGO, CO NAS STANOWI – TZN. ŚWIADOMOŚCI NARODOWEJ I PATRIOTYCZNEJ



**MAŁGORZATA
ŻARYN**

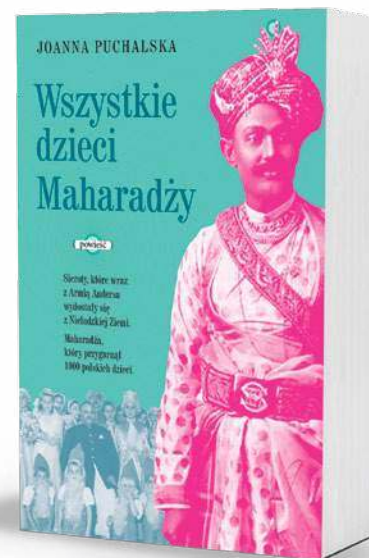
Dziś w procesie nauczania wykorzystuje się wszelkie środki od repetitio po gry RPG, a mimo to narzekanie na społeczny poziom wiedzy o polskich dziejach nie milknie. Zbyt martyrologiczne i wyjątkowe, przynębiające i nienormalne – taki przekaz nie jest wcale rzadki. Krytycy powołują się nawet na obiektywne spojrzenie z zewnątrz, jakim rzekomo ma się odznaczać utwór Briana Portera Sucsa „Całkiem zwyczajny kraj. Historia Polski bez martyrologii”. Czy jednak chodzi o to, byśmy banalizowali swoje doświadczenie czy też dobrze je przeżyli, tworząc polską świadomość i oddając przodkom należny im szacunek?

Odpowiedź na to pytanie przyjdzie ła-two, gdy przeczytamy najnowszą książkę, a pierwszą powieść Joanny Puchalskiej „Wszystkie dzieci Maharadży”. Rzec dzieje się w latach 1939–1947. Opowieść o kilku rodzinach mieszkających na Kresach II Rzeczypospolitej zaczyna się rozdziałem o wiele mówiącym tytule „Na wschód pędzą eszelony”. Obserwujemy wywózki na Syberię, a następnie bytowanie zesłańców na „nieludzkiej ziemi”. Po układzie Sikorski–Majski wielu z nich próbuje się przedostać do Buzułuku, Taszkentu czy Guzoru, by wejść w szeregi polskiego wojska. Opieką wojska zostają też otoczone osierocone i samotne

dzieci. Wraz z Armią Andersa wychodzą z ZSRS w 1941 r. „W ogóle od momentu przekroczenia granicy sowieckiej Rosji dzieci czuły się coraz bardziej jak w raju albo w bajce. Najpierw tajemnicza Persja, teraz kolorowe Indie. Ciepło, czysto, a przede wszystkim jedzenie. Niemal na każdej stacji Hindusi gorąco witali polskie sieroty, obdarowywali je owocami, słodyczami i drobnymi zabawkami” – czytamy w powieści. Zaadoptowane przez maharadzę Nawanagaru Jama Saheba Sinhhia znajdują schronienie i opiekę w osiedlu Balanchadi. Tam w rezydencji władcy powstaje szkoła z internatem, tam uczą się, pracują, działają w harcerstwie, przygotowują do dorosłego życia dzieci uratowane ze Związku Sowieckiego. Ich liczba jest imponująca – 4 tys. w Nawangarze, ponad 5 tys. w całych Indiach.

Dzięki powieści Joanny Puchalskiej możemy im towarzyszyć w życiu codziennym, w trudach i radościach, przyjaźniach i miłościach, a także w rozpaczach i żałobie. Starsi bohaterowie 14–15-letni opiekują się młodszymi, zastępując im rodziców. Uczą się odpowiedzialności, miłości do ojczyzny, której pragną służyć z całych sił. Wielki wpływ na taką postawę ma wychowanie patriotyczne i w duchu chrześcijańskim, które odbierają w ramach edukacji szkolnej i harcerstwa.

Książka, mimo że przybrała formę powieści, a zatem korzysta także z fikcji, jest historycznie wiarygodna. Autorka pracowała na źródłach: dokumentach, listach i relacjach. Listę osób, którym dziękuje, możemy prześledzić we wstępie. Jednocześnie fabuła daje takie możliwości, których nie daje monografia naukowa.



Joanna Puchalska, „Wszystkie dzieci Maharadży”, wyd. Fronda, 2021

Chodzi tutaj o emocje. Opowieść o tragicznych losach Polaków w czasie II wojny światowej można poprowadzić w dwóch kierunkach – ku niszczeniu lub ku budowaniu; epatować złem lub wskazywać dobro. Książka Joanny Puchalskiej jest ciepła i jasna – bohaterowie są sympatyczni, choć nie idealni. I dobrze – łatwo się z nimi utożsamić. Mam nadzieję, że publikacja przypadnie do gustu nie tylko dorosłym, lecz także młodym czytelnikom, którzy mają szansę poznać i zrozumieć losy swoich rówieśników.

Chwała autorce również za przypomnienie przyjaciela Polski Jama Saheba – maharadży Nawanagaru. „Nie jesteście już sierotami. Jesteście teraz Nawanagaryjczykami. Ja jestem Bapu. Ojciec wszystkich i was też” – tak przywitał on polskie sieroty. Nie były to puste słowa. „Maharadża nie tylko zapewnił im dach nad głową i utrzymanie, lecz także odwiedzał, rozmawiał, cieszył się ich sukcesami, martwił kłopotami, zapraszał do pałacu na podwieczorki” – czytamy we wstępie. Przez długie lata PRL-u Polacy nie mogli okazać wdzięczności indyjskiemu księciu – temat Armii Andersa i tułacznych dzieci był na indeksie. Teraz staramy się ten dług spłacić i witamy maharadzę w panteonie naszych bohaterów.

Kronika zastrzeżonej Tradycji



**MAREK
JUREK**

Papieski list „Traditionis custodes” przyniósł efekty paradoksalne. Wywołał nieoczekiwane zainteresowanie katolicką Tradycją, szczególnie liturgiczną, w całym świecie zachodnim, lecz przede wszystkim – wśród bardzo wielu katolików.

Na mszach tradycyjnych pojawili się wierni, którzy zaczęli na nie chodzić właśnie pod wpływem papieskiego motu proprio. Watykańską interwencję odebrali jako wskazanie głównej przeszkody dla postępującego kryzysu Kościoła, jako czytelny znak, jak można ten kryzys najlepiej, nie tylko w znaczeniu pragmatycznym, lecz przede wszystkim duchowym – powstrzymać. Bo jeśli nawet czuli się bezradni, jeśli nie rozumieli postępującej dekonstrukcji katolicyzmu – jej oznaki widzieli i rejestrowali cały czas.

W duchu synodalności

Media przyniosły ostatnio wiadomość (zaskakującą jedynie niezorientowanych, więc – obojętnych) o kolektywnym homoseksualnym (a właściwie szerzej – „nieheteroseksualnym”) coming outcie księży i pracowników niemieckich diecezji katolickich. Żądają od Kościoła publicznego odwołania moralnej dezaprobaty dla homoseksualizmu, zaniechania „obraźliwych stwierdzeń” na temat związków jednopłciowych, a także zapewnienia „osobom ze środowiska LGBTIQ+” dostępu do sakramentów. Nie powołują się przy tym na wolność, równość ani postęp, ale na (sic!) wierność Ewangelii. To więc coś znacznie więcej niż bunt, schizma czy emocjonalny, bezwiedny błąd. Systematyczny charakter tych wystąpień nie pozostawia złudzeń: mamy do czynienia z regularną herezją. Kolektywny coming out poparli – „w duchu Jezusa” – abp Stefan Hesse z Hamburga oraz Prezydium Komitetu Centralnego Niemieckich Katolików,

oficjalna reprezentacja niemieckiego laikatu katolickiego.

Od długiego czasu, w istocie w „duchu synodalności” (więc publicznego wyrażania odpowiedzialności za Kościół), proszę o list Episkopatu (albo listy poszczególnych biskupów) w sprawie niemieckiej herezji homoseksualnej. Chodzi przecież nie tylko o opinie, ale i o profanację kościołów ceremoniami błogosławienia homoseksualnych związków. Nie można i nie należy udawać, że tego nie ma. Czasami uzasadniać trzeba rzeczy oczywiste, więc podać tu można choćby trzy naj-

prostsze względy związane z czasami, w których żyjemy.

Po pierwsze – wierni o tych skandalicznych aktach dowiadują się z zachwyconych nimi mediów. Jeśli nie słyszą żadnej kategorycznej oceny homoseksualnej za paści niemieckiego Kościoła – zaczynają odruchowo myśleć, że mamy do czynienia z działaniami i opiniami mieszczącymi się wewnątrz różnorodności katolicyzmu, których to działań i opinii ewentualnie można (ze względu na swójski obyczaj) nie popierać, ale których też nie należy wykluczać.



Relatywizowanie kwestii homoseksualizmu jest pozostawianiem na polu codziennej bitwy o wychowawczy ład moralny setek tysięcy katolickich rodzin

Po drugie – w Niemczech mieszka i pracuje bardzo wielu Polaków, którzy nadal mają bliższe czy dalsze rodziny w kraju. Tam prowadzą swoje życie religijne, ale przecież są ciągle w kontakcie z ojczyzną. I mają prawo do autentycznego duszpasterstwa, do katolickiej oceny niemieckich ekscesów, do umocnienia we własnych intuicjach moralnych, bezpośrednio przecież wyrażających sensus fidei, zmysł wiary.

Jest wreszcie trzeci wzgląd, społeczny i kluczowy, bo dotyczący życia rodzin, domowych kościołów. Jeżeli w życiu katolickim zaczniemy uważać homoseksualizm za dopuszczalną opcję życiową – czego mamy się spodziewać po edukacji publicznej? Relatywizowanie tej kwestii jest pozostawianiem na polu codziennej bitwy o wychowawczy ład moralny setek tysięcy katolickich rodzin.

Niestety mimo „synodalnych” zachęt do wyrażania opinii wiernych w sprawach Kościoła, mimo domniemanej gotowości do ich podejmowania – nie słyszymy ze strony autorytetów Kościoła polskiego żadnej urzędowej oceny tego, co dzieje się w Niemczech. Jeśli mamy „synodalnie” zakładać, że te apele są słyszane – powinniśmy logicznie przyjąć, że są świadomie odrzucane. Zapewne w oparciu o przekonanie, że nie należy oceniać tego, czego oceniać nie chce Ojciec Święty. Ale przecież deprawacyjny charakter homoseksualizmu ocenili wszyscy papieże, więc w tym zawiera się również dziś stanowisko papieża jako strażnika Tradycji niezależnie od wywiadów, których udziela, i listów, które wysyła. Misja papieża jest ważniejsza od emocji papieża. Niestety, ta prosta logika, oparta na soborowej konstytucji „Pastor aeternus”, przestała w ostatnich czasach działać.

Rosnący zamęt

Tymczasem zamiast mocnego zdystansowania się od episkopatu niemieckiego, mamy wspólny list przewodniczących Konferencji Episkopatów Polski i Niemiec w sprawach imigracji, ogłoszony przez abp. Gądeckiego (który odegrał wspaniałą rolę w czasie synodu na temat rodziny) wspólnie z bp. Georgiem Bätzingiem, rzecznikiem „dalszego rozwoju doktryny” opartego na „postępowej refleksji teologicznej”, promotorem kapłaństwa kobiet i zaniechania moralnej dezaprobaty homoseksualizmu w na-

uczaniu kościelnym. Przedstawianie bp. Bätzinga jako autorytetu nie będzie zachęcać polskich katolików w Niemczech do oporu wobec dewastacji Kościoła, choć z pewnością mieści się w logice klerykalnej. Tylko czy nie tę właśnie klerykalną logikę krytykuje Franciszek, czyż „synodalność” nie ma polegać na jej przekroczeniu?

Są też akty bardziej konkretne, jak zaproszenie przez bp. Piotra Jareckiego, sufragana Archidiecezji Warszawskiej, „środowisk LGBT” do udziału w pracach synodalnych. Nie osób o skłonnościach

SZACUNEK DLA LITURGII TRADYCYJNEJ, KAŻDEJ TRADYCYJNEJ I TRADYCYJNEJ Z ZASADY – TO POTĘŻNY CZYNNIK JEDNOŚCI CHRZEŚCJAŃSKIEJ, JAKO FUNDAMENT ORTODOKSJ PRZED WSZYSTKIM

homoseksualnych, wypełniających katolicki obowiązek czystości, do którego są powołane (jak uczy Katechizm św. Jana Pawła II), ale – „środowisk LGBT”. Warto mieć świadomość, dlaczego Kościół odrzuca ustępstwa wobec rewindykacji politycznego ruchu homoseksualnego i potępia wspieranie „kultury gejowskiej”. Ponieważ – jak stwierdza „Omosessualità”, dokument Kongregacji Nauki Wiary z 1992 r. – uznanie „homoseksualizmu za powód do dogmatyzacji się praw mogłoby w praktyce zachęcić osoby o skłonności homoseksualnej do ujawnienia jej, a nawet do poszukiwania partnera”. A zachęcanie do tego jest zaprzeczeniem misji Kościoła.

Tropy jedności

W czasie tegorocznego Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan zastanawiałem się więc, do czego nas ta intencja Kościoła dziś wzywa. Pomyślałem przede wszystkim o dwóch rzeczach, które odłączonym wspólnotom mogłyby po raz kolejny pokazać, że wszystko, czego w uzasadniony sposób oczekują, było i jest w jedności Kościoła powszechnego. Pierwsza to odwołanie restrykcji przeciw mszy tradycyjnej i potwierdzenie sakralnego charakteru liturgii, nie tylko w sensie obrzędowym, ale i prawnym. Jej nietykalności, tego, że – jak uczy Katechizm św. Jana Pawła II – nawet „najwyższy autorytet w Kościele nie może [jej] dowolnie zmieniać”, a „może to czynić jedynie w posłuszeństwie wiary i w religijnym szacunku dla misterium liturgii” (art. 1125).

To ważne szczególnie dla chrześcijan Wschodu. Gdy bowiem wspominamy deklarację ostatniego soboru powszechnego, że „święta Matka Kościół uważa za równe w prawach i godności wszystkie prawnie uznane obrządk i chce je na przyszłość zachować i zapewnić im wszelki rozwój” – mamy zrozumiały skłonność odnosić to do praw rzymskiego rytu tradycyjnego. Ale obok prawa jest też kwestia godności, którą wobec rytów wschodnich naruszają dezawuuujące ich tradycyjny charakter teorie neoliturzystów. Bizantyjczycy nazywają mszę Służbą Bożą, jest ona bowiem aktem służby. Pretensje do panowania nad liturgią jedynie ich od Rzymu oddalają. Szacunek dla liturgii tradycyjnej, każdej tradycyjnej i tradycyjnej z zasady – to potężny czynnik jedności chrześcijańskiej, jako fundament ortodoksji przede wszystkim.

Drugi konkretny gest jedności, w innym kierunku, to powrót do języka Biblii w opisie homoseksualizmu. Zastąpienie niezrozumiałej dla większości wiernych, mało komunikatywnej nawet dla kompetentnych, postscholastyki „aktów obiektywnie nieuporządkowanych” – prostymi, Pawłowymi określeniami: „bezcieszczenie własnych ciał” (por. Rz 1,24), „porzucenie normalnego współżycia”, „uprawianie bezwstydu” (por. Rz 1,27). Te dwa akty wiary wyrażałyby też szacunek dla wszystkich, którzy te szczególne prawdy wyznają poza jednością katolicką. Zawsze bowiem pamiętajmy: ani jedność nie musi być relatywizmem, ani posłuszeństwo – konformizmem. ■

BOHATERKĄ JEDNEJ ZE
STYCZNIOWYCH ŚRÓD
LITERACKICH W WILNIE W 1937 r.
BYŁA NUNA MŁODZIEJOWSKA-
-SZCZURKIEWICZOWA. AKTORKA,
REŻYSER, DYREKTORKA
TEATRU. SERDECZNIE PRZYJĘTA,
WSPOMINAŁA, JAK W LATACH
1906–1910 PROWADZIŁA
W WILNIE POLSKI TEATR



BUDZICIELKA WILEŃSKIEJ SCENY



JOANNA
PUCHALSKA

Pochodziła z zamożnej rodziny ziemiańskiej z Wołynia. Uczyła się na Wyższych Kursach dla Kobiet im. A. Baranieckiego w Krakowie, czyli w tzw. Baraneum, aktorstwa zaś u Wandy Siemaszkowej oraz w Klasie Dramatycznej przy Warszawskim Towarzystwie Muzycznym i u Marii Przybyłko-Potockiej. Debiutowała w 1903 r. w Teatrze Miejskim w Krakowie i tu występowała w sezonie 1903/1904. Następny sezon 1904/1905 spędziła w teatrze poznańskim, a od 1906 r. była już w Wilnie.

Polskie spektakle zostały tam zawieszone w 1864 r. na polecenie Murawjewa. Odtąd odbywały się jedynie tajne przedstawienia amatorskie w domach. Po 1905 r. niemożliwe stało się możliwe i władze dały zgodę na otwarcie stałego polskiego teatru. Posadę dyrektorki dostała zaledwie dwudziestoparoletnia, lecz już znana dobrze publiczności, Nuna (tak naprawdę Maria Antonina) Młodziejowska. A że fundusze były ograniczone i sponsorzy potrzebni, uprosiła matkę, by mogła wcześniej otrzymać przypadającą na nią część rodzinnej schedy. „Postanowiłam wszystko, co posiadam, oddać teatrowi wileńskiemu, a tym samym społeczeństwu polskiemu dać ostoję w walce o kulturę rodzimą”. Wileński zespół organizowała wspólnie z reżyserem, a wkrótce mężem, lwowianinem Bolesławem Szczurkiewiczem.

Uroczyste entrée

Pierwszy spektakl odbył się 17 października 1906 r. Pamiętający jeszcze „polskie czasy” teatr – jak ujęła to znana pisarka i publicystka Helena Romer-Ochenkowska: „Dziw, że się nie rozwalił od naporu publiczności”. Tego wieczoru dano „Mazepe” i „Pana Beneta”. Na początku po rozsunięciu kurtyny ukazali się wszyscy artyści w kostiumach z obu sztuk: kontusze, delie, robrony, fraki na tle dekoracji z pierwszego aktu tragedii Słowackiego. W głębi stała Nuna Młodziejowska w stroju Amelii, wsparta na ramieniu Czesława Jankowskiego. Powitały ją gromkie oklaski, dostała wspaniały kosz kwiatów ze wstęgą z napisem „Witajcie” i datą. Potem odczytano depeche gratulacyjne od wszystkich ważniejszych teatrów, a także od Elizy Orzeszkowej, która nie mogła przybyć z Grodna. Po zakończonym przedstawieniu brawa długo nie milkły. Późniejszy raut miał miejsce w tej samej sali, gdzie – jak pisze Helena Romer-Ochenkowska – przez wiele lat wisił napis „Waspreszczajetsia gawarit’ pa polski”.

Pani dyrektor walczy

Tak rozpoczął się sezon teatralny 1906/1907. Już w grudniu wystawiono „Dziady”. Po carskim ukazie z 1905 r. zrobiło się swobodniej, ale nie na tyle, żeby pokazywać taką sztukę, więc aby uzyskać pozwolenie, oficjalnie zgłoszone zostały dozwolone „Widma” Moniuszki, tylko bez muzyki, bo „w teatrze nie ma śpiewaków”.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (3X)

Mickiewicz figurował jako autor libretta. Pokazano wszystkie sceny do „Widzenia księdza Piotra”, bez tej u Nowosilcowa. W scenie więziennej artyści nucili bez słów „Nie dbam, jaka spadnie kara” i wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Guślarza grał Bolesław Szczurkiewicz. Spektakl powtórzono ponad 20 razy.

Repertuar w ogóle był ambitny. Szekspir, Fredro, Przybyszewski, Schiller, Feliński, Słowacki, Ibsen. W listopadzie 1908 r. po raz pierwszy Wilno zobaczyło „Wesele”. Czesław Jankowski i Bolesław Szczurkiewicz wmówili władzom, że sztuka nie tylko nie namawia do buntu, ale wręcz przeciwnie, zniechęca. Cenzura dała zgodę na dwie kopy na scenie, ale miały być osadzone jak do košby, a nie do walki. Nuna zagrała Rachelę, jej mąż Chochola.

Przedstawienia odbywały się w dwóch miejscach: w Teatrze Miejskim w dawnym ratuszu i w Sali Miejskiej przy ul. Ostrobramskiej. W obu występował też zespół rosyjski i za każdym razem trzeba było wnosić i wynosić dekoracje, składowane potem w mieszkaniu pani dyrektor.

Wołynianka wyasygnowała kilkanaście tysięcy i barak w ogrodzie Bernardyńskim przebudowano na teatr letni. W ten sposób uzyskano własny gmach. Prasa pisała: „Gorąca patriotka zrobiła ze swej kieszeni dar Wilnu”. W maju 1907 r. wystawiono tam „Lillę Wenedę” z dekoracjami Ferdynanda Ruszczyca. Teatr wileński wyjeżdżał także na gościnne występy do Kowna, Grodna i Mińska.

Łaska publiczności na pstrym koniu jeździ

Państwo Szczurkiewiczowie pobrali się w 1908 r. i odtąd teatr prowadzili wspólnie. Niestety publiczność, początkowo wzruszona i traktująca spektakle jak narodowe święta, odpłynęła po tym pierwszym zapale, spowodowanym zapewne także względami politycznymi. Wiele osób wolało lżejszą muzę. Poważny, ambitny teatr wciąż był w powszechnej świadomości czymś odświętnym, nie zaś codziennym. Do tego magistrat odmówił obniżenia dopłaty za przedstawienia w Sali Miejskiej, tłumacząc to tym, że inne narodowości żyjące w Wilnie mogłyby mieć pretensje o wydawanie pieniędzy ze wspólnej kasy na polską kulturę. Nie chcąc obniżyć poziomu repertuaru ani klasy spektakli, dyrektorka w rezultacie dopłacała z własnych środków i ponosiła ogromne koszty.

Nie pomogło stworzenie w 1908 r. Towarzystwa Popierania Polskiej Sztuki Scenicznej, pieniędzy nadal było za mało. Artykuły w prasie i apele do wilnian też niewiele dały. Literat i dziennikarz Benedykt Hertz napisał: „Daleko posunięta ofiarność p. Nuny Młodziejowskiej zdemoralizowała w pewnym stopniu społeczeństwo. Co łatwo przychodzi, tego się nie ceni”. Wobec coraz większych deficytów państwo Szczurkiewiczowie musieli w końcu zrezygnować. Wystawiono pożegnalne „Wesele”, a słowa „Miałeś chacie złoty róg”, jak pisze Helena Romer-Ochenkowska, zabrzmiały w tym momencie „dziwnie dotkliwie”. Na koniec spektaklu odczytano adres skierowany do dyrektorki, w którym padły słowa: „Ogół nasz nie zapomni Ci nigdy, iżś powróciła mu polski teatr!”. I jeszcze na pożegnanie dyrektorostwo otrzymali wykuty w srebrze model Teatru w Bernardynce, według rysunku Ruszczyca.

W sumie do 10 lutego 1910 r. dano w Wilnie i na wyjazdach 834 przedstawienia. Były w tym: „Eros i Psyche”, „Sen srebrny Salomei”, „Faust”, „Wróg ludu”, „Hamlet”, „Otello”, „Król Lear”, „Skąpiec”, „Balladyna” – oraz wiele innych dramatów polskich i obcych. Nuna wracała potem jeszcze do Wilna. Przyjechali z mężem na jubileusz ćwierćwiecza teatru w 1932 r. i wystąpili w „Zemście”. On jako Rejent Milczek, ona jako Podstolina. Na gościnne występy przybyła też w 1937 r. Zagrała m.in. w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru”. Pamiętano ją dobrze, wspominano ciepło i nazywano wskrzesicielką sceny polskiej w Wilnie, jej „pierwszą budzicielką, inicjatorką, fundatorką i dyrektorką”. Jednak rok później odrzucono jej kandydaturę na dyrektora Teatru Miejskiego.

Z Wilna do Wielkopolski

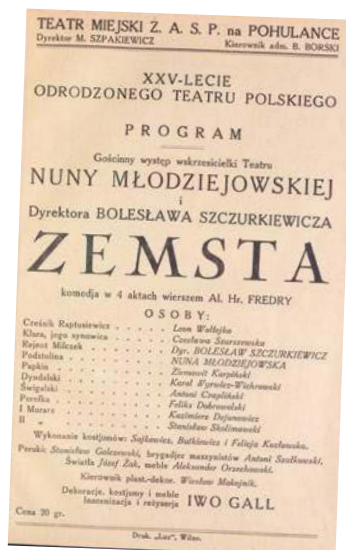
Po wyjeździe z Wilna Nuna Młodziejowska występowała w Krakowie i Poznaniu. Od 1912 r. oboje z mężem objęli dyrekcję w poznańskim Teatrze Polskim. Podnieśli poziom repertuaru, wprowadzili stałą reżyserię. Prasa nie mogła się nachwalić.

Pierwsza wojna zastała ich na wakacjach na Wołyniu i dopiero w kwietniu 1918 r. najpierw wrócił mąż. Przy okazji tej wiadomości w prasie pojawiła się informacja, że powrót Nuny Młodziejowskiej-Szczurkiewiczowej, „bawiącej obecnie we Lwowie, nastąpi za dziesięć-czternaście dni, po załatwieniu formalności paszportowych”. Aż można było napisać: „Teatr nasz odzyskał wreszcie swego ojca, [...] skończył się wreszcie smutny aż nadto okres sieroctwa sceny poznańskiej. [...] Powrotu jego, jak i dzielnej towarzyszyki jego, p. Nuny Młodziejowskiej, oczekiwaliśmy od dawna z upragnieniem, [...] czasy dyrekcji obojga przed wojną to najpiękniejsza karta w historii teatru poznańskiego”. Na inauguracyjne przedstawienie wybrano „Pannę mężatkę” Józefa Korzeniowskiego. Był to wielki sukces artystyczny.

Nuna Młodziejowska cieszyła się dużą sympatią publiczności jako aktorka. Pracowita i solidna, była duszą teatru. Pierwsza przychodziła do pracy i ostatnia wychodziła. Choć tym razem mąż był formalnie dyrektorem, mówiło się o dyrektorskiej parze, o Szczurkiewiczach. Razem tworzyli zgodny tandem. Pisano o nich: „Dyrektorka reprezentowała polot i fantazję, a dyrektor Szczurkiewicz – zdrowy rozsądek, liczący się z prozaicznymi, materialnymi, ale i nieuniknionymi postulatami teatru”.

Bolesław Szczurkiewicz pełnił funkcję do 1933 r. Odszedł ze względu na stan zdrowia i niebawem zmarł. Po II wojnie światowej Nuna Młodziejowska mieszkała w Poznaniu, występowała, wykładała w Studium Dramatycznym. Uczniowie zapamiętali ją jako staroświecką wytworną damę w żabotach i pelerynkach, mówiącą z kresowym akcentem. W 1954 r. obchodziła 50-lecie pracy scenicznej, co w prasie fachowej ujęto w stylu epoki: „Rzetelnie zarobiła sobie na miano – przodownicy”.

Zmarła 23 stycznia 1958 r. w Poznaniu. Zawsze z rozrzewnieniem wspominała Wilno.



PO ŚWIĘTACH BOŻEGO
NARODZENIA PRZYCHODZI
KARNAWAŁ – OKRES
GŁĘBOKIEJ RADOŚCI
Z POWODU PRZYJŚCIA NA
ŚWIAT PANA JEZUSA. CHĘTNIE
JĄ WYRAŻAMY, BAWIĄC SIĘ
NA HUCZNYCH BALACH LUB
KAMERALNYCH PRZYJĘCIACH.
TAK PRZYNAJMNIEJ BYŁO
W EPOCE PRZEDPANDEMICZNEJ



A OD WÓDKI ROZUM KRÓTKI...



**KRZYSZTOF
ŻARYN**

Choć istnieją teorie, że można się dobrze bawić bez alkoholu, to wielu z nas nie do końca w to wierzy. I jak ograniczone spożycie napojów wysokokowych w trakcie specjalnych okazji nie jest problemem, tak zwiększanie częstotliwości korzystania z tej używki może się wymykać spod kontroli. Alkoholizm jest jednostką chorobową, która się rozwija, gdy z tą kontrolą coraz trudniej. Według definicji jest to fizyczne i psychiczne uzależnienie od środka narkotycznego, jakim jest alkohol. Podłożem tej dolegliwości może być chęć doznania utraty świadomości lub uniknięcia złego samopoczucia wynikającego z braku czy zaprzestania spożycia środków odurzających. Choć wydawać by się mogło, że jest to choroba cywilizacyjna

współczesności, to okazuje się, że odnajdujemy jej załazki już w zamierzchłych czasach.

I w starożytności byli alkoholicy

Historie o powstawaniu alkoholu i odkrywaniu jego działania na organizm człowieka już kilkakrotnie były opisywane w tym dziale, m.in. jako opowieści o poznawaniu walorów piwa i wina przez ludzi starożytnych. Niestety można uznać, że wzrost problemów alkoholowych jest mocno skorelowany wraz z jego dostępnością. Pierwsze wzmianki o konieczności ograniczania spożywania alkoholu możemy bowiem odnaleźć w zapiskach starożytnego Egiptu. W XV w. przed narodzeniem Chrystusa powstał poradnik dotyczący dobrych manier, w którym zwrócono uwagę, że nadmierne spożywanie alkoholu nie wpisuje się w konwenanse obowiązujące w społeczeństwie. Zalecano ograniczenie tego typu zachowań.

Mezopotamia, a potem starożytny Egipt słynęły z produkcji piwa. Między Eufratem

a Tygrysem trunek ten stawał się tak popularny, że karą za wyprodukowanie złego piwa i próby jego sprzedaży było utopienie nieudolnego producenta w inkryminowanym wytworze. Można żartobliwie uznać, że to pierwsze ofiary przemysłu alkoholowego. Im dalej w starożytność, tym większą popularnością cieszyło się wino. Grecy oraz Rzymianie zdecydowanie częściej oddawali się uciechom po spożyciu sfermentowanego soku winogronowego. Choć w kraju za Peloponezem na pewno nie brakowało incydentów, które można by opisać mianem przypadków alkoholizmu, to jednak Rzymianie mieli większe skłonności do przesady. W I wieku przed narodzeniem Chrystusa pisał o tym nawet ówczesny poeta Lukrecjusz, który w nadmiernym spożyciu wina upatrywał główny problem elit cesarstwa. O ile aktorzy czy pisarze nie byli aż tak monitorowani przez społeczeństwo, o tyle politycy nierzadko musieli się tłumaczyć ze swych wybryków. Między innymi Marek Antoniusz musiał wystąpić publicznie, omawiając swoje skłonności alkoholowe. Wynikało to ze złej sławy, jaką owiana była

jego persona. Tak opisywał go Plutarch z Cheronei: „Antoniusz był – jak podają – w młodości bardzo przystojny. Ale przyjaźń i bliższe stosunki z [Gajuszem Skryboniuszem] Kurionem zawisły nad nim jakby jakieś fatum. Kurion i sam oddawał się bez przyzwyczajenia różnym przyjemnościom, i Antoniusza, by go bardziej zepsuć, wciągnął w pijaństwo, w stosunki z kobietami, w nieposkromioną rozrzutność”.

Winny spirytus

Próżno myśleć, że wraz z upadkiem Cesarstwa Rzymskiego upadły ludzkie słabości. W średniowieczu upodobania do spożywania napojów wysokowych rozwijały się w najlepsze. W 800 r. powstał pierwszy dekret zakazujący spożywania napojów „z procentami”. Wiązał się on z nadmiernym upajaniem się sędziów państwa Franków, którzy coraz częściej podejmowali niezrozumiałe dla Karola Wielkiego decyzje. I w ten sposób władca postanowił ukrócić nowo powstały problem wśród tej elity. Głównym producentem wina i piwa były klasztory. Alkohol stawał się z jednej strony celem, a z drugiej sposobem zarabiania pieniędzy. Rozpowszechnienie tego wynalazku znacznie przyspieszyło.

Jednak to nie w starożytności ani średniowieczu problem alkoholowy stał się powszechny. Mimo wszystko na spożywanie dużych ilości wina czy piwa pozwolić mogli sobie tylko najbogatsi. A są to napoje uznawane za niskoalkoholowe. Sytuacja zmieniła się w momencie rozpowszechnienia procesu destylacji, czyli gdy do obrotu wprowadzono mocniejsze trunki. Proces odparowywania alkoholu był znany już starożytnym, ale dopiero przełom średniowiecza i renesansu przyniósł rewolucję w tej dziedzinie. Ludzie zmagali się z problemem częstego psucia się napojów niskoalkoholowych. Gdy się zorientowano, że wyższa moc specyfiku równa się dłuższej przydatności do spożycia, zaczęto dolewać spirytus do wina. I w ten sposób delikatne popijanie wina do posiłku zaczęło się zamieniać w regularne libacje alkoholowe. Problem szybko zauważono. W 1517 r. powstało pierwsze stowarzyszenie zrzeszające ludzi niepijących alkoholu. Marcin Luter z kolei w swoich kazaniach alkohol określał mianem nienasyconego diabła. Próbowano nawet łagodzić ten zły obyczaj. Powstawały organizacje nagradzające ludzi nieupijających się wódką. Nie trzeba było być nawet abs-

tynentem. Wystarczyło pić tylko wino lub piwo, a stronić od ciężkiej artylerii. To pokazuje, jakim problemem dla społeczeństwa okazał się przedestylowany alkohol. Pojawiły się pierwsze kary pieniężne i podatki od pijaństwa.

Przeciwnicy się organizują

Co ciekawe, na terenach Rzeczypospolitej trudno było odnaleźć podobne tendencje, które miały zniechęcać konsumenta do picia. Co więcej, na proszonych imprezach gospodarz za sprawę honoru uważał upicie jak największej liczby gości. Zmiana stosunku do spożycia alkoholu w Polsce wiąże się z panowaniem Stanisława Augusta Poniatowskiego. Był to władca, który nie ukrywał swojej niechęci do napojów wysokowych. Po rozbiorach Polacy na różnych terenach również mieli swój

z kleszczy alkoholizmu, lecz pozostawić go potem bez oparcia i wskazówek, jest podobnie, jak wypuścić skazańca z więzienia, gdzie przebywał dłuższy czas za wstręt do pracy, ale nie dać mu zaraz odpowiedniego zatrudnienia!”. Po tym poetyckim porównaniu autor przedstawił sposoby na produkcję win bezalkoholowych, czyli po prostu soków i syropów wyrabianych z różnych surowców owocowych. Co ciekawe, sposób wytwarzania tych alternatyw dla wina jest zbliżony do produkcji samego winowajcy, z tą różnicą, że na końcowym etapie zamiast dodatku drożdży należy poddać sok działaniu wysokiej temperatury, by się nam nie zepsuł, czyli nie przefermentował. Czy taka alternatywa może być skuteczna w walce z napojami alkoholowymi, wie każdy kierowca popijający soczek na zakrapianej imprezie.

Niestety mimo rozwijającej się wiedzy



„Scena towarzyska (Alegoria pięciu zmysłów)”, Willem van Herp

wkład w walkę z rozpowszechniającą się epidemią nowego uzależnienia. Pierwszą rozprawę na ten temat na terenach Europy Wschodniej popełnili trzej Polacy: Jakub Szymkiewicz, Jędrzej Śniadecki oraz Fryderyk Hechel. Później, bo w 1849 r., szwedzki lekarz Markus Huss wprowadził pojęcie chronicznego zespołu alkoholowego, czyli alkoholizmu. W przededniu powstania styczniowego propagowano w Polsce odnowę moralną związaną z krucjatą trzeźwości.

Wiedząc już o postępującym problemie i mogąc nadać mu imię, łatwiej było walczyć z wrogiem. Na początku XX w. w „Przewodniku zdrowia” wydanym w Toruniu przez Augusta Czarnkowskiego ukazały się porady, jak zastąpić napoje alkoholowe. Taka substytucja i racjonalność jej wprowadzenia zostały od razu na wstępie uargumentowane: „Wyrwać kogoś

na temat terapii uzależnień oraz spustoszenia, jakie nadużywanie alkoholu powoduje w naszym organizmie, problem alkoholizmu wcale się nie zmniejsza. W Polsce w 2016 r. grupa stanowiąca 2,2 proc. osób dorosłych była zdiagnozowana jako uzależniona od spożycia alkoholu. To, co jest ważne, to zauważenie problemu i niebagatelizowanie go. A często dzieje się odwrotnie – uzależnieni otaczają się ludźmi, którzy umacniają ich w przekonaniu, że wszystko jest w porządku. Choroba ta ma wymiar zarówno fizyczny, jak i psychologiczny oraz społeczny. To, co jest ważne, to obserwacja i reagowanie na symptomy, które widzimy u bliskich. Dostępnych jest wiele organizacji i ośrodków, które oferują specjalistyczną pomoc dla osób z chorobą alkoholową. Są to: wspólnota anonimowych alkoholików, kluby abstynenta i wiele ośrodków terapii uzależnień. ■

MACCHI MC.202, CZYLI GODNY KONKURENT

WŁOSKI MYŚLIWIEC MACCHI
MC.202 W LATACH 1941-1942
DORÓWNYWAŁ NAJLEPSZYM
ALIANCKIM MASZYNOM



**KACPER
GROCHOCKI**

Wywodząca się z przemysłu samochodowego włoska firma Macchi pierwsze kroki w lotniczym biznesie stawiała w kooperacji z francuskimi zakładami Nieuport. W czasie I wojny światowej produkowała na licencji samoloty Nieuport Type 11. Po wojnie przyszedł czas na usamodzielnienie, a niszą, którą z sukcesami zagospodarowała Aeronautica Macchi, były wodoloty i latające łodzie. Z czasem jednak okazało się to niewystarczające do zapewnienia firmie bytu.

Aby przetrwać, konieczny był powrót na większą skalę do zamówień wojskowych. W 1935 r. zespół pod przewodnictwem M. Castoldiego zaprojektował samolot myśliwski w układzie dolnopłata o metalowej konstrukcji, chowanym podwoziu i zakrytej kabinie – typowy nowoczesny myśliwiec tamtego okresu. Niedługo później armia włoska rozpoczęła tzw. plan R, polegający na przebrojeniu i modernizacji lotnictwa. W 1936 r., po modyfikacjach dostosowujących go do wymagań wojska, projekt Castoldiego i firmy Macchi został zaproponowany Regia Aeronautica (Królewskim Siłom Powietrznym). Ostatecznie, w 1938 r., samolot pod oznaczeniem MC.200 Sa-

etta (Błyskawica) został zaakceptowany przez armię i skierowany do produkcji, podobnie stało się z główną konstrukcją konkurencji – Fiatem G50.

Mimo że zarówno MC.200, jak i Fiat G50 okazały się udanymi projektami, już w 1939 r. rozpoczęto poszukiwania ich następców, a wybuch wojny dodatkowo przyspieszył te działania. Największym ograniczeniem Saetty był jej silnik – gwiazdowy Fiat A.74 o mocy 870 KM. Aby rozwinąć konstrukcję, należało wymienić jednostkę napędową na mocniejszą. Jednak włoskie prace nad bardziej wydajnym silnikiem gwiazdowym, podobnie jak w przypadku silników rządowych, nie przynosiły rezultatów. Postanowiono więc skorzystać z osiągnięć sojusznika – w początkach 1940 r. zakupiono z Niemiec rządowe silniki Daimler-Benz DB601A-1 o mocy 1175 KM oraz licencję na ich produkcję w zakładach Alfa Romeo. Decyzja okazała się słuszną i w sierpniu tego samego roku oblatany został prototyp Macchi MC.202 Folgore (Piorun).

Nowa konstrukcja bazowała na modelu MC.200, który poprawiono i dostosowano do instalacji silników rządowych poprzez przekonstruowanie przedniej części kadłuba. Produkcja seryjna rozpoczęła się w maju 1941 r., a łącznie powstało ok. 1,1 tys. egz. Folgore był dolnopłatem o metalowej konstrukcji z chowanym podwoziem. Jego uzbrojenie stanowiły 2 nkm-y kal. 12,7 mm montowane w kadłubie (w VI serii produkcyjnej uzupełnione o 2 km-y kal. 7,7 mm w skrzydłach). Wspomniany silnik Daimler-Benz produkowany jako Alfa Romeo

RA 1000 R.C 41-I pozwalał na prędkość maksymalną rzędu 600 km/h na pułapie 5 600 m.

Debiut bojowy MC.202 przeszły we wrześniu 1941 r. nad Maltą. Głównym teatrem ich działań była Afryka Północna, a niewielka ich liczba trafiła również na front wschodni. Po inwazji aliantów na Włochy Folgore brały udział w obronie Italii. Klęska Mussoliniego sprawiła, że część tych maszyn trafiła w ręce sprzymierzonych, a część w ręce Niemców i marionetkowej Włoskiej Republiki Socjalnej. Po obydwu stronach barykady zostały z czasem przesunięte z jednostek liniowych do szkolenia.

MC.202 został jeszcze udoskonalony poprzez wykorzystanie mocniejszego silnika i dozbrojenie w działka kal. 20 mm – w ten sposób powstał MC.205 Veltro (Chart), lecz jego późne wejście do produkcji i niewielka liczba (ok. 260) powstałych egzemplarzy nie mogły odmienić losów walk powietrznych w rejonie Morza Śródziemnego.

MC.202 Folgore był jednym z najlepszych włoskich myśliwców. W momencie wejścia do służby dorównywał pod względem osiągnięć ówczesnym brytyjskim Spitfire'om, a przewyższał Hurricane'y i amerykańskie Tomahawki. Odstawał jednak od przeciwników mocno pod względem uzbrojenia, nie był też konstrukcją najbardziej odporną na uszkodzenia. Ze względu na niedostatki siły ognia trudniej było mu zwalczać wrogie bombowce, jednak był groźny dla myśliwców, dopóki nie pojawiły się nowe Mustangi, Thunderbolty czy ulepszone Spitfire'y.

NADZIEJA W LILIJKĘ ZBROJNA



ARTUR
CIEŚLIK

Harcerska lilijka, tak jak symbol oznaczający północ na średniowiecznych kompasach, wyznaczać ma właściwą drogę. Polskie dzieci, które spletem zdarzeń po sowieckiej agresji na Polskę znalazły się w sowieckich sierocińcach, ratowane były w każdy możliwy sposób. Jedną z inicjatyw, które przyniosły pożądany skutek, było przewiezienie ich do Indii. Po trudnych rozmowach uzyskano zgodę Stalina i natychmiast przystąpiono do ewakuacji.

Pierwsza grupa dzieci znalazła się w Indiach już w marcu 1942 r. Mimo że tylko dwoje spośród przybyłej do Indii młodzieży miało złożone przyrzeczenie harcerskie, prawie z marszu utworzono pierwszy zastęp, który przyjął nazwę „Orły”. Komenda ZHP na Wschodzie zorganizowała trzy hufce harcerskie: w Jamnagar, Valivade i Karaczi. Najliczniejszy hufiec w Valivade liczył w kwietniu 1945 r. 900 harcerek i harcerzy.

Harcerstwo stało się obok szkoły i kościoła trzecim najważniejszym filarem społeczności polskiej w Indiach. Rozwijano je energicznie nie tylko po to, by utrzymać niespożytą energię młodzieży w moresie, lecz również, by rozwijać ducha patriotyzmu. Szczęśliwie dla sprawy w Indiach przebywał harcmistrz Bronisław Pancewicz, który podjął trud opieki nad starszą młodzieżą. Opierając się na jeszcze przedwojennym doświadczeniu, zbudował struktury jednej z gałęzi ZHP w Indiach. Chłopcy i dziewczęta w wieku ponad 15 lat, czyli „Skauci” i „Wędrowniczki”, przyjęli zielone naramienniki z trzema płomieniami oznaczającymi trzy kierunki rozwoju: pracę nad sobą, poszukiwanie miejsca w społeczeństwie oraz służbę. Rozwój przebie-

gał etapami wyznaczanymi przez specjalności: samarytanin, kuchmistrz, sygnalista, biuralista, pionier i topograf. Składały się one na grupę tzw. specjalności etatowych i dążono, by w każdej drużynie były dwie lub trzy osoby z każdą z nich. Zorganizowana w ten sposób drużyna mogła być samowystarczalna nie tylko na obozach wędrownych, ale również, a może przede wszystkim, na wypadek klęsk żywiołowych i wojny.

Specjalności harcerze zdobywali w terenie, gdzie przeprowadzane były egzaminy teoretyczne i praktyczne. Pomysłem Peszkowskiego były także zbiórki organizowane z zaskoczenia. Na wezwanie członkowie drużyny stawiali się z plecakami, w pełnej gotowości do wymarszu. Ćwiczenia często odbywały się nocą. Były również podchody i ognisko, bo przecież nie samym żelaznym porządkiem człowiek żyje. Na patrolach harcerze przeprowadzali udawane bitwy z Niemcami, jedna grupa np. broń przejęcia przez drogę, druga starała się pokonać zaporę i przejść tzw. zieloną granicę. Chłopcy ćwiczyli taktykę partyzancką, a dziewczęta zapoznawały się z elementami służby żołnierskiej, trenując strzelanie z karabinów powtarzalnych.

ARCHIWUM
IPN
SEKCYJA OPRACOWYWANIA
DOKUMENTACJI
AUDIOWIZUALNEJ

Chłopcy i dziewczęta, którzy ukończyli szkołę i osiągnęli wiek dorosły, regularnie opuszczali polskie osiedla. Dawni harcerze stawali się żołnierzami polskich sił zbrojnych na różnych arenach wojny, ich koleżanki zajmowały miejsce przy szpitalnych łóżkach, w biurach polskiej administracji cywilnej i wojskowej, służyły czynnie w Pomocniczej Służbie Kobiet – legendarnych „Pestkach”.

Likwidacja polskich osiedli w Indiach nie zakończyła misji harcerstwa. Nadal wspierało ono ducha i nadzieję Polaków na wolną ojczyznę.

Harc mistrz Bronisław
Pancewicz ps. Samotny Wilk
szkoli harcerki w strzelaniu
z karabinu powtarzalnego



Ruch



ANTONI
DUDEK

W dziejach opozycji politycznej w PRL organizacja Ruch zajmuje szczególne miejsce. Stanowiła bowiem najpoważniejszą próbę stworzenia konspiracyjnej organizacji opozycyjnej w epoce rządów Władysława Gomułki, gdy system polityczny PRL wszedł w fazę określaną niekiedy jako mała stabilizacja. Piotr Byszewski odtwarzał jej dzieje przez wiele lat, publikując przed laty obszerny tom dokumentów na temat Ruchu. Teraz zaś opublikował całościową monografię poświęconą organizacji, mającej osobną pozycję na mapie opozycji politycznej epoki środkowego PRL.

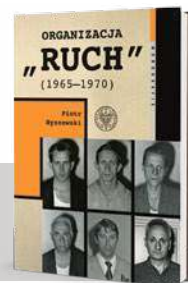
Do najciekawszych fragmentów książki należy opis najgłośniejszej, choć ostatecznie niezrealizowanej wskutek aresztowań akcji Ruchu, czyli inicjatywy podpalenia Muzeum Lenina w Poroninie. Akcji, której podjęcie Byszewski ocenia krytycznie, trafnie uznając, że ułatwiła ona przypisanie Ruchowi przez SB statusu organizacji terrorystycznej. Zarazem jednak przekonująco wykazał, dlaczego nawet przeciwny jej przeprowadzeniu nieformalny lider Ruchu, czyli Andrzej Czuma, nie zdołał jej zablokować.

Ważnym wątkiem książki jest też wskazanie, jak ukształtowane na początku śledztwa przekonanie kierownictwa MSW, że Ruch był mocno rozgałęzioną organizacją konspiracyjną o charakterze terrorystycznym, rzutowało na sposób jego prowadzenia, w tym m.in. na manipulowanie zawartością protokołów z przesłuchań w celu udowodnienia fikcyjnych zarzutów. Dobrym przykładem była tu m.in. próba przypisania uczestnikom Ruchu planów podpalenia Komitetu Łódzkiego PZPR czy willi należących do literatów wspierających władze PRL, a także różnych napadów

rabunkowych. Równolegle z dążeniem do nadania Ruchowi charakteru organizacji quasi-kryminalnej starano się wykazać, że jego przywódcy posiadali rozgałęzione kontakty międzynarodowe, wiążące ich z głównymi ośrodkami tzw. dywersji ideologicznej, a nawet zachodnimi ambasadami.

Aresztowani w połowie 1970 r. przywódcy Ruchu skorzystali na upadku Gomułki pół roku później. Byszewski klarownie pokazał, jak zmiana kierownictwa PZPR przyczyniła się do skrócenia ławy oskarżonych, a także złagodzenia wyroków w procesach działaczy Ruchu. Z kolei późniejsze protesty, listy i interwencje w obronie uwięzionych przyczyniły się do przedterminowego zwolnienia wszystkich skazanych w 1974 r. ■

Piotr Byszewski,
„Organizacja »Ruch«
(1965–1970)”, IPN,
Warszawa 2021



Dziadek i śląskie powstania



RYSZARD
CZARNECKI

Dziadek Henryk patrzy na mnie ze starego zdjęcia zamieszczonego w książce jakby zamyślony. Sumiasty wąs, staromodny przedziałek i także surdut. Pod spodem afisz z informacją, że teatr dziadka – Teatr Miejski w Katowicach (Dyrekcja: Czarnecki) wystawia „Halkę” w gościnnym wykonaniu teatru z Sosnowca.

Był to czas powstań śląskich i akcji plebiscytowej. Henryk Karol Czarnecki zgłosił się do władz powstańczych, żeby walczyć (rocznik 1879). Ale akcją plebiscytową kierowali mądrzy ludzie: zamiast 40-latk z karabinem woleli, żeby dziadek Henryk objeżdżał Śląsk. Także Opolski. Jeździł zatem ze swoim zespo-

łem, dając bardzo często pierwsze w historii – sztuki, operetki, opery w języku polskim (z premierą „Halki” w Katowicach na czele).

Zdjęcie dziadka jest w książce „Sportowcy dla niepodległej. Opowieść na rok powstań śląskich”. Książka autorek z Krakowa: Katarzyny Janiszewskiej, Magdaleny Stokłosy i Aleksandry Wójcik, pokazuje coś, co określiłbym (prawa autorskie zastrzeżone!) jako wszechpolski (sic!) charakter śląskich powstań, bo przecież walczyli w nich, ale też przyjeżdżali krzepić ducha u rodaków od kilku wieków kultywujących polskość poza granicami Rzplitej – ludzie ze Lwowa i z Warszawy, Krakowa i Poznania.

Każdy z dziesięciu życiorysów sportowców nadaje się na fabułę filmu. Kolarz, „który przechrzył Niemców”, Rudolf Wacek; wioślarz, hokeista, a potem prokurator – Lucjan Kulej; powstaniec szermierz, a potem olimpijczyk – Teodor

Zaczyk; powstańczy kurier i motocyklista – Wincenty Karuga; dowódca powstańczej grupy dywersyjnej (był w niej też Stanisław Baczyński, ojciec poety Krzysztofa Kamila, czy Dobiesław Damiński, nestor aktorskiego rodu); później lotnik i znany pisarz Janusz Meissner; wioślarz i lekarz – Józef Mazurek; świetny piłkarz – Henryk Reyman; wychowawca młodzieży i działacz sportowy – Alojzy Budniok; narciarz, legionista i powstaniec – Artur Kasprzyk. Cześć i chwała bohaterom!

Na okładce pozycji wydanej – nie ukrywam, że dzięki mojemu pomysłowi i z mojej inspiracji – jest fotografia czerwonego proporca z białym orłem z koroną i krzyżem oraz napisem „Tobie Polsko”.

A dziadek Henryk Karol Czarnecki, dyrektor teatrów m.in. w Kielcach, Sosnowcu, Katowicach, Częstochowie czy Grudziądzu, zmarł w 1947 r., po pobiciu podczas przesłuchania przez UB. Urodziłem się 16 lat po jego śmierci... ■

0 dobrych rządach



**ELŻBIETA
BRZOWSKA**

Według znanej anegdoty, zapytany przez prezydenta USA Nixona o znaczenie rewolucji francuskiej przywódca komunistycznych Chin Zhou Enlai miał odpowiedzieć: „Za wcześniej, by oceniać”. Sценка ta ma obrazować podejście Chińczyków do czasu i w istocie niespieszne przyswajanie oraz trwanie – do burzliwych przemian w XX w. – wydają się ich znakiem firmowym. Mencjusz – „drugi Mędrzec” (z lepiej znanym numerem jeden, czyli Konfucjuszem) może tu służyć za wyborny przykład.

Z dość skąpych wiadomości biograficznych wiemy, że żyjący w IV w. p.n.e. (czyli w Okresie Walczących Państw) uczony pobierał nauki od tworzących bezpośrednią linię przekazu uczniów Konfucjusza.

Zdobywszy gruntowną wiedzę o Dao, przebywał kolejno na kilku dworach, poszukując władcy, który zechce wcielić w życie otrzymane nauki. Czasy mu jednak nie sprzyjały, gdyż na całym świecie za godne zalecenia uznawano ataki i wojny, Mencjusz zaś nauczał o cnotach. Wycofał się zatem z życia publicznego i wraz z uczniami zajął studiowaniem myśli Konfucjusza. Tak powstała „Mengzi” – księga Mencjusza. Składająca się raptem z siedmiu rozdziałów, zyskała tak wysoki status, że w XII w. została włączona do kanonu dzieł filozofii konfucjańskiej – Czeroksięgu, i przez kolejne niemal tysiąclecie była podstawą kształcenia urzędników cesarskich. Bez przesady można też stwierdzić, że promieniując z Chin, kształtowała umysłowość całej Azji Wschodniej.

Potem cesarstwo upadło, młoda republika chińska musiała się zmierzyć z wojną – światową i domową – a z tej zwycięsko wyszli komuniści Mao Zedonga. I czas zaczął płynąć zupełnie inaczej. Nowy przywódca zapragnął stworzyć nowego człowieka, wydał wojnę Konfucjuszowi

i całej tradycji, co przyniosło skutki tak opłakane, że po śmierci Mao kierownictwo partii uznało „duchową próżnię” narodu za pewien problem. Postanowiono zatem odkurzyć i podmalować do swych celów konfucjanizm. Za czytanie klasyków nie grozi już zatem żadna kara, ale ich uniwersalne przesłanie zachowuje drażliwy potencjał. Słowem kluczem pism Mencjusza jest bowiem Dao. W wymiarze indywidualnym (droga moralnego postępowania) oraz jako sztuka dobrego rządzenia państwem. Dobre rządy to z kolei zapewnienie ludowi spokojnego i bezpiecznego życia, co możliwe jest dopiero wtedy, gdy władca pielęgnuje cnoty i oddziałuje na poddanych własnym przykładem. A to niezmiernie trudna sztuka.



„Mencjusz z wybranymi komentarzami”, tłum. Małgorzata Religa, PIW 2021

Pobożne życzenie



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
-DEC**

Czym może się zakończyć mecz piłkarski? Odpowiedź wydaje się oczywista – zwycięstwem tej drużyny, która strzeli więcej goli. Ale w książce Michała Wójcika „Książęcy grobowiec, czyli Olaf i Lena na tropie” tak oczywiste to nie jest.

To druga część przygód bliźniaków, w której tym razem przenosimy się do średniowiecza. Książkę rozpoczyna bardzo plastyczny i dynamiczny opis przygotowań do bitwy pod Legnicą pomiędzy wojskami Henryka Pobożnego a Mongołami. Zamiast na pole bitewne trafiamy jednak na Psie Pole – nie to znane z kart kronik, ale na boisko szkolne. Na nim

właśnie mecz rozgrywają nauczyciele i uczniowie. Niefortunnie podczas rozgrywki nauczyciel historii profesor Brukwa dość boleśnie trafia nogą w hydrant, co wzbudza niekontrolowany wybuch śmiechu u Olafa. Ta reakcja ma swoje konsekwencje. Chłopiec nie jedzie bowiem na wyczekiwaną wycieczkę do Krakowa ze swoją klasą, tylko zostaje wysłany przez Brukwę do Wrocławia – na dodatek z klasą równoległą, do której chodzą głównie dziewczyny. Podczas wyjazdu ma znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego nagrobek bohatera bitwy pod Legnicą to pobożne życzenie średniowiecznych rzeźbiarzy.

Załamany Olaf wsiada do „dziewczyńskiego” autokaru i rusza w podróż. Nie zdaje sobie sprawy, jak niesamowita przygoda go czeka. Zaczyna się ona już od spotkania z charyzmatyczną siostrą zakonną – przewodniczką po kompleksie

klasztornym w Trzebnicy, która wprowadza Olafa w świat Piastów Śląskich i opowiada o kolejnych Henrykach pojawiających się w tej książce jak grzyby po deszczu. Podobnie jak spotkane w Trzebnicy i we Wrocławiu tajemnicze lajkoniki, które ostatecznie okazują się złodziejską szajką. I to za ich sprawą Olaf w końcu dołącza do siostry i swojej klasy zwiedzającej Kraków. A wszystko po to, by wreszcie wylądować na polu bitwy legnickiej. Czy tam właśnie Olaf znalazł odpowiedź na zadane przez historyka pytanie?

Nic więcej z fabuły nie zdradzę, ale szybkie zmiany akcji, wielu bohaterów, intrygująca zagadka kryminalna, a pomiędzy tym sporo faktów historycznych sprawiają, że książkę czyta się jednym tchem.



Michał Wójcik, „Książęcy grobowiec, czyli Olaf i Lena na tropie”, Wydawnictwo Druganoga, 2016, Wiek: 12+



„Czy konie mnie słyszą?”

Mnas jest biało” – powiedział przez telefon Michał Sanchenko, założyciel Grupy Łuczników Konnych AMM Archery. To nie była najlepsza wiadomość, ponieważ nie chcieliśmy uwiecznić ostatnich chwil życia Henryka II Pobożnego w zaspach śniegu, a zwłaszcza podczas zamieci.

Terminu sesji (dzień przed oddaniem magazynu do druku) nie mogliśmy przesunąć, więc bez wahania ruszyliśmy w podróż S8 do Białegostoku. Dwie godziny jazdy to był czas na przemyślenia z fotografem Andrzejem Wiktorem, jak ugryźć trudny temat dekapitacji księcia w niesprzyjających warunkach pogodowych. Przeglądając komórke, naszej rozmowie przysłuchiwał się w milczeniu Mongoł Lundendorj Altansagai, który miał zaszczytną rolę odcięcia głowy Henryka. Ponieważ losy ludzkie są pokrętne i niejednokrotnie zaskakujące, nasza trójka jednomyślnie doszła do wniosku, że praprapradziadek Lundena mógł kiedyś składać niezapowiedziane wizyty z kolegami na polskich ziemiach. Wracając do teraźniejszości, wzięliśmy pod uwagę dwa rozwiązania: pierwsze to odświeżenie planu, drugie – zdjęcia we wnętrzu. Plan B dawał pewien komfort psychiczny na wypadek śnieżycy, ale byliśmy dalecy od euforii, na terenie Podlaskiego Muzeum Kultury Ludowej nie było bowiem studia z profesjonalnym oświetleniem, lecz przepiękne chałupy, stodoły, spichlerze i wiatraki. Gdy dojechaliliśmy na miejsce, wiedzieliśmy, że w rachubę wchodzi już tylko plan B. Na szczęście po sąsiedztwie ze skansenem mieści się restauracja Folwark Nadawki,

do którego należy duży namiot bankietowy z drewnianą podłogą. To miejsce nadawało się idealnie do odtworzenia sceny dekapitacji księcia śląskiego, krakowskiego i wielkopolskiego podczas bitwy pod Legnicą. W rolę ofiary wcielił się Bohdan Włostowski, który ujął mnie przepiękną naturalną brodą. Dla pełnej charakterystyki władcy Joanna Wasilewska przygotowała dla niego piękną perukę. Pozostali rekonstruktorzy – Michał Sanchenko, Tomasz Kruszewski, Paweł Pniewski i wspomniany Lunden – wraz ze Szpakiem i z Przedzimkiem, końmi rasy huculskiej, stworzyli wrażenie potęgi mongolskiej armii. Nad wierzchowcami na planie panował nie byle kto, bo Ania Sokółska – złota medalistka w łucznictwie konnym, a srogich rysów naszym bohaterom nadała na co dzień pracująca w Operze i Filharmonii Podlaskiej charakterystyczna Paulina Ciborowska. Po sesji zasiedliśmy w karczmie Folwarku Nadawki, gdzie mogliśmy doświadczyć legendarnej podlaskiej gościnności i skosztować dań lokalnej kuchni.

Odkryciem dla mnie było, że inscenizacje historyczne to tylko mała część aktywności AMM Archery, która na co dzień na terenie skansenu prowadzi treningi z łucznictwa tradycyjnego, łucznictwa konnego i jazdy konnej. „Każdy, kto chce oderwać swoje dziecko od komputera czy komórki, powinien tutaj przyjechać i pokazać mu piękno tych sportów. To naprawdę działa!” – powiedział na pożegnanie wielokrotny medalista i wiceprezes Światowej Federacji Łucznictwa Konnego Michał Sanchenko. ■ **MICHAŁ KORSUN**



Lundendorj Altansagai z głową
Bohdana Włostowskiego



Bez kija nie podchodź,
czyli Paweł Pniewski



Szybki szkic



Paulina Ciborowska charakteryzuje



Ania Sokółska w akcji



Przed talentem Andrzeja Wiktora królowie kłękają



Michał Sanczenko pieszo...



...i konno



Tomek Kruszewski
też groźny



Przedzimek i Szpak na wypłacie



Kelnerki Magdalena
i Gabriela z Folwarku
Nadawki

OKOWY ŚW. PIOTRA

Rzym, Wieczne Miasto, kolebka europejskiej cywilizacji, metropolia szczycąca się historią dłuższą od naszej ery. Skarbnica zabytków sięgających czasów antycznych, miejsce, w którym niemożliwe jest podanie dokładnego terminu końca budowy ze względu na odkrywane przy każdym ruchu szpadla relikty przeszłości. Prawdziwy raj dla wszelkiej maści turystów – niezależnie od celu poszukiwań każdy znajdzie coś dla siebie – przeżycia religijne w Watykanie, rozrywka i niepowtarzalny klimat wąskich uliczek oraz niewielkich lokali na Zatybrzu, wspaniała architektura wyłaniająca się prawie zza każdego rogu, przebogate galerie sztuki i muzea (z najprawdziwszą perłą w ich koronie – Muzeami Watykańskimi) czy wypoczynek nad Morzem Tyrreńskim w pobliskiej Ostii.

Trudno zliczyć tygodnie potrzebne na smakowanie tego oceanu możliwości. Wycieczkowicze najczęściej kończą zwiedzanie, „odhaczając” bazylikę św. Piotra w Watykanie, fontannę di Trevi, Koloseum i na tym samym bilecie Forum Romanum, Hiszpańskie Schody i ewentualnie Kapitol. Nie wszyscy odwiedzają Muzea Watykańskie – wizyta w nich wymaga poświęcenia kilku godzin, a wejściówki trzeba kupić przez internet z przynajmniej kilkudniowym wyprzedzeniem. Naprawdę niewiele osób jest na tyle wytrwałych, by dotrzeć do usytuowanej trochę w ukryciu, acz stojącej niemal w cieniu rzucanym przez monumentalne Koloseum, bazyliki św. Piotra w Okowach – zwłaszcza że jej fasada wyglądem bardziej przypomina budynek miejskiego urzędu niż kościół z pięknym wnętrzem i dom cennej relikwii.

Po wkroczeniu do świątyni zostajemy niemal poprowadzeni przez dzielące ją na trzy nawy dwa rzędy wspaniałych doryckich kolumn – stojących niegdyś w jednej z greckich świątyń – w stronę przykrytego okazałym baldachimem ołtarza głównego. W znajdującej się w nim niszy, w złotym relikwiarzu z 1856 r., złożone są cudownie połączone łańcuchy św. Piotra.

**ANDRZEJ
SKWARCZYŃSKI**



Po ukrzyżowaniu Jezusa apostoł Piotr wraz z innymi jego uczniami nauczał i chrzczył wiernych w Jerozolimie. Za swą działalność w 44 r. został uwięziony przez Heroda Agryppę, wnuka Heroda Wielkiego, odpowiedzialnego za rzeź niewiniątek. W noc poprzedzającą proces i niechybną śmierć, wszak taki los z woli Heroda spotkał jego brata – Jakuba, Piotrowi śpiącemu w lochu pomiędzy dwoma strażnikami ukazał się anioł. Dzięki niemu krępujące apostoła łańcuchy opadły, strażę się nie zbudziły, a żelazna brama więzienia otworzyła się przed świętym sama. Nieznany z imienia setnik, przekonany o cudownym charakterze uwolnienia więźnia, zachował okowy i sam został chrześcijaninem. Po latach, gdy Kościół mógł już wyjść z katakumb, potomkowie setnika przekazali relikwie biskupowi Jerozolimy, by były one publicznie czczone.

Pielgrzymka do Ziemi Świętej – odbyta w połowie V w. przez cesarzową Eudokię, żonę cesarza bizantyjskiego Teodozjusza II – zaowocowała przeniesieniem kajdan do Rzymu. Patriarcha jerozolimski Juwenalis podarował relikwie monarchini, która przesłała je swojej córce

**Relikwiarz
z cudownie
połączonymi
okowami
św. Piotra**



– Licynii Eudoksji, żonie imperatora rzymskiego Walentyniana III. Ona z kolei przekazała łańcuchy ówczesnemu papieżowi Leonowi I Wielkiemu.

W Rzymie znajdowały się również okowy, którymi św. Piotr był przykuty do słupa w tamtejszym więzieniu męczenników – skrupowany w taki sposób, by nawet na chwilę nie mógł się położyć. Męka ta trwała dziewięć miesięcy. Apostoła wtrącono tam za panowania cesarza Nerona (54–68 r.), w czasie prześladowań chrześcijan, niesłusznie obwinionych o podpalenie Rzymu. Nawet w niesławnym lochu Piotr nie stracił wiary – nawrócił i ochrzcił wodą cudownie wypływającą ze skały swoich strażników Procesjusza i Martyniana – późniejszych świętych męczenników czczonych zarówno przez katolików, jak i prawosławnych.

Z woli papieża przyniesiono mamentyńskie okowy św. Piotra. W dłoniach Leona I dokonał się cud – łańcuchy jerozolimski i rzymski połączyły się w nierozwalną całość, jak gdyby były wyrobem jednego kowala. Na suficie bazyliki św. Piotra w Okowach znajduje się malowidło z 1706 r. autorstwa Giovanniego Battisty Parodiego, ukazujące ten moment (fot. na sąsiadującej stronicy). Świątynia powstała specjalnie dla tych relikwii – by stała się ich domem, przebudowano stojący w tym miejscu wczesnochrześcijański kościół pw. świętych Piotra i Pawła.

Bazylika św. Piotra w Okowach słynie nie tylko świętościami, choć w przeszłości opitki ze świętych kajdan były jednymi z najcenniejszych pamiątek pielgrzymek do Rzymu. W 1545 r. w świątyni ukończone zostało mauzoleum papieża Juliusza II (zm. 1513 r.), zaprojektowane i częściowo wykonane przez Michała Anioła. Spod jego dłuta



Według legendy św. Piotr miał zbiec z Rzymu na początku prześladowań chrześcijan. Podczas ucieczki objawił mu się Jezus. Apostoł spytał Go, dokąd idzie („Quo vadis, Domine?”). Pan miał mu odpowiedzieć: „Idę do miasta, aby mnie powtórnie ukrzyżowano”. Na te słowa Piotr zawrócił, by podzielić los braci w wierze, a Jezus zniknął, pozostawiając ślady swych stóp odcisnięte w kamieniu. W Rzymie Piotra pojmano, wtrącono do lochu i skazano na ukrzyżowanie. Apostoł nie czuł się godzien, by umrzeć w taki sam sposób jak jego Nauczyciel, dlatego zażądał, by przybito go do krzyża głową w dół i tak też się stało – zginął on na Wzgórzu Watykańskim w 64 r. (wg innych źródeł w 67 r.).

Obecnie w miejscu spotkania apostoła z Jezusem stoi kościół Najświętszej Marii Panny w Palmis, nazywany kościołem „Domine Quo Vadis” (fot. powyżej). Znajduje się w nim kopia kamienia z odciskiem stóp Jezusa oraz popiersie Henryka Sienkiewicza, polskiego noblisty, autora „Quo vadis”.

wyszła monumentalna, będąca częścią tego założenia artystycznego, statua rogatego Mojżesza. Rogi są konsekwencją pomyłki św. Hieronima, autora Wulgaty, łacińskiego przekładu Biblii z IV w. W hebrajskim oryginale Mojżesz powrócił z góry Synaj opromieniony obecnością Boga. Łacińscy czytelnicy dowiadywali się jednak, że prorok zszedł ze szczytu nie tylko z dziesięciorgiem przykazań w dłoniach, ale i z rogami na głowie (już nieopromieniony).

Boczny ołtarz świątyni, poświęcony św. Sebastianowi, powstał po zakończeniu epidemii, która szalała w Rzymie w 680 r. Miejszy nadzieję, że już wkrótce zaistnieje okazja do wystawienia obok podobnego wotum dziękczynnego. ■



**Mojżesz
autorstwa
Michała Anioła**

Ekspozycja w Muzeum Wojska
Polskiego: z lewej granatnik
Szustra, z prawej granatnik
Łopuskiego, 1947



Kusza do miotania
butelek zapalających
w zbiorach Muzeum
Wojska Polskiego, 1947

KONSPIRACYJNA PRODUKCJA BRONI

istotnym problemem polskiej konspiracji z lat II wojny światowej był chroniczny wręcz brak broni i innych środków walki. Początkowo starano się odzyskać broń ukrytą po walkach kampanii września 1939 r. Niestety z racji pośpiesznego zakopywania w ziemi broń ta była w bardzo złym stanie. Z kolei zdobywanie uzbrojenia na Niemcach było ograniczone z powodu krwawego odwetu okupanta na ludność, co wymuszało ograniczenie akcji zbrojnej w pierwszych latach okupacji. Inną drogą były zakupy, jednak środki na ten cel nigdy nie były wystarczające. Ostatnim sposobem były alianckie zrzućy. Zapewniały świetnej jakości broń, w tym zespołową, stanowiły jednak dosłownie kroplę w morzu potrzeb. Problem stanowił też ryzykowny transport lotniczy, jak i kwestie polityczne – władze brytyjskie nie chciały się narażać Stalinowi poprzez zbyt obfite wspieranie konspiracji podległej rządowi londyńskiemu.

Wobec tych trudności oraz nasilania się walki konspiracyjnej podziemie podjęło decyzję o rozpoczęciu produkcji broni we własnym zakresie. W największej liczbie wytwarzano granaty, stosunkowo łatwe do wykonania, ukrycia i transportu. Obok niezawodnej i bardzo skutecznej „filipinki” wytwarzano też dużo prostsze „sidolówki”, a łączna produkcja liczyła ponad pół miliona sztuk. Spośród broni palnej najczęściej produkowano pistolety maszynowe, niezbędne w większości akcji bojowych. O ile broń krótka służyła głównie do samoobrony i wykonywania wyroków, o tyle pistolety maszynowe stanowiły podstawę akcji dywersyjnych. Zapewniały dużą siłę

ognia w walce na krótki dystans przy jednocześnie niewielkich wymiarach, ułatwiających ukrycie. Były też proste w produkcji, nawet w warunkach konspiracyjnych.

Najbardziej znaną konstrukcją jest „Błyskawica”, będąca rozwinięciem brytyjskiego „Stena”, której wyprodukowano ponad 700 szt. Mniej liczne były pistolety maszynowe „Bechowiec”, KIS czy konstrukcja Grzegorza Choroszmiana. Oprócz wyrobu broni prowadzono naprawy i przeróbki zdobycznych egzemplarzy. Najczęściej modyfikowano niemieckie karabinki Mauser Kar-98k, w których skracano lufy i kolby, tworząc poręczne, choć niezbyt celne, obrzyny. Produkowano też broń zespołową – miotacze ognia i granatniki. Miotacze ognia opracowano już w 1942 r. i wykonano aż 400 szt., niestety większość z nich wpadła w ręce Niemców krótko przed wybuchem powstania warszawskiego. Z kolei już podczas walk powstańczych zbudowano kilkanaście granatników, z których najbardziej znane były dwie konstrukcje: Mieczysława Łopuskiego ps. Konstruktor i Jerzego Szustra ps. Jur. Broń ta miała wysoką skuteczność bojową, dowiedzioną m.in. walkach o gmach PAST-y, choć jej obsługa była kłopotliwa; wczesne granatniki Łopuskiego odpalano, zakraplając kwas siarkowy do komory nabojowej.

Uzupełnieniem powstańczych arsenałów były butelki zapalające, przeznaczone głównie do zwalczania czołgów i wozów bojowych. Konstrukcja tych butelek powodowała samoczynne zapalenie benzyny po rozbiciu szkła, co eliminowało konieczność posługiwania się otwartym

ogniem. Butelki zapalające miotano zarówno ręcznie, jak i z użyciem różnych pomysłowych urządzeń, np. widocznej na zdjęciu kuszy z resorów samochodowych, wykonanej w warsztacie przy ul. Miodowej. Stosowano również katapulty.

Szczytowym osiągnięciem powstańczych konstruktorów był samochód pancerny „Kubuś”, powstały z obudowania blachami pancernymi ciężarówki Chevrolet 157. Wykonano go w ciągu 13 dni w warsztatach na Powiślu i uczestniczył w dwóch, niestety nieudanych natarciach na Uniwersytet. Modyfikowano również inne pojazdy, np. zdobyty przez powstańców transporter Sd.Kfz.251/3 Ausf.D („Wiking”, „Jaś”, później „Szary Wilk”), na którym zamontowano pancerny dach, osłaniający przedział bojowy.

Gdy brakło innych środków, uciekano się do podstępu. Na ul. Tamka rozłożono puszki od konserw, imitujące miny przeciwpancerne, całość opatrując tablicą „Achtung! Minen!”. Prowadzono też wojnę psychologiczną, informując Niemców przez megafony o rzekomej tajnej broni: „minie pełzającej V8”, mającej zdolność wspinania się na ściany. Niestety nawet ogromna pomysłowość i poświęcenie konspiracyjnych konstruktorów nie były w stanie w pełni zrównoważyć liczebnej i technicznej przewagi okupanta, potęgowanej przez bierność aliantów. Dziś nieliczne ocalałe egzemplarze improwizowanej broni, eksponowane w muzeach, stanowią cenne świadectwo unikatowej na skalę Europy produkcji uzbrojenia w warunkach konspiracyjnych.

ŁUKASZ KAROLEWSKI

PIECZĘĆ KPT. „GOZDAWY”



MICHAŁ
TOMASZ
WÓJCIUK

PRZEBYWAJĄCY W NIEWOLI NIEMIECKIEJ POWSTAŃCY WARSZAWSKY ODKRYWALI CZĘSTO W SOBIE TALENT ARTYSTYCZNY, TWORZĄC PIĘKNE PRZEDMIOTY DLA POKONANIA NUDY, UŚMIERZENIA WEWNĘTRZNYCH ROZTEREK, A TAKŻE BY OBDAROWYWAĆ WSPÓŁTOWARZYSZY. CZASEM POWSTAŁE RZECZY MIAŁY ZNACZENIE PRAKTYCZNE

Tak było w przypadku klocka drzeworytniczego wykonanego w Oflagu VII A Murnau. Kłoczek przedstawia wizerunek z nagromadzonymi różnymi szczegółami mającymi charakter patriotyczny – symbole narodowe i warszawskie.

Powstańcy warszawscy po upadku zrywu trafiali do niewoli niemieckiej. Osadzani byli w stalagach i oflagach, obozach pracy lub obozach koncentracyjnych, z których oswobodziły ich siły alianckie. Rozpoczął się nowy rozdział życia. Wspomnienia przeżytych wydarzeń zakorzeniały się na zawsze w myślach i duszy, znajdując niekiedy ujście w pamiątkach kultury materialnej.

Wizerunek na klocku zawiera godło państwowe orła w koronie, syrenę, która – jak wiadomo – występuje na przedstawieniu herbowym Warszawy już od początków XV w. Syrena w prawej ręce trzyma miecz zgodnie z zarządzeniem Ministra Spraw Wewnętrznych z 31 stycznia 1938 r. (na dzisiejszym herbie dzierży szablę), a z lewej strony zasłania się tarczą z akronimem AK. Na dalszym planie widać płonące miasto z wyróżniającym się budynkiem, prawdopodobnie Zamkiem Królewskim – ponadpokojowym symbolem stolicy i jednym z jej najważniejszych zabytków. U stóp orła widnieje przedstawienie graficzne kotwicy Polskiego Państwa Podziemnego, które na mocy rozkazu komendanta AK, gen. bryg. Stefana Roweckiego „Grota” z 13 marca 1943 r., miało służyć do oznaczania akcji dywersyjnych i sabotażowych, a później stało się symbolem walki konspiracyjnej i powstania warszawskiego. Na wyrytej przestrzeni widnieje napis: „Baon Gozdawa” i data: „1 VIII – 2 X 1944”. Autorem drzeworytu był dowódca Batalionu im. Stefana Czarnieckiego kpt. Lucjan Giżyński „Gozdawa”. Oddział nazwany był od jego pseudonimu Batalionem „Gozdawa”. Kłoczek służył do odciskania wizerunku na wystawianych po wojnie pamiątkowych zaświadczeniach żołnierzom batalionu, stwierdzających ich udział w powstaniu.

W sierpniu 1944 r. batalion walczył na Starym Mieście, m.in. uczestniczył w zdobyciu kompleksu PWPW, toczył mordercze boje o Bank Polski przy ul. Bielańskiej, redutę ss. kanoniczek przy pl. Teatralnym czy redutę Matki Boskiej przy ul. Długiej. Po upadku Starówki żołnierze „Gozdawy” ewakuowali się kanałami do Śródmieścia, gdzie bronili placówek w rejonie Nowego Świata, Świętokrzyskiej, Wareckiej i Chmielnej. Wykrwawione kompanie oddziału w składzie Zgrupowania „Tunguz” walczyły w ruinach Poczty Głównej przy pl. Napoleona (obecnie pl. Powstańców Warszawy) i o gmach

Gimnazjum im. Górskiego przy ul. Świętokrzyskiej, brały też udział w walkach o budynek restauracji Cristal. Po 20 września batalion jako kompania wszedł w skład 15. Pułku Piechoty 28. Dywizji Piechoty Warszawskiego Korpusu AK i 5 października 1944 r. wyszedł do niewoli.

Dowódca batalionu był oficerem służby stałej piechoty WP. W 1933 r. ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej-Komarowie. Służył w 35. Pułku Piechoty, w którym był dowódcą plutonu, a następnie od kwietnia 1937 r. w Batalionie KOP „Ludwikowo”. W wojnie obronnej 1939 r. dowodził 7. kompanią III batalionu 96. Pułku Piechoty. Uczestniczył w obronie Lwowa. W konspiracji działał od kwietnia 1940 r. w Komendzie Obrońców Polski, a później w Organizacji „Miecz i Pług”.

Od 1941 r. był wykładowcą w konspiracyjnej podchorążówce. Wiosną 1943 r. został dowódcą Batalionu im. Stefana Czarnieckiego. Rok później wstąpił w szeregi AK. Na czele swojego oddziału walczył w powstaniu warszawskim na Starym Mieście i w Śródmieściu. Za męstwo w powstaniu został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Po kapitulacji przebywał w niewoli niemieckiej w Oflagu VII A Murnau, gdzie został wyzwolony 29 kwietnia 1945 r. Pod koniec września wstąpił w szeregi 13. Wileńskiego Batalionu Strzelców. Nie dane mu było długo cieszyć się końcem wojny. Zachorował ciężko na gruźlicę. Leczył się w 8. Szpitalu Polskim w El-Cantara w Egipcie, a następnie w British General Hospital nr 16 w Jerozolimie. Zmarł 5 lipca 1946 r., miał 37 lat.

Pieczczę kpt. „Gozdawy” została подарowana MPW przez jego syna Józefa w 2005 r.



Kpt. Lucjan Giżyński
„Gozdawa”



Materiał przygotowany
przez zespół Muzeum
Powstania Warszawskiego



wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl